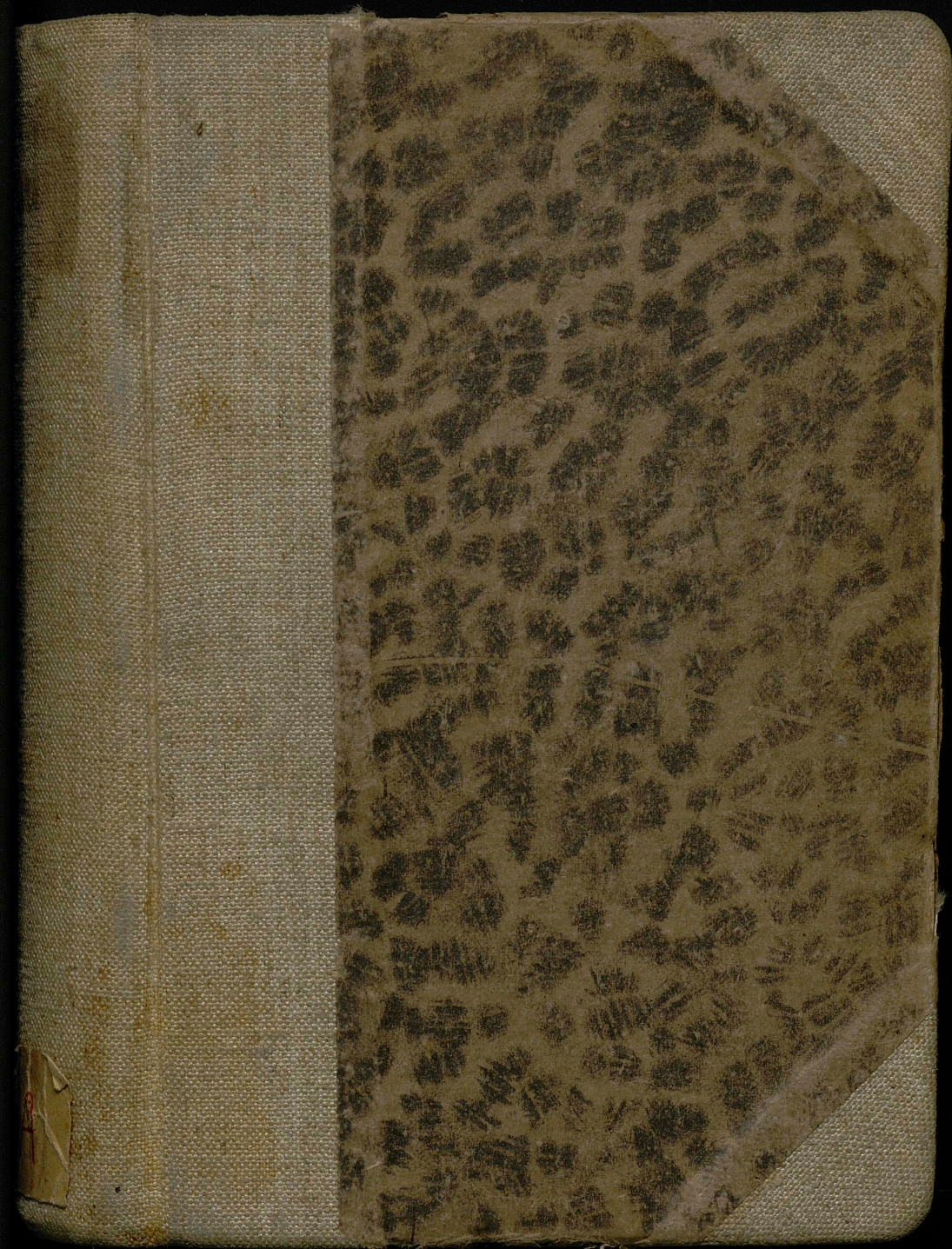




KWAŚNIACY

HENRYK DRZEWIECKI

KWAŚNIACY

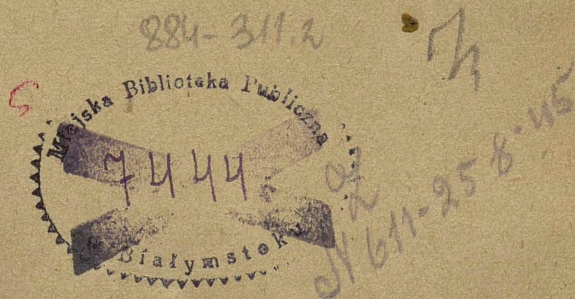
WARSZAWA — 1934

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“

✓x

ODBITO 2250 NUMEROWANYCH EGZEMPLARZY

Nr 0429



ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA

I.

Groch z impetem pracował miotłą, godzina była już po dziewiątej, lada chwila mógł wyjść z okna Rubin, administrator, a i „samemu” — Rapowiczowi zdarzało się przychodzić do posesji na Kwaśną dość wcześnie.

Miotła pośpiesznie szurgąła po kocich łbach, któremi wybrukowane było podwórze. Najgorszy kawałek roboty Groch miał już za sobą: kąś z ustępem w głębi pomiędzy krowiarnią a składem węgla, co rano zaśmiecony miałem węglowym, wyprószonym z wozów, i kupkami ludzkiego kału — dzieci, schodząc wieczorem za potrzebą, obawiały się wejść do ciemnego wychodka i, spuszczać porcięta, zadzierając sukienek, kucały przy ustępie, przy składzie węgla, pod ścianą krowiarni.

Sztywny, nawet opięte na nim dobrze wyczyszczone granatowe sukno było sztywnawe, dzielnicowy Zydrón dopiekał Grochowi protokółami za niedomiecione resztki słomy, zwożonej na podściółkę dla krów.

Z otwartej krowiarni bił zaduch mierzwy i skwaśniałego mleka. W cieniu ruszyła się krowa, zgrzytnął łańcuch przy żłobie, w pochyłym słupie światła nad progiem błyszczał mosiężnie

kurz i dzwoniły bydlęce muchy, niewidoczny w kącie dudnił pustą dzieżą krowiarz Raptus.

Groch zatrzymał się w półruchu. Z nad bramy, w otwartym oknie pierwszego piętra buchnął bas.

— Feliks, jeszcze sprząacie?

Groch nie odpowiedział i miotła z pośpiechem zakończyła półkole.

— Feliks, jeszcze sprząacie?

Bas ochryple pokrywał całe podwórko.

— Feliks, a dlaczego was cholera nie sprzątnęła?

Administrator był w dobrym humorze.

Grocha zgniewało, że nie poznał się odrazu na krzyku Rubina. Szedł przez podwórze jak kosiarz, jednostajnie zmiatając śmiecie w wybuchach kurzu nalewo, od lewej ręki zgarniając pokos śmieci na kupki. Szarpnął miotłą, gdy zacięła się o deskę, pokrywającą rynsztok w bramie. Wsadził kij miotły pod pachę, chwycił go za nasadę i zgarbiony powędrował ze śmietnicą za kupkami prochu, pudełek od papierosów, końskich zmiotków, kawałków gazet, słomy i miału węglowego.

Od śmietnika do suteryny Grocha trzy kroki. W piwnicznym korytarzu było chłodniej. Groch poczuł jak każda kropla potu zsiada się oddzielnie. Rzucił sprzęt do kąta i wrócił do bramy. Czas był na „samego“.

Rozprażona w czerwcowym upale śmierdiała Kwaśna, stękając wybojami pod trza-

skiem naładowanych wozów, hurkotem pustych, wracających na stację towarową, armatnim rozbiegiem ciężarówek, skrzypieniem chłopskich furek z okopowizną i rąbanem na podpałkę drzewem. Przed bramą stał ręczny wózek z tanimi zeszłorocznymi jabłkami, sprzedawca krzyczał:

— do jabłek, do jabłek, do tanich jabłek!

— ale nikt się nie zatrzymywał i plamistoskóre jabłka wędły pod ziarnistym kurzem i grubą spieką.

Groch zdjął czapkę, zaszurał nogami, do bramy wszedł „sam“ — Rapowicz. Alpagowa marynarka i spodnie w kratkę mocno naciągały się na wypartym brzuchu, słomkowy kapelusz w założonych dotyłu rękach sztywno się chybał.

— Zawołajcie pana Rubina. — Groch załomotał butami po kamiennych schodach frontu.

Rapowicz usiadł na ławeczce pod akacjami. To była jego letnia kancelarja, gdzie urzędował z administratorem Rubinem, przyjmował interesantów, lokatorów, kominiarzy, urzędników magistrackich, inkasentów wodociągów miejskich i elektrowni.

Posesja Rapowicza przy Kwaśnej została postawiona w 1890-ym. W roku 1914, na miesiąc przed wybuchem wojny, młody Rapowicz z okazji swego ślubu kazał obsadzić całe podwórze akacją. Wykopano doły w równych odstępach nad rynsztokiem i zasadzono młode drzewka.

Niewszystkie się przyjęły, schły, wymarzały zimą. Naprzeciw krowiarni, gdy ją wybudowano w 1919-ym, Raptus wyciął dwa, żeby nie tamowały wejścia. Pozostały tylko trzy akacje przed pierwszą sienią prawej dłuższej oficyny, dotykające gęstem miękkim listowiem okien parterowego lokalu, zajętego przez Skrzypka. Pod pierwszą wprawo od bramy akacją wkopać kazał Rapowicz ławeczkę. Czasem spoglądał na popielatą ziemią pokryte koliska po uschłych i zrabanych akacjach i postanawiał, że wartoby je zabrukować, aby nie było śladu, nieładnie wyglądają.

Rubin przyniósł wypchaną tekę i odrazu wyjął ściśnięte spinaczami paczuszki kwitów komornianych: zaległe i bieżące komorne, podzielone według numerów mieszkań. Paczki nierówne, po pięć, po osiem, po dwanaście miesięcy komornego. Rapowicz, który czytał gazety, mówił: zamrożone komorne — i, przymykając z boleścią powieki, opierał tłuszcz podbródka na kołnierzu. Oddzielnie Rubin miał wysortowane kwity, o których wiedział, że zostaną zapłacone: sklepik, restauracja Sobotki, frontowe mieszkanie Cuzamenbrucha, Żołędziowskiego, Fojstygiara. Zapłaci tak samo właściciel zakładu fryzjerskiego, felczer Szaja Brod, krowiarz Raptus i Walas, właściciel składu węgla. Pałczyński, magistracki urzędnik, może — jeżeli magistrat wypłacił pensję. Akuszerka Lewandowska — chyba. Ale z resztą lokatorów — Ru-

bin górną wargę przyciskał dolną, a Rapowicz energicznie poruszał głową — trzeba zrobić porządek. Skrzypek ma już sprawę o eksmisję. Jeszcze się zaczeka trochę i koniec.

— Skoczcie po Ulicznego — mówi Rapowicz do Grocha — jak jest w domu, to niech zaraz zejdzie.

Rubin odsunął się od Rapowicza i na wolnym kawałku deski porozkładał kwity.

— My, panie Rapowicz, Ulicznego musimy za mordę wziąć. Aniołby też cierpliwy nie był — dziesięć miesięcy komornego nie płaci. My i tak mamy za dobre serce — bas Rubina gęstniał.

Rapowicz nie lubił, kiedy Rubin mówił: my, a nie mógł na to poradzić, bo choć żydzisko było na pensji, to miało jednocześnie na hipotecę rapowiczowskiej posesji na Kwaśnej ładnych parę tysięcy złotych, że nieuciulanych z oszczędności to rzecz inna — Rapowicz zawsze udawał, że nie wie nic o stosunkach Rubina z macherami od zwalniania z wojska, z urzędem śledczym i — tak ktoś bąknął Rapowiczowi na ucho — z handlarzami żywym towarem.

Z sieni wyszedł za Grochem wysoki, o głowę wyższy od Grocha, kościsty chłop o dużym rozczapierzonym przy końcach wąsie, w narzuconej na ramiona połatanej marynarce. Z rozchełstanej koszuli sterczy żyłasta, jak ze sznurów pleciona, szyja z sękiem grdyki, ciężko chodzącym pod skórą. Uliczny przymrużył oczy, przygotowany do starcia. Powtarzało się ono od czasu,

gdy przestał płacić komorne, regularnie po każdym pierwszym, nie licząc przypadkowych spotkań z administratorem czy gospodarzem, które zawsze kończyły się obietnicą eksmisji. Uliczny mógł powiedzieć Grochowi, żeby się Rapowicz odczepił, bo Uliczny nie ma forsy i komornego nie zapłaci, ale szkoda mu było okazji napsucia krwi kamienicznikowi.

— Dzieńdobry, panie Uliczny — powiada z ironją Rapowicz.

— Uszanowanie dla pana gospodarza — pokazuje zęby Uliczny.

— Czy nie pamięta pan Uliczny, jaki to miesiąc mamy teraz?

— E, ma pan gospodarz chyba kalendarz w domu.

— Jak pan nie wie, to powiem: czerwiec mamy dzisiaj, czerwiec, czerwiec, czerwiec, panie Uliczny.

— Pierwszy czerwiec — nie wytrzymał Rubin.

— Niczego sobie w tym roku czerwiec, gorący dzionek — Uliczny z powagą rozgląda się po podwórzu. Z jego okna wygląda kobieta z Manią, wygląda szwaczka Łodzia, Skrzypek stoi w oknie, Kopersztykowa, korkarz z żoną, Fiutowa, w sieni poprzecznej oficynki krawiec Barwiarz z Szojchetową i Urbańską — sami lepsi goście, co nie płacą komornego. W ostrem słońcu łaty pooblupywanego tynku, wżery zwietrzałych cegieł w murze, blaszany blask szyb,

ciemne otwory okien i dym z komina, wiejący w bezwietrze, zlały się, spłynęły pod cień akacji, na słomkowy kapelusz Rapowicza, jedwabnie połyskliwy, twardy, z pod którego gryzły szare otorbione oczy. Rapowicz urzędował na ławeczce w kapeluszu, goła głowa mogłaby wywołać brak szacunku ze strony lokatorów.

— Jest porządek w Polsce, niech pan Uliczny powie — zaczyna Rapowicz z innej beczki.

— Bardzo nawet ładny porządek, taki ładny, że aż —

Rapowicz przerywa dalszy ciąg: — a jak jest porządek, to dlaczego pan mi komornego już za dziesięć miesięcy nie zapłacił?

Uliczny się śmieje.

— A z czego panu gospodarzowi zapłacić? Chyba z zupki dobroczynnej, dobra, codzień będę dla pana gospodarza odlewał potroszce do oddzielnego garnka i co tydzień przyniosę na Krakowskie Przedmieście. Dobra zupa, jak ranyboga. Kartofelków też mógłbym odłożyć, ale chyba zgniłych, bo te do jedzenia to już sami zjemy.

Przy sieni Groch zagdakał, nie wytrzymał, zatkał ręką śmiech w ustach, żeby się Rapowicz nie odwrócił. Skrzypek, trzymając się oburącz parapetu okna, skrzeczy chrypliwie.

Twarz Rubina nabiegła krwią, jak wielka cegła. Administrator nie znosi rozmówek Rapowicza, uważa je za „chysia“, warjactwo, nie byłby wogóle rozmawiał z takim Ulicznym, a je-

żeli — to wrzeszczeć tak, żeby Uliczny nie usłyszał nawet swoich własnych słów — chce gadać, niech gada w sądzie.

Rapowicz uśmiecha się ze słodyczą:

— Pańskie niedoczekanie. I tak pan niedługo tu pomieszka. A może pan myśli, że niezapłacone komorne można tak odsiedzieć w komisarjacie jak radjo, co? Dostałby pan od razu darmowe pomieszczenie przy policji. Co toby znaczyło dla stałego aresztanta. Ale już nie po trzy dni kozy, chyba po miesiącu czy więcej za miesiąc komornego?

Uliczny wytrząsnął na bibułkę szczyptę machorki, skręcił knota, poślinił bibułkę i nachylił się do Rubina:

— Można przypalić?

Pierwszej chwili administrator cofnął się jak przed uderzeniem, potem podsunął ognek papierosa Ulicznemu pod wąsy. Uliczny poderwał się naraz jakby sobie coś przypomniał, wyciągnął znów kapciuszek z kieszeni i podał go Rapowiczowi z galanterją:

— Przepraszam że nie poczęstowałem. Może pan gospodarz zapali machorki?

Rapowicz i Rubin odruchem spojrzeli na siebie — to już nadzwyczajna bezczelność! Rapowicz odmówił podrzutem ręki.

Uliczny puszcza kłab siwego dymu między liście akacji, patrzy, jak rozlewne smużki płaczą się między liśćmi, wiotczeją, nikną, i nie odpowiada.

Kamienicznik oburzył się.

— Za radjo siedzi pan w kozie, a mieszkać chce pan zadarmo? Za moje pieniądze?

Uliczny wyczekiwał tego wybuchu. Śmieje się szeroko.

— A jaki to pana gospodarza interes do mojego radja?

Radjo Ulicznego znane było w całej dzielnicy, opowiadano o niem na Ochocie i na Pradze. Znalazło nawet naśladowców. Co miesiąc Uliczny meldował się w komisarjacie policji z bochenkiem chleba pod pachą. Z wyroku sądu grodzkiego za uchyłanie się od uiszczenia opłaty miesięcznej za korzystanie z programów Radja Polskiego — 3 dni aresztu. Znano go dobrze w XXXVI-ym i kiedy cele komisarjatu były przepełnione, — a to zdarzało się dość często, choćby przed temi wszystkimi świętami, które nie są notowane w oficjalnym kalendarzu, nie licząc okazji nadzwyczajnych — mówiono grzecznie Ulicznemu: — Spiesz się panu? Prześpij się pan dziś w domu, wystarczy od jutra rano. — Chociaż rozmawiano z Ulicznym również całkiem inaczej dla innych zresztą powodów i przy innych okazjach, i nietylko w XXXVI-ym.

— Przestępstwo musi być ukarane — mówi sentencjonalnie Rapowicz.

— A jak mnie się chce akurat muzyki, odczyty, prawdę mówiąc, głupie, to niby jak? mam do pana gospodarza przyjść radja posłuchać?

Chyba lampowy, zagranicę łapie u pana? — szydził Uliczny. — Nie mam już czasu, następnym razem pogadamy znów z panem gospodarzem. Moje uszanowanie.

I odszedł z rękami w kieszeniach.

Rubin splunął za nim z obrzydzeniem.

— Jabym z nim wcale nie rozmawiał, panie Rapowicz. To jest niebezpieczny cham. Z takim to albo zdaleka, albo z rewolwerem w ręku — klapnął się po tylnej kieszeni — żeby nie mógł gęby otworzyć. Wybijali mu chucpę z głowy, ale jeszcze nie wybili.

Rapowicz przechyla się dotyłu. W zielonym, popstrzonym słońcem cieniu stał Skrzypek, ciemny na brudnej pobiale ścianie.

— Kiedy jego sprawa? — pyta Rapowicz administratora. Rubin przerzuca papiery, łyska przekrwioną gorącą gałką oka.

— Pierwszego września.

Skrzypek odwraca się, słysząc klekot klamki, zgrzyt i zamykanie drzwi. Skrzypek zbliża się do ławeczki, ugniata czapkę w rękach, zaczyna cicho: ma przecież czworo dzieci, żona nie pracuje, on sam stracił pracę już ile czasu, a wszystkie meble sprzedał na komorne, niech sam pan gospodarz zobaczy, dawniej prawidłowo płacił komorne, co może teraz zrobić, przecież nawet do baraków nie chcą przyjmować, gdzie kobietę z dziećmi podzieje, gdyby tak odłożyć sprawę, on się jeszcze postara, może mu jaka praca się nadarzy, i tak przecie płaci trzydzieści pięć zło-

tych za pokój z kuchnią, nawet wygódkę nie ma — —

— Niech wasi sublokatorzy za was płacą — mówi Rubin.

— Kiedy sami bez pracy, ja ich do sądu nie podam — —

— Odczep się pan po dobroci — krzyczy Rapowicz. — Nie chcę z wami gadać, wszyscy myślicie: każdy łaskę mi robił, że komorne płacił.

Administrator wstał. Wielki jak koń pociągowy, czarnowłosy, z dolną szczęką zaostrzoną przez wyczesany kłak bródki, huknął:

— Zabierać się stąd! Kto pana tu wołał?

Wypróbowany sposób rzadko zawodził. Pod tą detonacją Skrzypek się skulił. Nie było tu już nic do uproszenia, tylko powrót bez ostatniej nadziei.

— Janek — zasyczało ze skrzypkowego mieszkania.

— Bodaj was grom spalił za moją krzywdę — z rozpaczą woła Skrzypek, podnosząc ręce dogóry.

Rapowicz przygląda mu się obojętnie, a Rubin robi krok naprzód, jakby chciał go zdzielić pięścią.

— Janek, wracaj do mieszkania! — Skrzypkowa wychyliła się z okna. — Nie gadaj z tymi skurwysynami, prędzej u tej ławki się doprosisz. — Głos jej wznosi się, staje się coraz piśkliwszy. — Pijawki lokatorskie! Tylko komor-

ne ssać i ssać, póki człowiek nie zdechnie! Złodzieje, z dziećmi mnie wyrzucają!

Skrzypkowa trzyma się ręką za piersi, jej głos piłuje podwórko. W oknach i wejściach do sieni zgęściło się.

Rapowicz robi Rubinowi znak głową, administrator zbiera szybko papiery i kwity do teki, nie odwracając głowy, grozi:

— Policję zawolałam!

— A wołaj dziesięć razy policję, ty pijawko!

Gospodarz z administratorem wychodzą stacecznie. Groch o parę kroków idzie z tyłu.

— Złodzieje! — leci za nimi przez podwórze.

Ich grzbiety i zady kołyszą się godnie. Udają że nie słyszą, krzyk spływa po nich jak deszcz po spadzistym dachu i milknie za bramą.

Kwaśna dygoce pod ciężarowym ruchem, taksówka rzadko tędy przejedzie, żelazne obręcze kół, samochodowe masywy i opony miały po łbach kamiennej jezdni wyschłe błoto na pył drobniejszy od mąki. Ciężką pierzyną zar przydusza Kwaśną. Smrody wolno przelewają się między domami, gazy benzynowych spalin, wyziewy z otwartych okienek piwnicznych składów, odór pomyj, parujących w rynsztokach.

— Małe piwko? — spytał Rubin, wskazując palcem na knajpę Sobotki.

— Nie, później, przedtem sklepy.

W posesji Rapowicza, drugiej, licząc od rogu Opałowej, oprócz Sobotkowej restauracji trze-

ciego rzędu siedział jeszcze we froncie zakład fryzjerski Broda, warsztat blacharski i sklep spożywczy Ruchli.

Drzwi od warsztatu blacharza były otwarte, blacharz Fajngold uklepywał arkusz blachy na kowadelku, zasmolony chłopaczyna rozdmuchiwał ogień w przenośnym piecyku, drzewny węgiel żarzył się, połyskując, i przyskał sinym dymkiem.

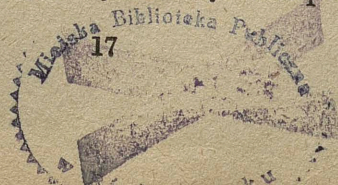
— Dziś nie mogę, panie gospodarzu, za parę dni, jak oddam robotę — pokazał na konwie, zwalone w kącie. — Sam przyniosę.

W razurze Broda było pusto. Męski i damski fryzjer, Leon, czytał pięciogroszową gazetę. Czterech Leonów, jeden na fotelu i trzech w lustrach, odwróciło się z gazetami na wejście Rapowicza z administratorem.

— Szef w domu?

— W domu.

Starszy felczer Brod siedział na otomanie, umieszczonej tuż za drzwiami do razury, pił kawę z rogalikami, zwieszając wąską długonosą twarz, przykrytą białą czuprynką, nad stolikiem. Brod miał ogromną praktykę, większą niż niejeden lekarz, i uzbierał dla trzech córek posagi, ulokowane pewnie w złotych dziesięciuroblówkach, o czym wiedzieli wszyscy swaci warszawscy. Wytworne córki wyrzucały ojcu, że nie chce zmienić ciemnego parterowego mieszkania na większe i elegantsze, — Brodowie mieli tylko dwa pokoje, wychodzące na podwórze,



naprzeciwko nich mieszkał Skrzypek — ale Brod lękał się zmiany starego wygrzanego legowiska, bał się że opuści go powodzenie, gdy rozstanie się z trzema mosiężnymi talerzami, zawieszonymi na pręcie obok szyldu: „Zakład fryzjerski“.

Przerwał jedzenie, ucieszył gośćmi. Nieproszony — wyłożył odrazu pieniądze, schował kwit i dopiero spytał Rapowicza o zdrowie. Z Rubinem spotykał się często na kartach u Czuzamenbrucha.

— Jak pan może rozmawiać z takim Skrzypkiem? Nie rozumiem — krzywił się Brod, który słyszał, jak Skrzypkowa odprowadzała Rapowicza.

— Pan Rapowicz dziwak jest, ma dobre serce, rozumie, jak kto cierpi — odpowiedział Rubin. Krzesła, kryte pluszem, wykończonym frendzlami, grzały siedzenia, w kuchni Brodowa docinała gniewnie kucharce, że za dużo nagotowała rosółu: — co Mania sobie myśli, że u mnie się obiad gotuje na cały dom? Może pan poto pracuje, cały dzień chodzi do chorych, żeby Mania mogła zanieść garnuszek rosółu naprzeciwko? Jak jeszcze raz Mania tak robi, to może sobie szukać nowej służby. Słyszał kto o takiej śmiałości! Panienki nie lubią wodnistego rosółu, Mania garnek postawi na większym ogniu, niech się wygotuje — Brodowa, szumiąc szlafrokiem, wbiegła do pokoju.

— Ach, nieubrana jestem — krygowała się,

potrząsając szpakowatemi — sól z pieprzem — puklami. — Nie można dać sobie rady z dzisiejszą służbą. Tania jest, ale zupełnie niemożliwa, okrada na każdym kroku, panowie sami powiedzą, jak tylko niedopatrzę, zaraz łapie, co jest pod ręką, i leci do tych Skrzypków. Też sobie kumów znalazła!

— Na bezrobotnych płaci się podatki — poparł ją Rapowicz. — Jak pani sama im co da, to inna rzecz, niech dziękują za opiekę, ale dać się okradać? Nie, nie, dziękuję za przyjemność, u mnie w domu żona wszystko pod kluczem trzyma.

— I ja trzymam, ale co to pomoże, kiedy służąca więcej wody do zupy naleje, a potem resztę weźmie i wyniesie.

— Ładne czasy przyszły — Rubin splótł grube palce na bordo-pluszu obrusa i kiwał głową, ale żałość nie mieściła mu się na twarzy, żywo świeciły wysadzone oczy i duże wargi były żarłoczne jak zawsze. — Dzisiejsze interesy!

— Nie mów pan o interesach — zatrzęsł się Brod — Kasa Chorych nas zjada, kto ma rękę i nogę, należy do Kasy i leci do darmowego doktora. A dzisiejszy pacjent, to wogóle jest pacjent, myślisz pan? — gestykulował w stronę Rubina. — Przychodzę do chorego, badam, zapisuję mu lekarstwo, a on mi daje, niech pan sobie wyobrazi — złotówkę. Panie, mówię mu, coś pan zwarjował, mnie pan złotówkę daje,

a on zwyczajnie: „ja więcej nie mogę, na lekarstwo nie mam“. Poszedłem.

— I zostawił mu pan tę złotówkę? — zainteresował się Rapowicz.

— Dlaczego miałem mu zostawić? Wziąłem, bo jakbym nie wziął, toby mnie zaczęli zadarmo wołać. Zadarmo, to niech Kasa Chorych chodzi, ja nie.

— Myślisz pan, że z lokatorami lepiej jak z pacjentami? Jedno szczęście to eksmisje. Ile się człowiek napracuje, natrudzi, nalata do adwokatów, do sądu, nim do tej eksmisji dojdzie, jeden Bóg tylko wie. Niech pan Rubin poświadczy. I żeby, moi państwo Brod, dało się od razu wyeksmitować lokatora, który nie płaci. Skąd? Co pół roku rząd nam rzuca kamień pod nogi i zawiesza eksmisje z małych mieszkań. Z drugiej strony niema złego bez dobrego, jest jeszcze sprawiedliwość w Polsce, są jeszcze sądy. Bezrobotnych nie można wyeksmitować, ale niekażdy bezrobotny jest bezrobotny z papierami, albo płacić, albo wynosić się! Weźcie państwo Skrzypka — zapalił się Rapowicz — za rok jest mi winien, albo takiego Ulicznego, albo tego korkarza Tygielszajna, albo Salamate, albo Szojcheta, albo Fiuta, co tam mówić, każdy mi za parę miesięcy jest winien. Mam z torbami iść czy jak? Za parę tygodni będzie pani miała lepszych sąsiadów, pani Brod, zamiast Skrzypków. I resztę się wyeksmituje z boską pomocą. Przedewszystkiem Ulicznego.

— Okropny człowiek — wzdrygnęła się felczerowa — a widział pan jego żonę? Taka sama jak on, i dzieci też okropne. Nie mogę na nich patrzeć. Jak się ma żona? Córeczka dobrze się uczy, słyszałam — wypytywała Rubina.

Pożegnali się. Za drzwiami z gobelinową zieloną portjerą Leon golił klienta.

— Też fryzjer - ananas — powiedział Rubin na ulicy — trzy dni na ratuszu siedział. Brod musiał wziąć zastępcę.

— Zaco?

— Zaco? Za politykę! Poco Brod go trzyma!

Kobiety niosły obiad do fabryki motorów, grupkami biegły dzieci ze szkoły powszechnej i spychane na skraj wąskiego chodnika przeskakiwały z krzykiem przez rów rynsztoka na jezdnię. Sprzedawca jabłek wściekał się z rozpaczą, nachylony nad swoim wózkiem, bo otoczyli go chłopcy, udając że chcą kupować. W zamieszaniu dwaj złapali po kilogramowej torbie odważonych jabłek i uciekli, jeden Kwaśną, drugi Opałową, a sprzedawca nie mógł pogonić za złodziejaskami, bo bał się o całość pozostałego towaru. Ruchla stała we drzwiach sklepiku, zasłaniając sobą wejście, tak codzień po skończeniu lekcji w rannej szkole powszechnej i później — po skończeniu w popołudniowej. Głodne dzieciaczyska były postrachem przekupek i kupcowych, kradły marchew, kartofle, kapustę z koszów, stojących przed sklepikami, lub ze straganów — droższy towar był zawsze lepiej zabez-

pieczony — a gdy nawet kupowały co, to też ostro patrzyły im handlarki na ręce.

Ruchla, gęsto wzdychając, wyciągnęła z pod brudnego kitla torbę z pieniędzmi. Tak samo odtrzewnie wzdychała, licząc wymiętoszone papierki i srebro na ladzie. Bronzowa peruka wysoko zsunęła się jej aż do ćwierć ciemienia, wyglądały z pod niej twarde czarne kosmyki własnych włosów. We drzwiach pilnował zamiast Ruchli osiemnastoletni Mojsze; z niepokojem rzucała okiem w jego stronę, zdarzało się już nieraz, że chłopaki kradły mu z pod ręki, lekceważąc go sobie jako wartownika.

— Słyszał pan gospodarz, jakie nieszczęście było w restauracji? Takie nieszczęście — ze strapieniem kiwała peruką, siedzącą jej na karku — szybę łobuzy wybili. Taką dużą, drogą szybę — —

— Jakie łobuzy? — spytał Rapowicz. W posesji na Kwaśnej i w okolicy jątrzyły się awantury i sensacją bywał częściej sprawca, niż samo zajście.

— Kelnery, co strajk zrobili. Musiał restaurator nową szybę wstawić, ile to w dzisiejszych czasach kosztuje, pan gospodarz policzy, a jaka strata w wystawie!

— Trochę flaszek rozbiło się z wódką — objaśnił Rubin — myślę że za jakieś sto złotych, nie licząc samej szyby.

— Tak się boję, panie gospodarzu, żeby mnie szyby nie wybili. Policjant z komisariatu

jeden dzień pilnował, a teraz go niema. Przez omyłkę wezmą i wybiją, u mnie nikt nie strajkuje, sama handluję, dzieci mnie pomagają.

Dzieci Ruchla miała mnóstwo, samych chłopców, w chasydzkich kaszkiekach i kusych kapotkach kręciły się bezustannie po sklepie i mieszkaniu.

— A dzieci Ruchli nie strajkują? — zajął Rapowicz.

Ruchla już się uśmiechała w odpowiedzi, kiedy Rubin podparł:

— Lepiejby Ruchli mąż zastrajkował.

Ruchla zgasła uderzona w obolałe miejsce: mąż Ruchli od lat leżał za sklepem chory na suchoty i jedynym nazewnątrż przejawem jego życia były narodziny dzieci, w regularnych odstępach po sobie przychodzących na świat i uroczystości obrzezywanych. Leżącą w połogu matkę zastępował wtedy w sklepie Mojsze — najstarszy.

Chciała Rubinowi odpowiedzieć mocno, pojedyncze słowa śwędziły na języku, nie potrafiła.

— No, idziemy na piwko.

Sobotka kłaniał się za szynkwasem.

— Widziałem, że pan na wystawie picie jedzeniem zamienił — woła Rapowicz z humorem — szynka, panie dobrodzieju, kiełbasy, kurczę pieczone, żeby tylko nie zaśmierdło, co, panie Sobotka?

Po nalanej twarzy restauratora przeleciało

zaciętością, znów się obłuźniły szczęki, Sobotka opowiada przy stoliku swoje przejścia.

— Władek, trzy jasne podaj! Uważa pan, panie Rapowicz szanowny (Rubin słyszał już historję szyby), powiadają mi moi kelnerzy ni z tego ni z owego, że nie chcą być na procencie, tylko pensji sobie życzą! Jak restauracja restauracją, nikt jeszcze nie słyszał o czemś podobnem. Uważacie, panowie, taki bęcwał chciałby sobie żyć jak urzędnik, może z teczką będzie do pracy przychodził! — krzyczy restaurator jednostajnie. — Zawsze kelnerów krótko trzymałem, mówię: macie tu każdy co się należy i won, żeby tu waszego śladu więcej nie było! A oni mi: żadnych pieniędzy nie przyjmuję, stałe pracownicy jesteśmy, wyrzucić nas pan nie śmie, a pensji żądamy. Pocałujcie mnie przez spodnie, mówię im, oni na to: my strejkujemy. Za te słowa ja ich odrazu za pysk i na ulicę. To było w dzień, wieczorem ja już mam nowych kelnerów. Przychodzą do mnie jacyś ze związku kelnerskiego. Pokazują mi legitymacje, ja im mówię: idźcie z bogiem, tu nic nie zarobicie. Oni gadają i gadają. Mówię: w try miga wynoście się stąd. Jakem krzyknął, to poszli. Myślę sobie: robią sprawę w sądzie, to zapłacę. A tu mi, panie, onegdaj kamieniem, o, takim jak ten kufel, może trochę większym, rąbnął ktoś w szybę, szybę djabli wzięli, no i wódki za parędziesiąt złotych. Lecę do komisarjatu, mówię podkomisarzowi: kelnerzy wybili szybę, strajk zro-

bili, a on, panie, mówi: widział pan, że oni? Skąd ja miałem widzieć, przecież nie stałem na ulicy, jak kamieniem rzucali. Dał na dzień policjanta, chodził przed restauracją. — Sobotka ściera rękawem koszuli pot z czoła. — Wieczorem wczoraj znów ci ze związku. Jakem ich zobaczył, zatrzesło się we mnie. Wyście szybę wytłukli? — pokazuję. Skądże, mówią, my ze związku. Przyjmiesz pan zpowrotem swoich kelnerów? Odkupcie szybę, powiadam, to będę z wami rozmawiał. Myślałem sobie, jak się zgodzą, to odrazu policjanta zawołam. A oni mi grożą, że jak starych nie przyjmę, to wogóle nikt u mnie nie będzie pracował, żaden kelner, bo każdego z pracy zdejmą. Śmieję się: rady nie dacie, no i wynocha, dziady. Pomyślcie, panowie, nie przyszli mi dziś do roboty kelnerzy. Nie rozumiem, stare wywłoki wzięłem, też się dali związkowi dokoła palca owinać.

— A chłopak skąd? — zdziwił się Rubin.

— Siostry szwagierek — z pogardą machnął ręką. — Pytałem się znajomych, co za djabelski związek, dawniej tak nie było. Opowiadają mi, proszę ja panów, że związek jak dawniej, ale w związku się popsulo, jedni nalewo ciągną, gnije związek i dlatego awantury. Nie dam się za nos prowadzić, wezmę dziewczyny za kelnerki, lepszy ruch będzie. Za szybę osiemdziesiąt złotych zapłaciłem, moja strata, ale, panie! i nauka też była! — Sobotka z uznaniem pukał sobie palcem w czoło.

Ciche brząkanie kieliszków na bufecie — wszystko w restauracji pobrzękiwało od wstrząsów bruku, żarówki w żyrandolu i kinkietach same się co pewien czas wykręcały z oprawek — dźwięczący dygot pokrył się chrzęszczącym trzaskiem w wystawie. I dzwon odłamków szkła na półmiskach.

— Szyba! — jęknął Sobotka.

Restaurator stał pochylony doprzodu, z głową wpartą w barki, łokcie przyciśnięte do boków, pięści podane przed siebie. Rapowicz z opadłą dolną wargą, w oblanej piwem z wywróconego kufła marynarce, przesunął się za restauratora. Wysupławszy brauning z tylnej kieszeni spodni, jak zwykle zapiętej na guzik, Rubin ciężko wybiegł z knajpy. Wydziwiał już zbiegowisko, róg Kwaśnej i Opałowej jest ruchliwy. Rubinowi, który wyskoczył z rewolwerem, krzyknął wyrostek w cyklistówce: — byku, schowaj spluwę!

Rubin zawrócił.

— Wołaj pan policję, niech protokół spiszą. Nikogo nie widać.

Wrzasnął restaurator: — Władek, spuść załuzję, okradną wystawę!

Nad wylupioną szybą karbowana blacha załuzji zardzewiała stęka, ściągana wdół żelaznym hakiem jak codnia o północy.

Jest południe i słońce pali jak piec w piekarni.

II.

Przez wydrażony szpunt beczki przechodził gumowy szlauch. Uliczny wziął wylot gumy do ust i wysysał z niej powietrze, dopóki nie poczuł na języku pierwszych ziarenek pomidorowego soku, a pod palcami jędrnienia. Wetknął wylot do szyi butelki. Bura treść wymiażdżonych pomidorów spływała nierównomiernie, bo pestkowate skrzepy hamowały dojście płynu. Półlitrowe butelki po monopolowym spirytusie Uliczny poustawiał w dwa szeregi przed beczką i kolejno wsadzał w nie ciurkającą gumę. Odstawił pełne butelki nabok, przygotował puste.

Wielka cementowana piwnica dostawała światło z pod sufitu przez zakurzone szyby okna, które znajdowało się poniżej poziomu ulicy i wychodziło na ocembrowany prostokątny dół, nakryty żelazną kratą.

Dzień nie był targowy, więc żelazna okiennica nad kratą była podniesiona i często przechodnie stąpali wprost po prętach. Wtedy wielkie cienie łamały się na beczce, na Ulicznym, kruszyły się na butelkach. Ciągnęło chłodem, wilgocią, podtęchłymi zapachami worków i koszy z warzywami, zajmujących dobre pół piwnicy, goryczą kapusty zeszłorocznego kwaszenia. Grzmiały tramwaje w pełnym biegu i oddzwaniała im szyby.

Robota nie była stała, jak się nadarzyło, czasem raz, czasem trzy razy na miesiąc. Uliczny wstępował do Gajsera, przepytował, czy aby nie nadarzy się praca jaka w składzie. Przeważnie odchodził z niczem. Innych kupców nawet nie zaczepiał, próżny trud. Tragarze, którzy wykupywali świadectwa magistrackie, zorganizowani byli w artele, tworzące w istocie zrzeszenia małych przedsiębiorców transportowych. Koncesjonowany tragarz jedynie podejmował się pracy, za którą pobierał od kupca opłatę. Pracy samej dokonywali pomocnicy tragarscy, niekoncesjonowani, będący u tragarza na dniówce. Ale nawet pomocnikiem tragarzem można było zostać dopiero po wkupieniu się, po zapłaceniu tragarzowi - przedsiębiorcy za prawo pracy. Bezrobotnych, którzy schodzili się z całej Warszawy, gotowych za bochenek chleba, parę kilo kartofli czy kapusty dać się kupcowi wyżyłować do ostatniego — tragarze przepędzali pięścią.

Do Gajserów na posługi do wielkich sprzętań przed żydowskimi świętami przychodziła żona Ulicznego, a przez nią Uliczny trafił do składu Gajserów w halach. Kupiec wolałby oczywiście — zamiast płacić tragarzom według taksy — wziąć Ulicznego na stałe, wynająć taniej, zapłacić mniej, wypłacić towarem. Tylko że niejedyn handlarz pożałował oszczędności, tragarze robili koszty: opóźnili dostawę, nie chcieli wyładować czy załadować towaru, blo-

kowali wejście do sklepu, zniszczyli nieobaczkiem część towaru, poleli naftą worki z mąką, wrzucili trutkę do basenu z żywem karpami, rozbili kupcowi głowę do krwi na ciemnej ulicy. Kto? — albo kupiec widział? Obławy nocne i dzienne po halach i okolicy, areszty za tak zwany „teror“ nie kleiły zpowrotem rozbitej kupcowi głowy.

Ulicznego używał Gajser do robót w składzie.

W beczce zasmoktało, zachlupało, opróżniła się. Pozakorkowywał flaszki, nad zapaloną świecą topił pałeczki laku, zalewał korki gęstą czerwoną mazią, tego pachnącą denaturatem, powygniatał w niewystygłym laku firmową pieczętę.

Zdmuchnął świecę i wyszedł po stromych schodach nagórę, do kramu, zastawionego wiklinowemi koszami warzyw, aż cierpła od ostrego zapachu surowizny gęsta ślina pod językiem.

— Skończyłem, panie Gajser.

— Fajga, daj z kasy dwa złote! Flaszkę pomidorów możecie wziąć na dodatek, tu z tej półki.

Wsadził zakurzoną półlitrowkę do kieszeni.

— Kiedy mam znów przyjść do roboty?

— Niema więcej, wstąpcie, dowiecie się.

Pożegnał kupca, żując: mógłbyś, świnió, przynajmniej nie dawać zeszłorocznych pomidorów.

W halach widno i wysoko. Gwarem paruje

przepływ kupujących. Przekupnie, handlujący groszową drobnicą, nacierają jak o jałmużnę. Za grubą spoconą babą, ubraną kolorowo i cienko w kwiaty, paki i liście, kuchta z pełnym koszykiem stuka spadającymi z bosych pięt pantoflami. Na ustnej harmonijce twardo gra jednnonogi inwalida wojenny w wojskowej kurtce, z czapką umocowaną na piersi, ogolony, gładko uczesany żebrak - lalusz. Dwie ładne, dokarmione dziewczyny idą spacerem czy na spacer, malowane, wesole; ubielony tragarz trzeszczy pod worem mąki, za nim piersista, grubozada kupcowa krzyczy z irytacją: tu, tu! a wysoki szlagon o siwych wiechciach wąsów ogląda się zdeзорjentowany.

Za szybami żółte, czerwone, brunatne kule, gomóły, bryły i bloki serów żółtych, białych i masła, luksusowe serki w okrągłych tekturowych pudełkach, okrągłe i podłużne malowane blaszanki byczków, skumbryj w tomacie, szprot w oliwie; pękate stoją mąki, kasze, ryże, grochy i fasole w ładnie podwiniętych workach, suszone owoce, piramidy arbuzów, dyni, niżej fioletowe kosze węgierki, kartofli i czerwone rozlewisko pomidorów.

Uliczny idzie szybko, kramy i ludzie odpływają dotyłu i podskakuje w myśli obrachunek: to jest największy targ w Warszawie, są jeszcze bazyry na Pradze, na Bródnie, na Powiślu, Mokotowie, Ochocie, Woli, Marymoncie; ja mam za te dwa złote może na dwa dni życia,

nie ja jeden, przecie nas, robotników i pracujących, są setki, co nie mają chleba i obiadu. Gdyby każda dzielnica chciała podzielić między siebie to wszystko, co jest na targu, nawet w sklepach, czy starczyłoby na wszystkich? — Uliczny oblicza na oko, ile tonn kartofli, kapusty znajduje się w halach, macha ręką do siebie. Woda pluska z otwartych kranów do basenów z żywą rybą, na skrzyniach w nieckach, wielkich misach, na drewnianych tacach leżą śnięte, jak kawały śliskiego drewna, wierząc w nosie zapachem mułu, śluzu i rybiego rozkładu. Kupcowa w tłustym fartuchu trzyma przed sobą wielkiego, połyskliwego leszcza, odchylając mu pokrywę skrzelowe, a wysoka dama w czarnym kapelusiku z fioczkami zagląda leszczowi w fałdziste skrzela, czy aby nie są blade. — Gdyby podzielić te ryby, gdyby podzielić mięso — a tu przychodzi ci damulka, obwącha leszcza, wybuli forszę i nażre się dosyta, wyda na jeden obiad tyle, co ja z Zośką i dziećmi przez tydzień. Uliczny pogwizduje z wściekłości za żebrakiem, dmuchającym w fujarkę. Idzie szybciej i butelka w kieszeni spodni naciera mu spoconą nogę.

Hale składają się z dwóch budynków: między nimi natłoczone stragany drugiej kategorii z galanterją, owocami, bitym drobiem, kwiatami. Z wrzaskiem przekupnie nagabują, łapią za poję, za rękę, aby tylko przechodnia zatrzymać, aby coś kupić. Szczupła ruda dziewczyna drze się, przymknawszy oczy: pończochy, pończochy

jedwabne za jeden złoty! Co w sklepie trzy złote, u mnie jeden złoty! W jej krzyk wpada konkurentka: po pończochy do mnie, do mnie! U mnie tanio! Do mnie! — Portmonetki i krawaty! — Jabłka dobre: do kosztele, do kosztele! — berety za złoty, sznurowadła, jedwabne bluzki — rozdierają się krzykiem usta, upraszają prawie rozpaczliwe ręce — mydła, mydełka, mydła! Kolońska woda! — babina, pomarszczona jak sparciały kartofel, niesie w fartuchu cytryny, przepycha się słabowicie, myśli że w tłoku więcej sprzeda.

Uliczny też próbował handlu, sprzedawał obwarzanki. Dwa razy zabierał go posterunkowy do komisariatu, dwa razy skonfiskowała mu policja towar, stracił swoich, nie swoich bo pożyczonych — parę złotych. Przerzucił się bliżej swego ślusarskiego fachu na sprzedawanie kłódek, dał mu je na kredyt znajomy właściciel kramu z żelastwem na Pociejowie. Stał na rogu Grzybowskiej i Granicznej z uwieszoną na wyciągniętym palcu kłódką, pomrukując: kłódka angielska, bezrobotny jestem — aż do wysychania śliny w gardle; zarobił jednego dnia pół złotego, drugiego — nic, trzeciego — dwadzieścia groszy, bo się gość mocno targował. Oddał kłódki, wziął kółka do kluczy, na kółku zarobek pięć groszy, sprzedał sześć przez dzień. Nie kupują. Obwarzanki tak, ale policja zjada. Skarpetki też kupują, trzeba na to kapitału i znów policja. Robił zapalniczki, kupują tylko szmuglowane,

eleganckie, niklowane, z kapturkiem na sprężynce. Mosiężna, domowej roboty amatora na ulicy nie znajdzie, bo za brzydka, chyba że kto zamówi.

Z drugiej hali wytoczyło się z ostrą wrzawą kłębowisko, puchnąc. Szybkiemi wymachami rąk warczy: złodzieja, złodziej, bić złodzieja, złodziej, policjanta! Uliczny łokciami wygniał sobie drogę w spoconym ścisku. Niewidoczny złodziej jęczy pod pięściami.

— Co ukradł? — wysunęła zaciekawioną głowę jakaś babka, przyciskając do piersi gliniany garnek.

— Ukradł, ukradł — odpowiada jej brodaczy w kapocie.

— Komu ukradł? — wtrącił się, posuwając wraz z tłokiem, bezrobotny w złachanem palcie. Uliczny pchał się tuż za nim — ależ palto! Miało rany na wierzchu, nie dziury, całe płaty materiału się poździerały, pozostała tylko jakaś spodnia wstrętne warstwa, gruba czarna siatka, a sukno samo jasne, srokatę palto. Odsuwając srokacza nabok, wyrzucał sobie Uliczny, że traci niepotrzebnie czas przy złodzieju, a Zośka czeka w domu na głodno. Zobaczyć tylko — złodziej, siedemnastolatek chyba, z pokrwawioną głową nad rozdartym kołnierzem, beczał. Przekupka, potrząsając przed nim płaciastą wieprzową wątroba, biadolila: — złapał, uciekł!

— Zbidniejesz od kawałka wątroby, skamoto? — krzyknął z za Ulicznego srokacz. Nad-

biegł klusem policjant, za nim hurmem dzieciaki.

— A bodaj cię najjaśniejsza cholera, babo — wycofał się Uliczny z tłoku — z wami zawsze tak. Umrzeć dacie, ale żyć napewno nie. Powieścić się miał chłopak? Tylko co mu z takiego kradzenia przyjdzie, no, buchnie kawałek mięsa czy bochenek chleba, na jak długo mu starczy. A jak go złapią? Ilu takich łapią, co z głodu kradną. Żeby odrazu więcej, toby się nie dali. — Uliczny spieszył się, skręcił w boczną uliczkę wzdłuż straganów z kwiatami — zresztą djabli wiedzą, czy baba to nie taka sama nędza, dziś ma jeszcze trochę towaru, a jutro sama będzie głodowała, nędzarz u nędzarza kradnie. Jak brać, to przecie nie u takiej baby, co mało ma, ale to się już będzie inaczej nazywało — —

Wiało rozgrzanym słodko-korzennym zapachem goździków, różnobarwiły się stragany, ale przekupki nie zaczęły Ulicznego. Spojrzał z żalem na tramwaj, który przeleciał ulicą, tramwajem nie jeździł już chyba więcej niż rok, zapomniał jak wygląda bilet, który dawno wypadł z wydatków, jeszcze przed utratą pracy. Z całej rodziny tramwajami rozbijał się tylko Kazik, bezpłatnie, na zderzaku albo na stopniu z lewej strony wozu, zamkniętej.

Szedł ocienioną stroną ulicy, ściskając w dłoni dwuzłotówkę: paczka machorki skończyła się wczoraj. Nie palił pół dnia, ssalo z braku tytoniu w płucach i dokuczała niewygoda ca-

łemu ciału. Za trzy grosze Zośka i tak nic nie spitrasi — wziął w budce inwalidy „kowboja“, przełamał go ostrożnie na połówki, jedną schował w zagięciu podszewki w czapce, drugą wsadził do drewnianej pipki, zaczął jakiegoś fagasa, przypalił. Gdy dym schodzi do płuc, człowiek jakby świeżem powietrzem odetchnął, trochę szczypie w język, pachnie i na głód dobrze robi, choć to tyfus, i tytoń tylnokoński, i wiadomy numer dorożki.

Nie chciał Uliczny tylko spotkać jakiegoś kamrata — nie można być bydlakiem, jak poprosi sztacha, trzeba dać parę dymów, a szkoda. Droga z „tyfusem“ krótsza, parę kilometrów i upał swoje dokłada.

Idzie Uliczny dobrym krokiem — Zośka napewno na głowie staje z niecierpliwości — przypomina się urywkiem marsz w dziewięćset piętnastym roku, też mocno grzało w niewoli, kiedy pod bagnetami pędzili jeńców z dworca kolejowego do obozu koncentracyjnego w Lambach.

Pierwsze domy Olchowej, potem naprawo w Monopolową, nalewo Opałową kawał i Kwaśna. Uliczny ociera grzbietem dłoni czoło i wąsy, koszula oblepiła plecy, gryzie w miejscach, gdzie przez dziury marynarka trze o gołą skórę.

Od bramy leci Zośka, za nią Mańka, trzymając się matczynej spódnicy.

— Dostałeś — krzyknęła, łapiąc oddech.

Wyciągnął na otwartej dłoni garść niklu. Wzięła go pod rękę i, idąc, liczyła na jego dłoni pieniądze.

— A gdzie trzy grosze, dwa złote dostałeś?

Uliczny dmuchnął przed siebie.

— Więcej nic, ty puszczajdymie?

— Pomidorów flaszkę — wyciągnął z kieszeni.

— Tato, ja flaszkę zaniosę, daj — tarmosiła go Mańka, przebierając bosemi nogami, sięgała mu głową do biodra. — Kaziek koszyk wziął, po węgiel poleciał. Już jeden koszyk nazbieraliśmy.

— Nazbieraliśmy! Też zbieraczka się znalazła. Kazik zbierał, a tyś palcem w nochlu dłubała.

— Ja zbierałam, a Kazik z chłopakami kumeta palił.

— Ja ci dam, Mańka, skarżypytostwo! Dymaj z flaszką do domu.

Uliczny poszedł za córką, Zośka do sklepiku.

— Zaraz wrócę — zawołała — rozpal tymczasem ogień.

Przed wystawą restauracji majstrował przy szybie szklarz Szapszel. Widocznie Sobotka nie chciał drugi raz wprawiać drogiej szyby, bo wpoprzek wystawy szła drewniana listwa: dwie mniejsze szyby kosztują mniej, niż jedna o tej samej powierzchni. Sobotka stał we drzwiach i zły przyglądał się robocie Szapszela.

— Brzydko będzie wyglądać okno — rzucił w przelocie Uliczny.

— Poszoł mi stąd — zatupał restaurator.

— Bo co jest? Żal masz, bajbuchu, do mnie?

Restaurator odwrócił się do niego tyłem. Uliczny prztyknął palcem klęczącego Szapszela po czapce.

— Sympatycznego, można powiedzieć, macie klienta, Szapszel.

W bramie, z otwartych bocznych drzwi razury wyglądał fryzjer Leon.

— Zarobiłeś dzisiaj? — spytał.

— Na dwa dni życia. Będiesz po fajerancie na podwórku? Ja dziś jestem wolny.

— Będę. Są kelnerzy u Sobotki?

— Nie widziałem, zadem całą swoją knajpę zasłonił.

Na podwórzu było pusto, tylko przed krowiarnią stał wóz naładowany słomą. Krowiarz Raptus pomagał chłopu pakować snopy na stryszek. I w składzie węgla trzaskało o pieńek rąbane drzewo.

Z okna wychyliła się Mańka:

— Tato, chodź prędzej!

Do muru przed sienią przymocowana była tabliczka:

SZAJA BROD

starszy felczer

pijawki, bańki

Na pierwszym piętrze, pod trzynastym, mieszkał Koperszyk, rzeźnik, naprzeciwko niego akuszerka Lewandowska. Na drugim, naprzeciw Ulicznego, Pałczyński.

Drzwi od mieszkania były otwarte. Mańka, nachyliwszy się nad kuchenką, dmuchała z całej siły pod fajerkę.

— Nie chce się, tato, palić.

— Nic nie umiesz, skarżypyto — zgromił ją Uliczny — odejdz, ja sam rozdmucham — i nachylił się nad płytą razem z małą, obejmując ją lewą ręką. Chude łopatki przycisnęły się z wdzięcznością do ramienia ojca.

Brudne wióry zatliły się, ożywiły ogniem, zaczęły się skręcać, potrzaskiwać.

— Kładź węgiel, ale ostrożnie, i garnek z wodą postaw na kartofle.

W izbie ciasno — w tej sieni nieparzyste loki były jednoizbowe, parzyste dwuizbowe — rodzina dawno się już przyzwyczaiła omijać sprzęty bez zwracania na nie uwagi. Kuchnia stała tuż koło drzwi, tyle miejsca wolnego, że akurat wpakowany tam był zlew pordzewiały i z powytłukiwanymi kawałami polewy. Duże łóżko żelazne zajmuje prawie pół pokoju, stary grat wprowadził się do Ulicznych już za najgorszych czasów. Przedtem stało eleganckie niklowane łóżko ze sprężynowym materacem, zimą, po utracie zasiłku z bezrobocia, trzeba było je sprzedać, właściwie wymienić na grat, a różnica dopłacona przez handlarza starczyła

równo na tydzień życia. Zośka zaścielała je szarym kocem, który pamiętał jeszcze kawalerskie czasy Ulicznego. Teraz tym kocem okrywał się na noc Kazik, sypiał na składanym, polowem łóżku, które w dzień wsuwało się pod łóżko rodziców. Mała sypiała latem koło drzwi na podłodze, na sienniku, sporządzonym przez Zośkę z worka po mące, pół wiązki słomy dostała Mańka od swej imienniczki, dziewczyny, służącej u krowiarza. Na dzień pakowało się sienniczek pod łóżko.

Stół, przysunięty do łóżka, prosty, kuchenny, nawet niepomalowany, też z wymiany u handlarza, przedtem był dębowy, choć nieduży, na cztery osoby. Inaczej nie mógł stać, bo krzesel tylko dwa i to rozchwierutanych, więc Uliczny z małą siedzieli przy jedzeniu na łóżku. Wielka prostokątna plama, jaśniejsza od reszty ściany, jedyny ślad po sprzedanej szafie, która stała koło drzwi, gdzie teraz się rozkładał Mani sienniczek.

Pod oknem skrzynka, podzielona na dwie części: w lewej narzędzia ślusarskie, w prawej nieoprawne, podniszczone książki. Sekwestратор, kiedy po raz pierwszy robił zajęcie sprzętów za radio, wsadził naturalnie nos i do skrzynki. Wyciągnął zatłuszczony „Manifest“, spojrzął z podejścia na Ulicznego, wsadził broszurę zpowrotem.

— Wszystkie takie same? — spytał.

— Wszystkie — odpowiedział Uliczny ironicznie.

— Jak pani może pozwolić — zwrócił się bogobojny sekwestrator do Zośki — żeby mąż takie książki trzymał.

— Od czego jest sekwestrator, od pisania czy pytania? — odpaliła mu Zośka. Uliczny śmiał się, kiedykolwiek opowiadał o naukach sekwestratora.

— Mama idzie — wyskoczyła mała na schody. Drzwi otwierały się do sieni, gdyby otwierały się do mieszkania, izba byłaby chyba o ćwierć mniej pojemna, mądry budowniczy musiał to mieć w pamięci. Na schodach było widniej niż w izbie, okno w sieni umieszczone odgóry służyło jednocześnie jako wyjście dla kominiarzy na dach. W odbarwionem świetle stała zadyszana Zośka. Młodsza od Ulicznego o trzy lata nie wydawała się bardzo sterana nędzą. Była grubej kości, o mocnej czerwonej skórze; chłopaki, co przychodzili do Kazika, mówili o niej: grzmot-baba. Tylko zapadnięciem pod wysokimi kośćmi policzkowymi i naskos przeciętymi oczyma, ostrą marszczą przy kątach ust mówiło niedożywienie.

Osolono wodę w garnku. Do cebrzyka pofurgały kartofle, obierane bardzo szybko i bardzo ostrożnie, już nie te czasy, żeby krajać łupiny na warjata, grubo; za dobrych zarobków robaczywy kartofel szedł prawie cały do śmieci, teraz prawie cały do garnka.

— Mamo, woda kipi.

Zośka ostrożnie wlała do wrzątku połowę pomidorów z flaszki, wrzuciła kartofle. Uchasty, czterolitrowy, żelazny garnek wypełnił się, bąble pary zgasyły.

— Mamo, długo jeszcze?

— Idź na dwór, jak się zagotuje, to zawołam.

Mała zabrała się z izby i po chwili odezwała się z podwórza.

— Mamo-o!

Zośka wyjrzała przez okno. Mała stała, rozstawiwszy nogi, z zadartą głową, wydawała się gruba i niziutka.

— Długo jeszcze?

Matka nie odpowiadała. Nawprost, w oknie przeciwnej oficyny widać było, jak korkarz Tygielszajn garbi się przy maszynie, przystawiając do noża płyty korka. Na pierwszym piętrze, po prawej stronie sieni siedzi na parapecie okna szwaczka Łodzia, wykończając robotę w rękę. Co? — zastanawia się Zośka. Łodzia wyprostowała plecy, przeciągnęła się, spostrzegła Zośkę. Podnosi z kolan i obraca w wyciągniętych za okno rękach białą bluzkę.

— Ładna? — woła.

Zośka odpowiada jej ręką. Bluzkę zamówiła służąca administratora Rubina, niedawno psuła sobie u Lewandowskiej. Grochowa opowiadała, że dziecko zrobił dziewczynie administrator i nawet dał jej na akuszerkę.

Uliczny pociągnął żonę za spódnicę:

— Zobacz, Zośka, bo już mnie skręca.

Obróciła głowę, mocno ściągnięte grekiem włosy miały blask na ciemieniu tłusty i równy.

— Daj spokój, i za pół godziny nie będzie jeszcze gotowe. Ja też rano nie jadłam.

Medytował: wypalić ostatnie pół kowboja czy na pojedzeniu zostawić. Może Kazik da co do zapalenia. Kiedy ojciec nie miał machorki, chłopak nieproszony częstował. Przy matce nie palił, bo Zośka robiła mu za to awantury. Skończył siedem oddziałów i obijał się po mieście, zarabiając po parę groszy sprzedawaniem gazet do spółki z chłopakiem Urbańskich. Tego dnia został w domu, bo musiał węgla nazbierać na stacji. — Przyniesie chyba.

Zapalił kowboja od wióra, wyciągnął się na łóżku i puszczał dym w okno.

— Znów kopcisz — poczuła Zośka.

Poduszka szeleści pod głową, twarda, pierze wziął handlarz, napchało się powłoczki słomą, dwa dni kłóła, potem się starła na proch, przypomina smród koszarowy. W brzuchu kruczy głośnie, przelewa się jakby jakaś woda po kiszkach, nogi są niespokojne, leżą bez ruchu, prawa założona na lewą, a ta oparta na bocznej krawędzi łóżka, żeby koca nie zabrudzić albo gorzej: pościeli, bo prać ługiem — już mu Zośka pełne uszy napłakała, jakie to pranie bez mydła — nogi nie drgną, a coś po nich ciągnie i drażni. Porusza nogami, ale ciągoty

nie przechodzą, patrzy jak przesuwa się w górę i wdół pęknięty wpoprzek przyszwyci trzewik. Trzeba — kombinuje — sprawić sobie nowe sznurowadła do tych ciapci — i myśli, gdzie leży kawałek cienkiego szpagatu. Poczerni się od kurzu sam.

W garnku bulgoce, zupa pryska na płytę kuchenną, płyta syczy.

Zośka schodzi z okna, wkłada pod garnek pękniętą fajerkę, pryskanie ustało. Odmierzyła dwie łyżki oleju do garnka, skosztowała, popróbowowała łyżką kartofel. Zżuła starannie włóknisty ułamek.

— Leż, leż, twarde jeszcze. Nie mówiła Gejserowa, żebym przyszła? — przysiadła się na łóżko. — Odłożyłam na pojutrze na magistracką zupe, bodaj ich pokreśliło, płac im jeszcze za takie świństwo. Na jutro mam trochę pomidorów i kartofli, chleba nie wystarczy.

Uliczny założył ręce pod głowę.

— Co ja poradzę? Dobrze, że dziś jest.

— A co jutro dzieciom dam?

— Odczep się!

— Ja mam pranie u Żołędziowskich dopiero w poniedziałek. Jeszcze siedem dni.

— Odczep się!

Biodro grzeje biodro, ale podrażnienie głodu kłębką gniewu zamykało pięść do uderzenia. Uniósł napiętym karkiem głowę z nad poduszki, słysząc stąpanie na schodach. — Kazik.

Chłopak jednym rzutem oka zlustrował kuchnię, para nad garnkiem uspokoiła go. Postawił koszyk z węglem pod zlewem i odkręcił kran. Oplukując ręce, przechylił się tułowiem nad płytą kuchni, starając się rozpoznać zawartość garnka.

— Pachnie — zaciągnął się parą. — Pomidorami. Prędko, mamó? — Osuszał ręce nad kuchnią i przysunął się do stołu, na którym leżał chleb.

— Nie rusz, zaraz obiad będzie — burknęła Zośka.

— Czego się mama ciska, przecie i tak wtroję swój kawałek chleba, to dlaczego później? Mogę i teraz — wysuwał szufladę stołu, szukając noża.

— Puść, sama podzielę — wyrwała mu nóż z ręki. — Znow chleb podrożał o dwa grosze — mówiła, ćwiartując sitkowy bochenek. — Ruchla się pytała, kiedy jej dług zapłacę, chce żebym jej po półzłotaka dziennie dawała.

— Piętnaście gildn miesięcznie — przedrzeźniał sklepikarkę Kazik pełnemi chleba ustami. Spłaszczyl swoją ćwiartkę w garści i odrywał gliniaste kęsy, szarpiąc głową. — Jabym u Ruchli nie kupował, toby nie zawracała głowy.

— Pięćdziesiąt złotych kredytu i nie daje więcej — powiedziała Zośka z żalem — nie zbankrutowałyby.

Chłopak rzucił ramieniem:

— Sklepik pełen żarcia, chleba, masła, śledzi.

Uliczny z niechęcią przełknął ślinę: — idź do hał, zobaczysz więcej w składach.

Zośka spróbowała kartofel.

— Wołaj, Kazik, Mańkę.

Nie było czem stołu nakrywać, jedyna serweta, pocerowana gęsto — dlatego nie chciał jej handlarz kupić — rozkładała się od wielkiego dzwonu. Cztery poszczerbione talerze fajansowe i blaszane łyżki — pół tuzina plateru poszło na wielkanoc, w lombardzie nie chcieli go wziąć; jakby to srebro było — powiedzieli — to i owszem.

Mała trzasnęła drzwiami i odrazu wpakowała się na łóżko za stół i zaczęła stukać łyżką po talerzu. Łzy jej stały w oczach.

— Kto mój chleb schował? — na stole były tylko trzy ćwiartki.

— Nie becz, masz, to twój chleb, ja już swój wbiłem.

Mała wsadziła ćwiartkę w podolek, wydłubywała miękisz po kawałku, patrząc bystro za matką, jak nalewała zupę z garnka, którego parzące ucho trzymała przez skraj spódnicy.

— Kartofle twarde, mamó — poskarżyła się. Zośka nie odpowiedziała nawet. Pochylili się nad talerzami, łykali szybko, parząc podniebienie; gorąco strawy, palącej przełyk, zmuszało do szybkiego oddechu, w brzuchu układał się odczuwalny ciężar, pot skraplał się na

czole i brodzie. Studzili zupe przegryzanym chlebem. Łyżki podzwaniały o fajans, w zlewie pochłupywała woda z kranu, niedokręconego przez Kazika. Mała ukłękła na łóżku, żeby wygodniej było do talerza, objęła go lewą ręką.

— Dobra zupa, tłusta — mamrotała między łykami.

Zaświtało dno talerzy. Uliczny położył łyżkę.

— Dolej.

— A kolację chcesz dziś jeść?

Kazik złapał za czapkę. Matka, oplukując naczynia nad zlewem, poprosiła:

— Uważaj na ulicy — chwyciła ją mdłość, kiedy zaczęła myśleć o szarą, przytomną twarz chłopaka, przejechanego na Bielańskiej przez przyczepny tramwaj: zmarszczony człowiek w palcie i kapeluszu ścisnął mu czoło, nad czerwono-żółtą miazgą strzaskanej nogi trzech policjantów, czekających na pogotowie tuż przy rudym od krwi kawale tramwajowej szyny, i ludzie na chodniku.

— Wróć przed zamknięciem bramy — odkrzyknął, z trzaskiem zbiegając ze schodów.

Uliczny zpowrotem położył się na łóżku, mała przycupnęła przy nim. Szybko przelknięta strawa leżała kamieniem pod sercem i ciężkie ciepło biło do nóg. Uliczny nawijał sobie na palec sztywny warkoczek małej i rozwijał go, mała poddawała się senna. Na nieodświeżanej od lat, wyblakłej ścianie kwiatki malowane szablonem łuszczyły się, odstawała na nich

miejskami farba, jakby były naklejane. Leniwem spojrzeniem wodził po buraczkowych łałkach kwiatów, oczy schodziły się zezem aż do zawrotu głowy.

Co dalej? Co będzie jutro? Jutro będzie obiad. Co będzie pojutrze? Będzie bezrobotna zupka. Co będzie w piątek? Nie wiem. Co będzie w sobotę? Nie wiem. Co będzie w niedzielę? A co będzie w zimie?

Mała rzuciła głową ze złością: — Boli! — Odsunęła się od łóżka, pokręciła koło Zośki, wycierającej talerze, i wyszła.

Gdzieby znów znaleźć jaką robotę? Redukują coraz więcej, cały dom bezrobotny prawie, wszystkie fachy przestają robić albo pracują dwa-trzy dni w tygodniu. Stary Tygielszajn robi korki cztery dni w miesiącu, młody więcej czasu czeka przed farbiarnią, niż przy swoim filcu stoi; Skrzypek nie opowiada, ale napewno na żebry chodzi. Sałamata zapomina, ja już zapomniałem, jak się długo do ręki bierze; Urbański płacze, że w szpitalu dwa miesiące magistrat pensji nie płaci, ale zawsze się pożywi przy szpitalnej kuchni; Pałczyńskiemu naprzeciwko też magistrat nie płaci, gratów trochę ma, bielizny napewno też, może sprzedać, a jak już zdychać zaczyna, to siada razem z całą kompanią na noc w magistracie, głódówkę urządza — tramwajarze może też głódówkę urządzali? Słaby jeszcze element magistracki, a ruszyło ich. My nie chcemy głodować, my

chcemy jeść, psia wasza mać! Jeść — Koperszyk rąbie mięso w jatce, choć mu z tygodniówki urwali, jeszcze nienajgorzej, codzien ma kawałek ścierwa; Fiut był hrabia przy linotypie, ale jemu jeszcze związek wypłaca zapomogę i zawsze jakiś kolega dzień ustąpi, wyżyć można, bierze wędkę, robaków nakopie, posiedzi sobie nad Wisłą, potem rybki na obiad mu kobieta nagotuje, a wciąż jeszcze ważny, nosa zadziera.

— Kalikst, a, Kalikst! — odezwał się głos z podwórza.

Zoska furknęła spódnicą do okna, przewiało mocnym potem.

— Porada stoi.

— Powiedz że schodzę. Chodź też na gazetę, nikt garnka z zupą nie ukradnie. Nie stękać — poklepał ją po plecach — nim tłusty zdechnie, to chudy schudnie.

Roześmiała się.

— No, widzisz, już się dosyć schudła.

— Nie przystawiaj się, stary dziadzie!

Na kamiennym schodku pod sienią siedział stolarz Porada z papierosem w zębach. Odwrócił się na kroki. Uliczny złapał za papierosa.

— Dajno tego tyfusa, akuratnieś mi się zdał!

Porada ścisnął zęby na ustniku.

— Dam, ale przedtem się sztachnę — zaciągnął się głęboko.

Uliczny przepuścił Zoskę i przysiadł się do stolarza. Puszczal dym pod nogi, na niepod-

miezione śmiecie, żuł zmiękczały papier ustnika i odrazu szarpnęło go w kischkach, jakgdyby wogóle nie jadł pomidorowej kartoflanki.

— I co słysząc, Feluś?

— Ano nic nie słysząc. Chodziłem ze skrzynką po podwórzach, krzyszałem: krzysza reperuję, stoły reperuję. Na Chłodnej zawołała mnie baba, żebym kupił stare krzesło, takiego sosnowego trupa. Mówię jej — może zreperować, bo handlarz nie jestem, to mnie jeszcze zwymyślała. Złotówkę zarobiłem.

— Toś bogacz prawie jak ja. Co na mieście?

— Nie wiem, co na mieście, bom nikogo nie widział. W knajpie wciąż strajkują, rozmawiałem z kelnerami, stali na rogu Ruczaju i Opałowej, czekali na delegatów, co poszli z knajpiarzem gadać.

— Widziałem, jak Szapszel-szklarz nową szybę mu wstawiał. Ostatnią, myślisz?

— Czy ja wiem, knajpiarz musi wkońcu sok puścić, a jak puści, to będzie ostatnia. Przychodził do niego starszy przodownik, piwo pił, rozmawiali chyba o kelnerach. Długiego Józka dziś wypuścili za tę pierwszą szybę. Pytali, kto wybił, a on mówił, że napewno łobuzy z Opałowej z knajpiarzem jakieś porachunki mają, to na złość stuknęli w szkło kamieniem. On siedział jeszcze, a tu już druga szyba poszła. Czekal na delegatów, okropnie na knajpiarza uragał, mówił że w sobotę, po wypłacie w fabrykach, związek pikietę pod knajpą po-

stawi, żeby knajpiarzowi kundmanów poodganiała, niech konkurent zarobi. Warto też będzie wyjrzeć na ulicę.

— Wyjrzym. Czekaaj, po gazetę skoczę.

Na rapowiczowskiej ławeczce pod akacją siedziały Zośka, Lodzia, Sałamatowa i dozorczyń. Słońce już stoczyło się za dach poprzecznej oficynki, rozlało się chłodnym pomarańczowo-fioletowym pożarem, zapowiadającym wiatr. Ulicą ciągnął słaby przedmierzchowy przewiew, ruch towarowy się skończył, przed bramami wystawały gwarzące grupki, na stopniach zamkniętych sklepików rozsiadły się staruchy z małymi wnuczkami, młodzież spacerowała parami i paczkami, jezdnią przeszło dwóch żandarmów z karabinkami na pasie i torbami, podskakującymi na zadach — kanary, kanary — poleciało za nimi. Uliczny zdaleka zobaczył Mańkę, jak z dzieciarnią chodziła gęsiego po rynsztoku, rozpryskując pomyje. — A niech łązi, musi jej Zośka na noc nogi oplukać.

Gazeciarka po znajomości wypożyczała Ulicznemu wieczorową gazetę, dawniej płacił jej za wypożyczenie pięćdziesiąt groszy miesięcznie, ale kiedy po redukcji oświadczył, że płacić już nie może, machnęła ręką: aby tylko gazety nie gnióły.

— Nic nie pogniotę, jak na kwiatek będę patrzył.

Czasem posiedział za gazeciarkę przez chwil

parę przy koszyku, kiedy poszła za potrzebą, grzeczność za grzeczność. Gazeciarka była mrukliwa, wytrzeszczonem okiem patrzyła za chłopakami, kiedy za blisko przebiegali koszyka, bo kradli gazety i tygodniki w locie, zanim zdążyła głowę obrócić. Raz ukradli jej paczkę „tajnych detektywów“, dopiero co przywiezioną przez majdaniarza. Wygrażała pięściami, rozkudłana, na tydzień życia jej ukradli, przepędzała potem chłopaków, zastawiając koszyk sobą.

Gazeciarka miała wykupione świadectwo z inspekcji handlowej magistratu na handel gazetami przy rogu Opałowej i Kwaśnej, przeklinała swój pieski los i męża-pijaka, leżącego na Bródnie: — bo inni to mają punkt taki, że i po dwieście, i po trzysta złotych na miesiąc zarabiają, a ja jak zarobię pięćdziesiąt złotych, to już zupełnie szczęśliwa jestem, a na Marszałkowskiej czy gdzieindziej, tam to chłopaki gazet nie kradną, strat takich nikt tam nie ma.

— E, pani Łuszczuk — odpowiadał gazeciarce Uliczny — i tam kradną.

— Ale mają z czego ukraść, widzisz pan.

— Pani racja. Ja gazetkę biorę, za godzinę odniosę.

Wypożyczanie gazet było, jak pisali w samych gazetach, przestępstwem, prawie kradzieżą. Dlatego dziurkowali je po brzegach przedtem, żeby poznać czy gazeta nie była czy-

tana. Ale co, do ciężkiej cholery, ma człowiek zrobić, kiedy nie starczy tych dziesięciu groszy na kupienie? Jak dobrze gazetę złożyć, to nie będzie śladu czytania, a wedle kradzieży to wiadomo znów, że kto z dziesięciu palców żyje i pieniędzy nie ma, zawsze będzie złodziejem nazywany.

Ktoś potrącił Ulicznego odtyle, gdy wracał z gazetą.

— Uważać tam, cymbale! — huknął Uliczny i obejrzał się.

Robotnik z zakładu wulkanizacyjnego taszczył trzy samochodowe opony, założył je przez ramiona i głowę, szedł w tych opłotach gumy, grubych jak męskie udo, ciemno - czerwony na twarzy, i zataczał się. Uliczny widział kiedyś reklamę gum Dunlopa: człowiek, złożony z opon, na żółtem tle, tylko się nie zataczał.

Na podwórku do kobiet, siedzących na ławce, przyłączył się Fiut z Fiutową, Tygielszajn i Skrzypkowie. Powynosili stolki z mieszkań. Do Porady przysiadł się na kamienny próg sieni fryzjer Leon, sublokator Łodzi, jak się znaczyło w książce meldunkowej Rubina, szwaczki alfons — jak go nazywał Rubin, a faktycznie od dwóch lat — Łodzi mąż.

— Posuńcie się, kobietki — zrobiła Sałamata łokciami miejsce na ławce dla Ulicznego — siadaj pan pośrodku, lepiej będzie słychać.

Kręciły się po podwórzu służące zamożniej-

szych lokatorów z sąsiednich domów z garnkami, gadały przed krowiarnią, potem wychodziły ostrożnie z litrem czy więcej mleka wieczornego udoju. Wmieszała się między nie zrzadka jakaś gospodyni, żona pracującego robotnika, który mógł sobie jeszcze pozwolić na szklanek mleka dla dziecka i kawę do budy.

Uliczny wodził okiem po rozłożonej gazecie.

TAKI JEST LOS GÓRNIKA W POLSCE

Sosnowiec. Na kopalni „Klimontów“ strajk trwa w dalszym ciągu. Robotnicy nie opuszczają podziemi. W środę strajkujący robotnicy rozpoczęli głodówkę, nie chcąc przyjmować pożywienia —

— To tak jak było w magistracie u nas — przerwała Łodzia; odeła wargi: — też lekarstwo na biedę. Wypasiony synek może u swojej bogatej mamusi zarobić na kino, jak nie chce jeść obiadu. Jak u Guzamenbrucha. A co się fabrykant zmartwi?

Skrzypkowa kiwała głową: — dobrze, dobrze, a jak niema innej rady? Jak i tak z głodu zdycha?

— Pani dobrze mówić — wjechał Fiut na Łodzie — przecie to rzecz ludzka. Litości pani dla ludzi nie masz.

— Ja nie mam? — porwała się Łodzia.

— No, chyba że nie ja. Trzeba sytuację ro-

zumieć, nikt dobrowolnie się głodem nie zamorzy.

— Jak już nic, już nic nie mogą poradzić — półszeptem jęczała Skrzypkowa — to może tym głodem choć co wymodła. — Może się zlitują nad nimi.

Porada bez humoru stanął przed ławką.

— Kto? Wie pani dlaczego głodówka? Bo fabrykanci chcą zatopić kopalnię. Nie jest im teraz potrzebna. I robotnicy w rozpacz zjeżdżają pod ziemię i nie chcą stamtąd wyjść. Obsadzało się fabryki przecież nie jeden raz, w hucie szklanej Hortensji w Piotrkowie się zaczęło. Były strajki! „Polskie strajki“ je zagranicą nazywają. Na Klimontowie niezwyyczajny strajk — kiedy fabrykant nie chce walczyć z robotnikami, kiedy on wogóle powiada: niech was głód, choroba wydusi! Wiesz pani, kto się nad górnikami zlituje? — pochylił się do Skrzypkowej. — Wiesz pani, kto? Tylko robotnik. Jak na solidarny znak zastrajkuje! Jak tych w głodówce inny górnik, inny hutnik, inny robotnik nie podeprze, to śmierci mogą czekać, nie zlitowania! Jedną pomoc — strajkować na solidarny znak.

Uliczny czytał dalej ochryplym od wzburzenia głosem:

— — *zebrane na powierzchni kopalni rodziny głodujących robotników próbowały przerwać kordon policji. Manifestanci zostali przez oddział policji odparci.*

— Nie rozumiem — powiedziała z namysłem Fiutowa — co znaczy manifestanci? Przecie na wierzchu były chyba tylko kobiety, no, żony, matki, córki. Dlaczego je ten z gazety manifestanci nazywa?

— Idźżeż pani spać — ucięła Zośka — nie wszystko jedno, jak nazwie? Chyba nie przez miłość tak pisze.

— — *Dla poparcia górników, głodujących na kopalni Klimontów, odbył się szereg demonstracyjnych strajków na czynnych kopalniach.*

— Oo, to rozumiem, to fajno, to akurat jak ty, Porada, gadał — Zośka wymachiwała ręką.

— Nie przeszkadzaj pani — upominał ją Fiut.

— Te, Kalikst, a co tam nowego w Łodzi słychać? — odezwał się fryzjer Leon z pod sieni; rozłożył się na kamiennym stopniu, ręce pod wygoloną głowę zawinał: — w porannej gazecie bąkali, że strajk powszechny się szykuje.

Uliczny przewracał gazetę, szukał, wrócił do pierwszej kolumny.

— Ani słowa.

— Śliczności gazeta — szydził Leon — jak się czego boi, to już o tem nie pisze. Jak od Warszawy do Łodzi daleko, atramenciarz wody do gęby nabierze, żeby się Warszawa na Łódź nie zapatrzyła.

— O Pabjanicach jest — przerwał Uliczny — ale to jest granda. Pamiętasz — odwrócił się szybko do Leona — pisali, że pogrzeb będzie we wtorek.

— Jutro? — spytała Lodzia.

— Jutro!

POGRZEB OFIAR ROZRUCHÓW W PABJANICACH

Łódź, poniedziałek. Dziś o godz. 8-ej odbył się w Pabjanicach pogrzeb 5-ciu ofiar piątkowych wypadków.

W pogrzebie wzięły udział rodziny zabitych oraz duchowieństwo katolickie i ewangelickie. Przebieg pogrzebu był spokojny.

— Więc jak? Więc jak? — kłopotowała się Skrzypkowa. — No, to co? To co było?

— No, to właśnie nic nie było — Leon usiadł na schodku — pamiętacie, kumo, jak to było z pogrzebem tych ofiar, kiedy się browar na Krochmalnej zawalił? Też się pośpieszyli, żeby ludziska nie ponadążali na pogrzeb. A tu jeszcze cwaniej się urządzili, przyspieszyli pochówek o dzień.

Skrzypkowa plasnęła dłońmi:

— I nikogusieńko na pogrzebie nie było?

— Słyszała pani Skrzypkowa, księża byli, zadowolona już pani — pocieszyła ją złośliwie Lodzia.

— Wiecie, baby, że mnie aż zatyka, jak o tem myślę — Sałamatowa trzepnęła się po biodrze.

Ulicznemu zwiśł z ręki płat gazety: — czytałem, że jak zastrzelili tych pięciu, a przecież i rannych było trzy razy tyle, to robotnicy położyli te trupy na szynach tramwajowych. I tramwaje stanęły. Przecież to są nasze, robotnicze trupy. To jest nasz pogrzeb. A tu ci — palce twardo zacisnęły mu się na gazecie, szarpniętej dogóry.

— Uważaj, zgnieciesz, zapłacisz za gazetę — mruknęła Zośka sucho. Gazeta opadła.

— Chyba to było jakieś dwadzieścia lat temu — przypominał Porada — terminowałem u Lilpopa i gdzieś tam na Sybirze, w kopalniach złota strzelali do robotników, też zabili. W całej Rosji strajkowali, u nas tak samo. Ja pierwszy raz strajkowałem wtedy, dobrze nie rozumiałem, pamiętam tylko, że „Lilpop“ stanął.

Pociągnęło wieczornym chłodkiem. Niebo nad dachami wyrównało się, pożółkło. U Sobotki w knajpie zagrała maszyna polkę, muzyka stłumiona drzwiami kuchennymi stała się szybka i równomierna, głośniejąc, gdy drzwi się otwierały. Na drugim piętrze, u Żołędziowskich, służąca zaczęła na blacie kuchennym bić po talerzu. Blaszone odklaskiwało echo na podwórzu.

— Białka biją na pianę — dozorczyńni westchnęła.

— No tak, pan Żołędziowski muszą babeczkę mieć na kolację, w sklepie się, siedząc, zmęczą — dołała Sałamatowa.

— Wybyście tylko gryzły — warknęła Skrzypkowa — im Bóg dał, to niech i mnie da. Ja zazdroszczę, bo sama nie mam.

— Cichaj, cichaj, kobieto, a one to niby mają? Czego się gryziesz? — uspokajał ją Skrzypek, patrząc na okno Żołędziowskich. Klekot urwał się. Wydało się Skrzypkowi, że słyszy, jak zadzwoniła patelnia o kuchnię, i syk tłuszczu. Przelknął ślinę i obejrzał się po swoich. Ulicznemu tak samo poruszyła się grdyka.

— I co tam jeszcze ciekawego?

— Ciekawego, Leon? Ano:

POWRÓT ZASTĘPCY NACZELNIKA URZĘDU ŚLEDZCEGO

Po urlopie zdrowotnym wrócił i objął urządowanie zastępcy naczelnika urzędu śledczego, komisarz Andrzej Skielczyński.

— Zmęczył się biedaczek.

Roześmieli się.

— Chcecie jeszcze?

ZABAWA TOWARZYSKA Z BRUDZEM

*na herbaciarnię dla bezrobotnych
odbędzie się dziś w godz. od 9-ej do 1-ej wiecz.
w dolnych salonach
Hotelu Europejskiego
orkiestra Kantorowicza.*

— Och, trzymajcie mnie — zanosila się łaskotliwa Lodzia — och, nie wytrzymam tych kawałów! Kalikst to zupełnie kino robi.

— Może jeszcze?

Lodzia kiwała głową, nie mogąc dobyć głosu.

RAUT-BAL TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ ZWIĄZKU STRZELECKIEGO

Do rzędu najwytworniejszych zabaw stolicy tego sezonu należy Raut-Bal, urządzony staraniem towarzystwa przyjaciół Związku Strzeleckiego.

Prezydjum komitetu honorowego stanowią: pani marszałkowa, pan marszałek sejmu i pan prezes. Na liście komitetu honorowego znajdują się nazwiska najwybitniejszych przedstawicieli życia towarzyskiego stolicy.

Bal odbędzie się dziś w salonach kasyna garn. Początek o godz. 10-ej wiecz.

Bilety w cenie złotych 8 — —

— O, ho, ho, taniutko — rozkrochmalił się Fiut.

— — można nabywać u pp. gospodyń i gospodarzy w lokalu Związku Strzeleckiego, w godzinach... telefon... oraz przy wejściu na bal za okazaniem zaproszenia.

— Może która z was, kobiety, się wybierze? No, to się spieszcie, żeby zdążyć — i napół przeciał śmiech — dość już tego gnoju.

— Dlaczego gnoju? — podjął milkliwy Tygielszajn. Pięćdziesięcioletni, wyglądał na siedemdziesięcioletniego starca, długi, wyschły, ryżobiały. — Jak kto może wydać, to co mnie to szkodzi. Żebym tylko ja też miał, żeby moje dzieci miały.

— Wy i Skrzypek jesteście z tej samej rodziny: co mnie szkodzi, że fabrykant ma, abym ja też miał. To już wasze dzieci wiedzą, spytajcie Moszka, on wam powie.

— Moszek wciąż mówi i co on ma z tego? Bogatszy jest? Dawniej bez butów chodził, a teraz mądry się zrobił, też koło butów chodzi.

— O waszego Moszka z tajnej policji się wczoraj pytali — wtrąciła dozorczyń.

Tygielszajn sposepniał.

Fryzjer Leon wstał ze swego stopnia. Przeskoczył rynsztok i poklepał Tygielszajna po ramionach: — nie martw się, stary, jeszcze będzie wasz Moszek w całych butach chodził.

— Ja nie doczekam tej chwili.

— Doczekasz, doczekasz, ojciec!

Tygielszajn krzywo się uśmiechnął: — moja zona nie ma zębów i nie ma co jeść. A jak się doczeka dość jedzenia, to nie będzie miała czem go gryźć.

— Jak ranyboga — palnął się Leon w pierś — sztuczne zęby jej wprawimy!

— I mnie też wprawicie, bo i mnie wypadają — poddała się śmiechowi Skrzypkowa.

— I wam wprawimy, no nie, Kalikst? Niech Skrzypek tylko się zgodzi!

Ściemniło się. We frontowej oficynie zapaliło się parę okien. Uliczny składał gazetę, kant przy kancie, wyrównywał brzegi, przywrócił sztywność. Zośka mrugała już na niego, że idzie nagórę, do zupy kolacyjnej.

Grochowa skoczyła z ławki, zapomniała pozapalać lampki na schodach i numer na bramie — jeszcze protokół spiszą, niech to djabli wezmą, nie można spokojnie chwili posiedzieć, Feliks śpi — —

Towarzystwo popruło się. Porada i Leon z Łodzią poszli na miasto. Tygielszajn poczłapał, chrapiąc astmą, do siebie na drugie piętro. Fiutowie pod 68-y — do szwagrów. Skrzypkowie zostali.

Uliczny rozglądał się przed bramą, wypatrując małej; słyszał pokrzyki dziatwy w kilku punktach, zielone światła gazowych latarni ścigały tylko zmrok, rozłożył dłonie przy ustach:

— Mania-a-a!

Pokreślił się po Kwaśnej, zaglądał do bram, gdzie dzieciarnia wyśpiewywała szkolne piosenki — ledwie się szkoła zacznie, a już „Marsz, marsz, Dąbrowski“ i „Marsz, marsz, Dąbrowski“, ani do gęby im nic nie włożą, ani do głowy, tyle że czytać - rachować się nauczą i katechizmu na pamięć. — W złości wyszedł aż na Węglową i tam złapał małą, jak przed ka-

wiarenką razem z małemi Skrzypkami lizała przez szybę popróchniałe pierniki i zjełczałe ciastka.

— Godzinami mam cię, smarku, szukać?

Mała patrzyła na ojca z podejrzliwością, czy naprawdę się gniewa. Wzięła go za rękę, czworo małych Skrzypków za nimi.

— Ty mi tak daleko od domu nie odchodź. bo lanie spuszcze i wam, Skrzypkom, tak samo.

Skrzypki chudo odśmiewały się.

Za węglem, z sobotkowej knajpy powrzaszkiwał radjowy głośnik. Skrzypki zatrzymały się i Uliczny poczuł odrazu opór maniny dłoni. Pociągnął za sobą oporną, a gdy nie zmiękała, wziął małą na rękę. Skrzypki zostały. — Nie bzdycz się, nie bzdycz się, Mańka, wstyd, masz sama radio.

— A kiedy ja nie chcę sama, tylko razem ze Skrzypkami.

Na schodach mała opadła mu na kark, sena. — Nie śpij, jeszcze kolacja będzie.

Drzwi od mieszkania były otwarte. Oszczędzając nafty, Zośka krzątała się w półmroku, naftowa lampka gospodarska, kopcząca w sieni, musiała starczyć.

Pełgał z pod kuchenki rudy blask, kładł się na szczerbate deski podłogi, chwycił stół i rozklapł krzeselko za nogi, skracał się i, potrzebując rozżarzonym żużelkiem węgla, wydłużał. Zupa bełkotała w garnku. Połowe łóżko Kazika zatkało już dojście do okna i sienni-

czek Mańki rozwalila Zośka pode drzwiami. Uliczny z małą na ramieniu zatarasował sobą drzwi, jeszcze jej nie postawił na nogi, kiedy matka spytała:

— A w wychodku byłaś? Chyba, wiedziałam, że zapomnisz. Ojciec nie mógł dopilnować.

— Czego chcesz, ma nocnik.

— Dość śmierdział nocnik przez całą zimę. Latem może pójść na dwór.

— Wracamy, Mańka, idziem do ustępu — Uliczny obrócił się we drzwiach.

— Ostatni raz żeby mi to było — groziła Zośka — siadaj do stołu.

Żeby nie mieć roboty ze zmywaniem stauk, nalala zupy na jeden talerz i jedli z niego we trójkę.

— Pokwaśniała już.

— Co chcesz, na takie ciepło —

— Mamo, a chleba niema?

Uliczny podsunął małej kartofel na jej skraj talerza, ale odsunęła go.

— Nie chcę kartofla, tylko chleba.

— No, to marsz na siennik!

Mała zrzuciła sukienkę i wlała pod czerwoną kołderkę, którą Zośka dostała od Gajse-rowej; satynowe pokrycie odłaziło całemi kawałami, odkrywając brudną, zwiędłą watę.

— Włosy rozpuść, bo gnidy ci się zalęgna — upominała matka. Mała, rozplatając ciasny warkoczek, przyglądała się przez klejące się

powieki, jak matka wlała resztę zupy zpowrotem do garnka i postawiła na kuchni dla Kazika, zmywała talerz pod zlewem, ojciec siedział na łóżku i majstrował przy słuchawkach. Zośka zamknęła drzwi, zmroczniało, mała usnęła, żar pod kuchnią wolno przygasał popiołem.

Ze słuchawkami na uszach, lekką muzyką z kawiarni, Uliczny zrzucił bluzę na okno, zzuł buty i rozpiął pas, spodnie opadły na podłogę, nie podniósł ich, choć dawniej układał w kant: ułożysz, nie ułożysz, ten sam łach zostanie. Stał chwilę w przepoconej, aż gryzło, koszuli, brzegi Zośka poobcinała na mankiety, była dłuższa, chłodny wiaterek łaskotał włochate nogi, póki dreszczem nie przejechał po grzbiecie. Zwalil się na posłanie, aż zaskrzypiały poprzeczne pod siennikiem pręty. Słyszał, jak Zośka układa swoją kieckę na poręczy łóżka — baby zawsze takie, czym jej kiecka lepsza od moich portek, a jednak chucha jak na jedwab. Odsunął się do ściany, robiąc miejsce Zośce. Objęła go za szyję i, parząc brzuchem i piersią, oddychała mu równo i gorąco za pazuchę.

— Kalikst, co będzie?

Świsnął przez zęby. Obruszyła się: — ciszej, Mańkę obudzisz. I Kazika jeszcze niema.

Uliczny uniósł się na łokciu i wyjrzał na podwórze. Naprzeciwko w sieni mżyło naftowe światelko: — Jeszcze brama otwarta — zawrócił do pytania: — co będzie? Tylko aby się nie

dać. Nazywa się: walczyć. Na dzień jedzenia, jutro trza dalej szukać.

— Jesień idzie, niema butów.

— Jesienią będziesz się martwić, chodź, Zośka — i przewrócił się na nią. Objęła go nogami, czuł, jak chodzą jej żebra w półśmiechu. — Czego? — spytał przez przyspieszony oddech i skrzyp łóżka.

— No, z takiej walki.

Zgniół ją ramieniem. Kiedy w coraz mocniejszym splocie bili o siennik, szepnęła twarde: — uważaj, dziecko będzie. — Bił w nią wciąż ostrzej i wycofał się w ostatniej chwili.

Zsunął się do ściany, oddychając jeszcze głęboko całą piersiową klatką i, czując jej oddech, odpowiedział: — chyba nie będzie.

Mała posapywała przez sen.

Uliczny pstryknął naraz palcami. — Kazałaś jej nogi umyć? Po rynsztoku laziła.

— Nie.

— Wiedziałem. — I zasnął z chrapem.

III.

Skład węgla stał nawprost śmietnika, tuż za krowiarnią. Co parę dni zachodził do podwórka staruch albo starucha w prześmierdłych galganach, z workiem, naksztalt torby przewieszonym przez plecy, i z popularną „siódemką“, kijem, zakończonym żelaznym ha-

kiem, w ręku. Śmieciarz pochylał się nad otworem śmietnika, badając wzrokiem jego zawartość, orał siódemką zwał odpadków i śmieci.

Węglarz za boki się brał:

— Nic, dziadu, nie znajdziesz, biedne podwórko.

Staruch łypał nieufnie okiem, obiegał spojrzeniem obydwą piętra kamienicy, że niby dla czego ma nic nie być? — ale szmat nie było, szmelcu też, ot, parę kości tylko — zatrząskawał wieko śmietnika i odchodził, mruczając psimacie, puszczając za sobą z worka ciężką zgniliznę odoru.

Kiedy to była śmieciarka, nie śmieciarz, węglarz Walas dogadywał:

— Chciało się, babko, za młodu z chłopami wciąż w krzakach się macać, o zarobku trzeba było myśleć, pieniądz na starość odłożyć, a nie teraz z siódemką chodzić.

Na morały staruchy przeważnie odpowiadały zadarciem spódnicy odytłu.

Węglarz łamał się ze śmiechu, bez obrazy:

— A kiedyście, babciu, ostatni raz się kąpali?

Gdy starucha przez szczerbate szczęki zaplawała się oburzeniem, Walas zmieniał naraz ton i ucinał:

— No, no, tylko cicho, bo zaraz policję za te awantury zawołam.

Latem ruch w składzie węgla był słaby —

frontowe mieszkania kupowały węgiel na tonny, wozami, i to nie u Walasa.

Hurtownik co innego, jak sprzeda kilkadziesiąt wozów dziennie, ma z czego żyć i jeszcze coś ponadto, i to dobrze żyć! A detaliczny handel latem, dajmy spokój. Choć i zimą w zeszłym roku nie przelewało się, ludzie przestają palić, koniec świata prawdziwy. Ale zima to zawsze zima.

— Wiesz, Kaźmierz — mówił Walas do tragarza węgla, sublokatora Skrzypków, bezrobotnego garbarza — nie wiem co dałbym, na żydałbym się obrzezał, żeby cały rok była zima. Czytałem gdzieś, są przecie kraje, gdzie nigdy lata niema. Taka Syberja na przykład. Tylko lód i lód, mrozy przez okrągły rok. Mówi się: syberyjskie mrozy. Na takiej Syberji węgiel sprzedawać, toby się dorobić można! Plunąłbym na detal, hurt tylko i hurt, o niczem innym nie chciałbym słyszeć.

— A może tam drzewem pałą — odpowiedział z nudą tragarz.

— Drzewem, powiadasz? To gorzej. Choćby i drzewem, a zawsze hurt. Tyle, że więcej ludzi do roboty potrzeba.

— A jeżeli tam już hurtowego handlu niema — odpowiadał tragarz fantazjom Walasa.

— Jakto niema? Wszędzie jest — zdenerwował się węglarz.

— Przecie to bolszewicka jest ta Syberja, panie Walas, to i hurtu chyba niema.

— Zimno tam musi być bez hurtu, a ile ludzi przy hurcie żyje, hurt to jak nieprzymierzając ojciec detalu. — Węglarz sflegmatyzował i na zimno przypiął się do tragarza. — Powiedz, ty bezrobotny jesteś, z czego żyjesz, jak nie z mojego detalu?

— Z pańskiego detalu — zgadzał się tragarz.

— A w innych składach węgla z czego tragarze żyją, nie z detalu może?

— Z detalu.

Kiedy nie było ruchu, Walas godzinami mówił do tragarza i wpadał we wściekłość, gdy ten mu nie odpowiadał. Przeważnie Kaźmierz powtarzał w odpowiedzi tylko koniec zdania, żeby się węglarzowi nie narazić, i tak szła rozmowa, jak okulały koń do weterynarza.

— Wiesz ty, co to detal jest?

Tragarz poruszał głową.

— Detal to jest najważniejsze. Jakby nie detal, nie byłoby na czym strawy ugotować. Nie ma kto pieniędzy na wóz węgla, u mnie kupi sobie ten węgiel na raty, po pięćdziesiąt kilo. Nie ma na cały koszt, kupi sobie dziesięć kilo u mnie, albo i pięć w kubelku. Coby lokatorzy zrobili bez detalu? Coby bez detalu zrobili?

— Nicby nie zrobili — zgodził się tragarz.

— A widzisz! Nicby nie zrobili! Z głoduby, zimna pozdychali.

— Zdychają.

Węglarz spojrział zukosa a ostro.

— Żle ci jest u mnie? Narzekasz?

— Żle, nieźle — dyplomatyzył tragarz — przydałoby się lepiej.

— Zrób komu łaskę, to tak ci się odwzięczy — powiedział Walas sentencjonalnie przed siebie, w otwarte drzwi składu. — Wolałbyś u krowiarza gnój z pod krów wyprzątać. — Walas z pogardą traktował krowiarnię: chłopskie zajęcie.

Tragarz opuścił głowę w ramiona. Drzemał, stojąc, usiąść Walas mu nie pozwalał, póki sam stał na nogach: — u mnie robotnik musi znać porządek. Jak w wojsku, panie!

Przyszła pończoszarka z pod 32-ego po pięć kilo. Tragarz ocknął się, starował wiaderko na wadze i sypnął w nie łopatą węgla.

— Dymane zarobki — myślał. Za ważenie, za całą pracę w składzie nie dostawał nic. Zarobek zaczynał się dopiero, gdy zanosił węgiel klientowi do domu. Nosił na zmianę z kolegą. Od pięćdziesięciokilowego kosza klient płacił dwadzieścia groszy, dwadzieścia pięć — bardzo dobrze. Czasem jakby na złość kto wyliczył, trzecie piętro, czwarte piętro, trzecie piętro, piąte piętro, ani razu poniżej trzeciego. Zachorował kolega — po takim dniu Kaźmierz, przyszedłszy na nocleg do Skrzypków, nie mógł się nawet umyć. Walił się twarzą na siennik i budził rano z przygniecionym nosem i rozparzo-

na twarzą, drewnianemi rękoma i nogami, z obrzękiem na obojczykach, choć pod drażek podkładał szmacianą poduszeczkę, i grzbietem aż po pośladki tak obolałym, że bez sykania nie potrafił głowy odwrócić. Nie zdarzyło mu się zarobić więcej niż trzy złote dziennie. Zimą. Latem — trzy, cztery kosze dziennie i to wszystko, bo reszta — kubelki. Od maja kolega poszedł z węglarni na zieloną trawkę, zrobił się bezrobotny już na całego, od Skrzypków się wyprowadził sam, bez awantur, w Cyrku sobie mieszkanie, mówi, wynajął, nawet chwali. Walas z głodu nie zdechnie, zimą odłoży, latem też swoich piętnaście tonn miesięcznie sprzeda, starczy mu na piwo u Sobotki, opojowi.

Aż mu w ustach kwaśniało, kiedy na Walasa patrzył. Niby nieduży, a taki ma charakter drański. Jak rzadko. Miał przecież Kaźmierz w garbarni majstrów nad sobą, psy, co tam gadać, i w garbarni Franciszka Sachsa pracował trzy lata, i w garbarni Leopold Brandwein i Synowie, spółka akcyjna, patrz - przymierzaj a przecie największa firma w Warszawie, majstrzy za dyrektorami latają przy robocie jak warjaci, ale nigdy, żaden nigdy flaków człowiekowi swoją łaską nie wypruwał. Owszem, trza było nieraz majstrowi wódkę postawić, ale majster sam wiedział, że to złodziejski spirytus, no boś mu postawić musiał, nie było rady. Ale łaska? Chłop z ambicją by tu nie wy-

trzymał. Uliczny, Porada dałby mu po mordzie, nie wytrzymałby.

— Widzisz, widzisz — zawarkotał Walas, wyciągając rozczapierzoną dłoń na bramę — widzisz, znów szczeniaki koszyk z węglem niosą. Uch — zagniółł palce — skórę pasamibym z nich krajał, że na stacji węgiel zbierają! W kryminale gnić powinni, bękarty! No i co ja na to poradzę?

— Nic pan na to nie poradzi — —

— A jak mi węgiel z wozu podkradają, to sobie poradzę?

— Poradzi pan — —

— Widzisz! Już mnie złodzieje znają, uciekają na drugą stronę ulicy. Ja za wozem idę, sam pilnuję, furmani takie same złodzieje, jak złodzieje same. Może nie kradną?

— Kradną — z coraz większą nudą odpowiedział tragarz.

— Pilnować trzeba umieć! Żeby ja był kolejowym ministrem, u mnieby węgla z pociągów nie kradli. Złapałbym złodzieja, odrazu wojennym porządkiem na pierwszym drzewie go powiesić. Niema drzewa pod ręką, związać złodzieja, pod koła go podłożyć. A resztę złodziejów za kark trzymać, niech się patrzą. No, mam rację?

— Abo ja wiem — powiedział powoli tragarz.

— A co ty wiesz? — przedrzeźnił go Walas. Ze złością wyszedł ze składu i przechadzał się,

założywszy ręce za siebie, między śmietnikiem a składem. Nie wytrzymał długo, zadarł głowę i krzyknął na pierwsze piętro poprzecznej oficynki.

— Marcela! — a kiedy Walasowa wystawiła głowę na podwórko — będzie dziś obiad czy jak?

Odwrócił się i odęta twarzyczka o starannie wykończonych, z blaskiem na dnie, zmarszczkach cienkich i prostych wypogodziła mu się odrazu. Przed krowiarnią, nad rynsztokiem myła bańkę od mleka dziewczyna, Raptusowa dojarka. Pochylona, głową do bramy, wypinała mocny zad na rozstawionych szeroko bosych nogach. Walasowi chodziło oko od jej czerwonych, rozplaszczonych stóp po tęgich jak butle łydkach do ćwierć szerokobiałego uda — wyżej spódnica nie chciała się zadrzeć. Za ruchem ręki, szorującej odwewnątrz bańkę, spódnica równo wznosiła się i opadała, i białopłynny, sinawy jak zsiadłe mleko kawał uda — lewego było widać więcej, prawego mniej, spódnica unosiła się skosem — nieznacznie trząśł węglarz. Odwrócił głowę wprawo, tragarz stał przed składem i szeroko się uśmiechał, z zaciekawienia nawet głowę przekrzywił na ramię. — Świnia! — Rzucił chyłkiem głowę wlewo, Groch wyglądał z sieni, oparł się o futrynę drzwi, papierosa palił, ślepia mu się na dziewczynę świecą. — Byki, tyłkoby trykali, nic innego w myśli nie mają.

Poderwał się i szybkim krokiem zbliżył do dziewczyny. Podniósł rękę i twardo, pełną dłonią prasnął ją w zad. Wrzasnęła na całe podwórko, a Walas kogutem pokrzykiwał:

— Nie wystawiaj gołej dupy! Wstydu nie masz!

Ale kiedy na wrzask dziewczyny zaczęły się wychylać głowy z okien, Walas wycofał się, posapując, do składu.

Dziewczyna ucichła, pobrzdękiwała bańka o brzeg rynsztoka, popryskiwała woda z bańki w rynsztok, ciekawym sprzykrzyło się czekać na awanturę, która nie pękała, i odeszli od okien.

Z okna kuchni Sobotki wysunęła się do połowy kucharka Kukawcowa.

— Abo co? — odkrzyknął węglarz.

— Dwadzieścia kilo podpałki kazał stary przynieść.

Zahuczał zaraz Sobotka za nią. Kucharkę zmyło z okna. Kłapiąc pantoflami, w brudnym białym kitlu, poszła sama do składu. Urągała na Sobotkę: — pilnować mam wagi, żeby nie okradł! A jak ci, grubasie, da o dwa kilo mniej, to ci się krzywdą stanie? sam nie może pójść dopilnować, tylko ja mam na zmordowanych nogach dyrdać.

Na złość Sobotce, który wysadził łeb za nią, — to widziała dobrze i jeszcze więcej ją rozżłościło, że jej pilnował — nie patrzyła na wagę, kiedy Kazmierz nakładał do kosza tłustą sośninę.

Kuchnia restauracji była dość przestronna, mocno pokopcona, nieodnawiana od lat. Kredens z fajansem, wielki piec kuchenny, stół obity blachą, jeden zwyczajny stół, drewniana ława i dwa stołki. Kaźmierz zwałił drzewo do skrzyni przykuchennej i czekał na zapłatę. Sobotka, bez marynarki, w mokrej koszuli z zawiniętymi na ciemnoowłosionych przedramionach rękawami odliczył mu należność za drzewo: — za odniesienie chcecie parę groszy czy coś na ząb?

Kaźmierz ważył: zawsze coś do zjedzenia więcej warte od tych piętnastu czy dwudziestu groszy za kosz drzewa. Chyba da kawałek mięcha?

— Niech Kukawcowa na chleb położy z wczorajszego. — Sobotka wyszedł do knajpy, odklejając sobie koszulę, przylepioną pod pachami.

Kucharka wyciągnęła z piecyka garnek z resztkami mięsa po wczorajszym i onegdajszym wieczorze, nawaliła na pajdę chleba i, mrucząc sama do siebie, nie chciała żeby tragarz słyszał — sambyś do gęby nie wziął, a człowiekowi każesz jeść — rzuciła okiem, czy Sobotka nie wraca, i na złość knajpiarzowi dołożyła nawierzch kawałek pieczonego schabu, stygnącego na półmisku pod oknem.

Kaźmierzowi całkiem mokro się w ustach zrobiło. Otarł rękę o podszewkę marynarki, co tam, można i brudną.

— Siadaj pan sobie na stołku, czego stać z je-

dzeniem — zaprosiła Kukawcowa. Kaźmierz odsapnął, nogę na nogę założył. Otworzyły się drzwi, Sobotka stoi, twarz ma złą, aż Kaźmierzowi szczęki stanęły.

— Co tu u mnie restauracja w kuchni? Gości mi takich potrzeba! Jeszcze się rozsiadł jak hrabia! Jazda stąd!

Patrzy to na tragarza, to na kucharkę, jakby mu co ukradli. Kukawcowej twarz poczerwieniała do krzyku. Tragarz zgniótł chleb z mięsem w dłoni, ciepły tłuszcz pociekł mu po palcach, lewą ręką pociągnął do sieni kosz za ucho.

Skrzypek, wyglądający oknem, przywołał Kaźmierza. — Jak robotę skończysz, to zaraz przyjdź, sąsiedzi się zejda, o naszej eksmisji chcą mówić — dostrzegł chleb w ręku tragarza — daj kawałek.

Z żalem tragarz położył niedojedzone na parapecie i zarzucił kosz na ramię. Przechodząc koło dojarki, doszorowującej bańkę, potrącił ją umyślnie. — Bestja — myślał Skrzypek, skubiąc resztę Kaźmierzowego chleba — jeszcze dziewczynę zaczepia. Jabym już nie mógł. — Od kilku miesięcy zauważył, że coś się w nim popsło. Nie szło mu po małżeńsku ze Skrzypkową, jakby mu kto krzyże poprzetrącał. Starość? Ojciec jak zginął miał sześćdziesiąt cztery lata i do samej śmierci wciąż miał siłę w kościach, żadnej kobiecie nie przepuścił, a matka, póki żyła, żarła się z nim o ździiry, że cały pieniądz na nie przepuszcza. Skrzypek chwiał głową z żalości

nad sobą, tak szybko człowiek się kończy, ledwo czterdzieści lat i szmata się zrobiła. A jaki trykacz dawniej był z niego! Skarżyła się Skrzypkowa ile razy sąsiadkom, że ją zamęcza; kiedy była zła na niego, mówiła: ogier. Teraz bieda wywałaszyla go docna, przepuściła przez taki magiel, że no — —

Leżał piersią na parapecie okna i podgiętymi nogami opierał się o poprzeczkę stołka. Poczul, że stółek drży razem z jego własnymi, skrzypkowymi nogami. Próbował inaczej je ustawić. Wszystko jedno, podskakiwały jak na sznurkach. Wstał i dopiero skakanie nóg przeszło w słabość. — Kopyta wyciągnę, jak tak dalej pójdzie — zżuł szybko chleb. — Pójdę na żebry, niech się cały świat spali. — Zaczął układać sobie, kiedy wyjdzie, jak będzie prosił, co do domu przyniesie. Choćby tylko po suchym kawałku chleba w paru domach, to już się nie będą skręcali tak jak teraz. Jednego tylko brakowało: jeszcze jednej gęby do jedzenia, jeszcze jednego bachora. W którym miesiącu jest baba? Ona liczy, że w trzecim, w czwartym, z czego? Jeden diabeł wie! — Medytował: to nie ja! Może Kaźmierz — i nawet nie chciało mu się chryi robić. Musiałby się Kaźmierz wynieść, a jednak swoich dziesięć złotych miesięcznie daje i tam jeszcze trochę jedzenia się podzieli. Chyba nie Kaźmierz, nie chciałby z takim wyschłym gnatem jak ona. Młody, może młodsza znaleźć, choć sam niewiele wart, też taki sam

farfocel. Wszystko jedno, niech kobieta sobie psuje, bo własnymi rękami on, Skrzypek, szczeniaka zadusi, niech się później nie męczy.

W kuchence Skrzypkowa poruszała się cicho, szurał szorstko nóż na główce przyniłej kapusty, którą dzieciaki przyniosły z targowiska. Kiedy weszła:

— idź jakiej omasty poszukaj —

odmruknął: — a skąd ci wezmę, nikt zadarmo nie da, prędzej tobie dadzą, jak poprosisz — i patrzył na jej brzuch. Płaski jak deska, kretonowa spłowiła naszczęt kiecka dokładnie trzymała się ciała, sterczały po bokach ostro kości miednicy. Djabli ją wiedzą.

Poruszał ręką: zbić babę czy jak? A może nie jest brzuchata? Szkoda się męczyć po próżnicy. Myślenie miał zimne, nie przejmował się do krwi, ot tak myślało się sobie.

Skrzypkowa nie namawiała go więcej: racja, prędzej ona sama od jakiej sąsiadki trochę oleju albo skórkę słoniny dostanie, kobieta od kobiety to sąsiedzka pożyczka, a chłop prosi, to już nie po ludzku. We drzwiach starła się Porada. Na jego głos Skrzypek zlał z okna.

— Nikogo jeszcze? Byłem u Leona we fryzjerni, Ulicznemu powiedziałem, żeby w te pędy przychodził.

Porada rozłożył się na sienniku Kaźmierza. Żadnych gratów poza siennikami nie było. Wszystko, za co handlarze choćby grosz chcieli dać, Skrzypkowie sprzedali, a reszta poszła zi-

mą do pieca. W kuchni stołek i dwie paki z wypalonym stemplem „ostrożnie szkło“ służyły za sprzęt. Ściany pobielił Skrzypek w zeszłym roku od robactwa, choć wiadomo, że to nic nie pomoże; kiedy taki tłok w izbie, każdy coś ze sobą przyniesie.

— Kiedy twoje sublokatory się pozłazą?

Poza Kaźmierzem i sześciorgiem Skrzypków mieszkało w dwóch izbach jeszcze pięć osób, takie same jak i Skrzypek odpadki od roboty, kombinujący na wszystkie strony, jakby co złapać, jakby się czego ucześcić, i choć każdy obiecywał, że komorne za kąt dawać będzie regularnie, nikt Skrzypkom poza Kaźmierzem nie płacił. Dawniej mieszkał kolega Kaźmierz, wyniósł się latem na świeże powietrze. Mieszkała dziewczyna, co pracowała po trzy dni w fabryce konserw, zarabiała trzydzieści złotych miesięcznie, poszła chyba na lekki chleb. Mieszkała żebraczka z pod kościoła świętego Florjana na Pradze, ale za daleko jej było codzień chodzić na swój posterunek, stara pijaczka, wyprowadziła się na Pragę z całym swoim majątkiem, miała w zawiniątku tylko nową suknię na pochówek. Chłop w wojskowym, rudym płaszczu bez guzików opowiadał, że wrócił z niewoli bolszewickiej dopiero w 1930-ym roku, a kiedy Uliczny — umiał po rosyjsku — próbował z nim pogadać, zobaczyć czy nie zapomniał jeszcze mowy, chłop ani słowem mu nie odpowiedział, ciemna jakaś maska, pomieszkał trzy tygodnie

i dał nogę. W ciągu jednego roku przemieszkało i wyniosło się chyba z dziesięć osób. — Prawdziwy hotel — pokpiwał Porada — tylko hotelarz do tarcia chrzanu, nie umie swoich interesów pilnować. Było jak prawo, że sublokator płacił Skrzypkowi za pierwszy miesiąc zgóry, potem zapominał wogóle o komornem. Skrzypek upominał się raz i drugi, wtedy słyszał w odpowiedzi: a pan sam płacisz komorne? Nie? To czego pan chcesz od porządných ludzi? Kto inny na miejscu Skrzypka byłby nieplacącego sublokatora wystawił za drzwi, ale Skrzypek tak zapleśniał, że mu wszystko jedno było, i sublokatory bezrobotne jedne w drugiego, i co im zrobisz, a zresztą zimą w tłoku cieplej, choć śmierdziało szpetnie. Teraz prócz Kaźmierza mieszkało u Skrzypka, licząc na palcach:

Kciuk złamany, w ciemnym przed świtem zimowym tłoku, przy magistrackim najmie bezrobotnych do uprzątnia śniegu, w bójce o miejsce Skrzypek się wywrócił, całym ciężarem padając na rękę, dwa tygodnie chodził z opatrunkiem, a kciuk zrósł się krzywo: Marchowska Anna, młodsza siostra Skrzypkowej, wdowa bezdzietna. Skrzypek nie lubił o niej mówić, wstyd tylko przynosiła, często nie nocowała w domu, co robiła nie opowiadała, czasem dostawała posługi, ale nie utrzymywała się nigdzie dłużej. Przyjechała na jesieni z Łodzi, dawniej pracowała tam w fabryczce trykotaży, a że rodziny poza Skrzypkową nie miała żadnej, zwała się

szwagrowi na kark. Skrzypek narzekał, choć niej nie dawał.

Wskazujący, o twardym jak róg brzuchu, przekreślony białą blizną, rozdarty parę lat temu, kiedy Skrzypek pracował przy miejskich zakładach ogrodniczych i zardzewiałym drutem kolczastym — pochodził jeszcze z demobilu — ogradzano warzywnik, ogrodnik zbyt mocno pociągnął za drut wiszący luźno, drut skoczył do Skrzypkowej ręki i aż zaskrzypiał kolcem po kości: nazywa się Pawełek, ma lat ze trzydzieści, sprzedawca uliczny, handluje sezonowymi artykułami, na Wielkanoc śmigusową wodą kolońską, która nigdy spirytusu nie powąchała, na Zielone Świątki tatarakiem, którego naciął chyłkiem pod Wilanowem, na 3-ci maja bibułkowymi chorągiewkami, które sam kleił z białej i amarantowej, na 11-ty listopada to samo, na Boże Narodzenie sprzedaje fajerwerki; w przerwach między „sezonami” handluje ormiańskim kadzidłem, którego zapachu nie znosi, a musi stać z tłącym się papierkiem w dłoni, bo inaczej nikt go nie zauważy; albo serwetkami papierowymi; niekiedy udaje się złapać za miastem zaskrońca i wtedy, oglądając się na wszystkie strony, czy niema policjanta albo jakiej litośniernej duszy z pod znaku towarzystwa opieki nad zwierzętami, na jakiej ruchliwej ulicy zachęcająco kolebie sztywno-krętym węzem. Kapitał zakładowy waha się od pięćdziesięciu groszy do dwóch złotych. Zarobek dzienny: od

powrotu do Skrzypka z niesprzedanym towarem — do kilku nawet złotych w gorący czas sezonów świątecznych. Jeszcze jedno zajęcie: na Boże Narodzenie odnosi również kupującym do domu choinki z targów i wówczas trafia się, że dają mu kieliszek wódki na rozgrzewkę.

Palec środkowy i czwarty poza reumatycznymi zgrubieniami stawów znaków szczególnych nie posiadają: pijaczysko najokropniejsze w pozyciu lokatorskim, dawniej woźnica w zakładzie przewozu mebli, stracił posadę przez pijaństwo. Opowiada, że wódka już rodzinna u nich. Ojciec był pijak i kitę odwalił u czubków i dziadek też był pijak. Kiedy nie ma na wódkę, choruje, wychodzi na miasto i kradnie, co jest pod ręką. U Skrzypków nie kradnie, bo niema co, ale babce z pod Florjana już raz wynosił węzełek za bramę, kiedy małe Skrzypki zauważyły i zabrały mu go. Nazywa się Kuropatwa. Żonę ma pobożną jak rzadko się trafia, sprzedaje cytryny w hali. Miała kilkoro dzieci, ale wszystkie małemi pomarły, głównie na konwulsje. Modli się wciąż za zbawienie duszy Kuropatwy od mąk piekielnych, przekonana, że w życiu przysłem nie spotka się już z mężem, bo on skończy na piekle, a ona zacznie od czyśca.

Piąty był oszepecony przez brak ostatniej falangi, okaleczył go Skrzypek, kiedy chłopakiem zaczął terminować w mechanicznej stolarni: postawiono go przy pile obrotowej i przez cały dzień podsuwał arkusze dykty, zagapił się przed

wieczorem i podsunął dyktę razem z ręką. Więcej nie chciał już wrócić do stolarni, znalazł inną robotę, ale już się nie wykwalifikował, zawsze był „do wszystkiego”. Piąty sublokator był lepszy gość. Opowiadał, że szlachcic jest, tylko bardzo zbiedniał, rodzina majątki duże miała, ale niema sprawiedliwości na świecie i dobry szlachcic musi się z pospółstwem poufalić. Koszuli ani jednej nie miał, chodził stale z podniesionym kołnierzem oskubanej marynarczyny i był stałym klientem magistrackiego wydziału opieki społecznej, dostawał często kartki na darmowe obiady dla inteligencji, a pozatem chodził po śródmiejskich bogatych domach i zbierał sobie na szlachectwo swoje czyli na koszulę. W najlepszej zgodzie żył ze Skrzypką szwagierką, Anną. Skrzypek i Skrzypkowa z początku pomstowali na rozpustę, a później przestali zwracać na niego uwagę. Tylko nowy sublokator mógł z zainteresowaniem słuchać opowiadań Stynowicza o jego herbie i rodzinie magnackiej. Rzeczywiście pochodził ze szlachty, ale już jego ojciec był kancelistą na kolei Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, on sam też zaczął jako kancelista, a później, mówi, przez niesprawiedliwość ludzką sponiewierany, pozbawiony został pracy. Gdzie? — spytał go kiedyś młody Tygielszajn. Okazało się, że pisał papierki w organizacji ziemian ukraińskich, którzy uciekli przed swymi chłopami.

— Kiedy to było?

— W tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym.

— Toś pan żelazny bezrobotny — zauważył Tygielszajn — należy się panu medal.

— Niejeden, niejeden — z godnością odpowiedział Stynowicz. U Skrzypków mieszkał, jak tłumaczył, dlatego że nie znosi tłoku, woli mieszkanie prywatne. Okresami mieszkał w cyrku.

Każdy sublokator na dzień swój siennik składał we dwoje i podpierał nim ścianę w swoim kącie, rozłożony był siennik tylko Skrzypków. Porada obrócił się nabok.

— Idź ty jeszcze, zwołaj sąsiadów.

Tłumaczył się Skrzypek, że mu nieporęcznie, żeby o kogo innego chodziło, to onby od razu poleciał — —

— Burżujskie honory się ciebie trzymają — Porada, stęknawszy, dźwignął się z podłogi — ale niech ci będzie.

Skrzypek usłyszał, jak z podwórza Porada rozmawiał z Sałamata, wołał Tygielszajnow, Łódzia odpowiedziała, że już schodzi, wszedł Uliczny i placnął się na stół, odkrzyknął Urbański, że za parę minut. Kogo brak jeszcze — Skrzypek sam wylazł na pierwsze piętro i zastukał do Kopersztyka: sąsiedzi proszą, żeby zaszedł do niego, Skrzypka, pogadać. Potem w sieni, naprzeciw drzwi Łodzi, do Fiuta. Fiut skrzywił się, że nie lubi pustego gadania, jak ma być eksmisja, to i święty boże nie pomoże. Wkońcu poszedł.

Izba zappełniła się. Porozsiadali się na siennikach. Fiut pierwszy raz był u Skrzypków, syknął: ależ ludzisków przygniotło — zdecydował, że jak mają zbierać na Skrzypków, da dwa złote. Z sublokatorów przyszli tylko Kuropatowie, stali w kuchence razem ze Skrzypkową i czekali, małe Skrzypki wtryniły się pod okno.

Zaczął Porada: — niech Skrzypek opowie, jakie mu się świństwo wydarzyło, że go bezrobotnego z rodziną na początku jesieni kamienicznik wyrzuca na deszcz i mróz.

— No, jestem bezrobotny, wiecie, tyli czas, rejestrowałem się, choć mi zasiłków nie dawali. Mówili ludzie, że jak czasem trafi się jaka robota w Puppie, to niezarejestrowanemu napewno nie dadzą. Tak chodziłem i chodziłem i tych stempli mistawiali tyle, co tej wody w Wiśle, a roboty ani widu ani słyhu, tylko nadarmo buty zdzierałem doreszty, na ten Pupp chodząc. No i przestałem. Ja za komorne już rok nie płacę, prawda. A z czego ja zapłacę? Z tego co nie mam? Jakbym nawet miał pięć złotych, to jak: mam pierw komorne zapłacić i potem zdechnąć z zapłaconem komornem, czy tym dzieciom co do gęby włożyć i swoje zdrowie poratować! Na ten suchy chleb nie mam! — poprowadził wzrokiem dookoła; siedzieli, podkurczywszy pod siebie nogi, albo z potakującą głową pomiędzy sterczącymi kolanami. Uliczny pochylił się na stołku, nad jego ramionami ciemną plamą w oknie siedziała na parapecie Lodzia

przy Fiucie. — Dawno groził Rubin, że nas wszystkich powyrzuca, bo gospodarzowi winien jestem za komorne więcej jak trzysta i pięćdziesiąt złotych, skąd mu te pieniądze wezmę — potrzasał prawie z płaczem ręką — sprawę do sądu oddał, że mnie wyrzuca. Żeby jeszcze miał ten bezrobotny stempel, toby może co w sądzie pomogło, a ja i stempla już nie mam, choździć przestałem, wymazali mnie, już parę miesięcy będzie, w bezrobociu — —

— I stempelby ci nie pomógł — dokończył Uliczny.

— To co ja zrobię? Za boga nie wyjdę stąd, pazurami będę się trzymał — —

Fiut zsunął się z okna i zeszytywniał, nie podo bało mu się wogóle. Dług za duży, żeby go zbiórką można było pokryć, a wyglądało na awanturę. Uliczny przyglądał mu się niechętnie z boku — bezrobotny majsterek enperowski. Myśli, że jak zecer, to musi być arystokrata. Mało się znali, ale nie lubili. Bo Fiut nosił się zwysoka. Jeszcze i teraz, bezrobotny, żyjąc ze związkowych zapomóg, nie skruszał. Prawda, dawniej w związku takie końskie składki płacił, że terazniejsza zapomoga więcej wynosiła, niż niejedna mała pensja. Jakżeż można zgóry walić — burzyło się we Fiucie — że sąd nie uwzględni stempli bezrobocia! Miałby Skrzypek stempel, nie bałby się eksmisji. Pisali o tem nieraz w gazetach. Zwyczajne niechlujstwo ludzkie, ciemnota, potem takie skutki. Pomoże Skrzyp-

kowi, na ile go stać, ale słuchać nawet nie chce gadań. Pomoc — owszem, byle nie to czerwone kogucie pianie z groźbami. O jednego Skrzypka poszło, bo nie dopilnował swoich papierów w bezrobociu, a tu całą Warszawę, całą Polskę postawią na świadka. Zebranie takie — same uchwały od rzeczy. Języka trzeba oszczędzać na to, co możliwe — —

Posunął się ku drzwiom. Uliczny chciał pierwszej chwili puścić go, ale złość mu wróciła.

— Jak pan uważasz — natarł — co ze Skrzypkami będzie?

Fiut zawrócił, stanął pośrodku izby, dziwacznie mu było mówić zgóry, zmierzchno się już, twarze szare, jak popleśniałe, ciemniejsze przy drzwiach, jaśniejsze przy oknie; i u tych, którzy patrzyli na niego zdołu — młodego Tygielszajna i Porady — widać było pod żrenicami pasma jasnego białka, jak u trupów. Wykręcił się z decyzji:

— Co sąsiedzi postanowią, na to się zgodzę.

Wstydził się wrócić na okno, pokazać, że się cofnął, oparł się o drzwi, napięty, z niechęcią do całej kompanji, że go wciągnęła w nieodpowiednie zebranie i że może być zmuszony do postanowień niepotrzebnych.

— Ja wam powiem — wbił Uliczny w pomrokę przerwy — Skrzypków wyeksmitują razem z sublokatorami, to tak pewne jak jesień, która idzie. Rubin umie to robić, on dobrze dopilnuje i nie popuści nic — —

— Nie popuści — powtórzył Skrzypek — prosiłem Rapowicza, żeby poczekał, nie chce.

Skrzypkova odezwała się z kuchni: — wiadomo, że się nie zgodzi — —

— — jedna rada: nie zechcą sąsiedzi, żeby Skrzypków wyrzucili, to ich Rubin z komornikiem nie wyrzuci. Wszyscy jesteśmy w tem samem położeniu, dziś ich eksmitują, jutro drugiego, trzeciego lokatora. Dziś bezrobotnych, a jutro tych, co jeszcze płacą jakieś pieniądze, ale jutro i tego nie będą mogli. Sami się musimy bronić, żaden opiekun za naszą krzywdę się nie ujmie. Możesz Skrzypek nawet do sądu na sprawę nie chodzić, eksmisja już gotowa, choć nie podpisana — —

Fiut się obruszył:

— Skąd pan odrazu tę pewność masz? Może sąd uwzględni. Odrazu gwałt robicie. — Dodał cierpko: — Jeszcze komornika niema — —

— — przekona się pan, był pan w barakach dla bezdomnych? żoliborskie, annopolskie, na Okopowej baraki to nie świadectwo? A ci, co to się tulają po podwórkach i nawet w barakach miejsca dla nich niema, to nie świadectwo? Całe miasta takich samych Skrzypków, choć nie wierzyli, że sąd ich na poniewierkę odda. Powiedz pan: jak przyjdzie eksmisja, będziem bronić Skrzypków czy nie?

— Siłą? Bić się z administratorem?

Porada umitygował go: — Nie odrazu siłą, można innym sposobem.

— Innym sposobem, to owszem, dlaczego sąsiadowi nie pomóc.

Do izby weszli jednocześnie Leon i szlachcic Stynowicz. Leon z wysiłkiem badał twarz, powleczone cieniem, Łodzie poznał dopiero, gdy przysiadła się do niego na siennik:

— Siedzicie jak na żydowskim pogrzebie. Daj pani trochę światła, pani Skrzypkova, można pomyśleć, że to jaka bandycka narada.

W lampie było trochę nafty, której Skrzypkova oszczędzała na lekarstwo, bo nacierała nią Skrzypkowi plecy, gdy go bolały, smarowała dzieciom włosy od wszy. Brudno poźółkli ludzie od światła, lampka na gwoździu koło drzwi mdło ożywiła izbę.

— Na czym staństwo? — poinformował się Leon.

— Nie damy Skrzypków wyeksmitować, co, sąsiedzi? — rozejrzał się Porada. Głowy skinęły.

— Ale jak? — zapytał Koperszytk.

Z ust mi to żyd wyjął — drgnął Fiut — to przecie najważniejsze. Ale solidarność z żydowskim rzeźnikiem była jak pięścią w zęby. Chciał zapalić, pomyślał, czyby nie wyciągnąć z kieszeni jednego tylko papierosa — miał pełną paczkę — i powiedzieć, że przeprasza, nie może poczęstować, bo sam ma mało, ale tu znów, pal djabli, chyba wypadnie godzinę, dwie pozostać, żeby nie pokazać, że ucieka, już lepiej poczęstować. Wyjął paczkę i puścił po rękach, wróciła

do połowy próżna. Dym brunatno posnuł się ponad głowy, podskakiwał od oddechów, rozcierał się po kątach. Z podwórza wlaźł przez okno usmolony Kaźmierz, przycupnął koło małych Skrzypków.

— Jest prosty sposób — powiedział Leon i zatrzymał się pauzą, lubił efekty. Tygielszajn szturchnął go w bok: — nie baw się. — Bardzo prosty sposób: dać Skrzypków wyeksmitować.

— Co? — wyrwało się Fiutowi, „sposób“ zaskoczył go — kpi pan czy jak?

— A jak komornik pójdzie sobie, wieczorem zerwać pieczęć, zpowrotem wstawić rzeczy do mieszkania i koniec.

— Boję się — odpowiedziała Skrzypkova — boję się — —

— Lepiej z dziećmi na dworze nocować? Zimą, może pani pamięta, na Węglowej pod 10-ym wyeksmitował gospodarz sześć osób, i ojciec odmroził sobie w nocy ręce i nogi, wprost z podwórza go pogotowie do szpitala zabrało — w miarę słów połysk toczył się fryzjerowi po ogolonem ciemieniu. — Dzieckiem pani jest, żeby tłumaczyć?

Skrzypkova zamilkła.

Wtedy młody Tygielszajn zaczął: — Sposób prosty. Jest jeszcze prostszy — nie dopuścić wogóle do eksmisji. Zwołać wszystkich sąsiadów z całego domu, z innych domów, przyjdzie eksmisja, nie dopuścić!

— Siłą? — rzucił zjadliwie Fiut. Fiut był

rad, że żydzisko jadowite zdjęło z niego ciężar obrzydliwej solidarności z rzeźnikiem. Powiedz tu, że żyd nie namawia do najgorszego!

— Nie mówię: siłą, ale mówię: nie dać. Jakby w podwórku zebrało się z pięćset osób, toby eksmisji nie było — wyciągnął dłoń, w świetle była żółta jak marchew, z pożyczowanymi wpoprzek ostrogrzbietami kośćmi, paznogciami ciemnymi od farby do barwienia filcu — rękę daje.

Sałamata poruszył się energicznie na sienniku: — Macie rację, tylko że cały ten interes organizacji wymaga. Sprawa społeczna to jest w gruncie, a nawet i polityczna. Oparcie musimy mieć. Skończymy zebranie, zaraz skoczę do Dzielnicowego Komitetu, opowiem wszystko. Dobrze się akurat składa, bo dziś zebranie zarządu, uchwałą odrazu, jak pomóc.

Porada zrobił do Leona wielkie oczy. Uliczny do Tygielszajna. Supelkiem zacisnęło się cienie milczenie. Wreszcie Porada odpowiedział:

— Ja tam do waszej dzielnicy nie radzę się zwracać. Nie słyszałem jeszcze ani razu, żeby komu pomoc przyniosła. Mało to pepesowców siedzi w Radzie Miejskiej, gdzie oni bezdomnym pomogli? To tak samo, jak bajki opowiadać!

— Mocniście w gębie! A co wyście pomogli? Zwyczajna demagogja! — odwzajemnił się Sałamata.

— Ładna demagogja — Leon rozłożył ręce — kiedy się prawdę mówi — —

— Zobaczycie sami, przekonacie się — Sałamata nastawał — dzielnica i na Rapowicza znajdzie lekarstwo.

— Dajżeż człowieku spokój — skrzywił się Leon — Rapowicz śmiać się będzie z tych lekarstw.

Fiut przyłączył się naraz do Sałamaty: — Spróbować nigdy nie zawadzi. Jeżeli pan Sałamata powiada, że jego komitet da radę, nie wolno ani chwili się zastanawiać.

— Ja zawiadomię dzielnicę — zapowiedział Sałamata.

— Myśmy tu nie na wzywanie waszej dzielnicy się zebrali, tylko żeby Skrzypków poratować, bo ich wyrzucą! — urwał Uliczny.

Stęknęła przy drzwiach, zapłakała Skrzypkova, ciemno podkrążonemi kroplami rozmazywały się łzy po zwiotczalej, porowatej twarzy, pociągała nosem, a za nią zaczęły pochlipywać małe Skrzyпки pod oknem. Kuropatwowa też wycierała nos rękawem, głośno szepcąc:

— Najświętsza panienko, módl się za nami, najświętsza panienko, módl się za nami. — Uliczny ciężko oparł się oczami o Kuropatwową:

— Dużo pani sobie wymodlisz, myśl pani lepiej, żeby z mieszkania nie wyrzucili — i zwracając się do siedzących: — Tygielszajn dobrze mówił: nie dopuścić do eksmisji, a jak się nie uda, to czas rzeczy wstawić wieczorem do cha-

łupy. Mówcie ludzie, co myślicie. Jest kto przeciwny?

— Ja jestem przeciwny — wyszedł Stynowicz na środek. — Co tam, wyrzucą z jednego mieszkania, musi społeczna opieka dać mieszkanie w schronisku dla bezdomnych. Trochę trzeba poczekać, prawda, ale trzeba mieć cierpliwość, jak ja mam. Można ostatecznie w cyrku przenocować. Kiedy byłem na posadzie w biurze ukraińskich ziemian —

Skrzypek rzucił się na niego z klęczek, złapał pod kolana, wywrócił i trząsał pięścią po twarzy: — za moją porządność, że ci draniu dałem mieszkać — i, krztusząc się gniewem, bił „szlachcica“ po uchu, przygniótłszy go kolanami bokiem do podłogi, walił po miękkim, bo odrazu na kościach poobijał sobie reumatyczne kłykie. Szlachcic się nie bronił i nikt z siedzących się nie ruszył. Powyciągali szyje, przyglądając się z uwagą karze. Drygając stopami w luźnych z cudzej nogi żółtych kapciach, wyłazącemi z wystrzępionych sztuczkowych nogawek, usiłował tylko wysunąć się z pod oszalałego Skrzyпка.

— W nos go, puść mu juchę — radził przejęty Kuropatwa.

Skrzypek uderzył raz i drugi, póki się krew nie pokazała strumyczkiem po brodzie. Wtedy Fiut pochylił się nad nimi, oderwał Skrzyпка, który dał się odsadzić miękko, bezwolnie na miejsce, podniósł szlachcica za kołnierz mary-

narki, wystawił go za drzwi i wrócił do swojej futryny. Oczy reszty wróciły za nim.

Nim Kopersztyk po odchrząknięciu zdążył się odezwać, w oknie pokazała się przekreślona przez dół twarzy smugą czarnej krwi głowa szlachcica. Rozmierzwił w bójce włosy opadały mu na czoło, uśmiechał się bezwstydnie: — moje uszanowanie państwu, muszę sobie poszukać innego hotelu, za mało mam tu spokoju. Adieu. — Nawet posłał Łodzi całusa ręką. Marynarka rozchełstała mu się bielszą plamą na piersi. Zniknął z przed okna.

— Udał ci się lokator — powiedział Uliczny do dygocącego z osłabienia Skrzyпка — on tu już nie wróci.

— Nie wpuszczę.

Kopersztyk oświadczył: — Rozumiem, dziś ja pomogę Skrzypkowi, a potem on mnie pomoże. To się rozumie. Powiedzcie jednak ludzie, jak już o tych rzeczach mówimy razem, co ja mam zrobić. Myślę, nie ja jeden. Za cały dzień roboty dostaję miesięcznej pensji 80 zł. i kawałek mięsa codzień, z głodu jeszcze nie umieram, ale sami wiecie, jaką mam rodzinę na głowie, sześć osób do kotła, a komornego 35 złotych za takie samo mieszkanie, też pokój z kuchnią. Ja nie mogę tyle płacić, ja mogę płacić część. Mówiłem Rubinowi już ze trzy razy, żeby obniżył komorne, on się śmieje ze mnie. Winien już jestem za dwa miesiące, ja chcę płacić, tylko nie mogę tyle.

Fiuta zatkało, parszywa solidarność z żydem wróciła znowu. Kasa związkowa wyczerpuje się coraz bardziej, związkowe zapomogi robią się z miesiąca na miesiąc mniejsze, a komorne wciąż jak hycel stoi ze strykiem za plecami.

Leon podparł Kopersztyka: — ja tak samo. Jestem na procencie, obrót tak spadł, że ledwie z kobietą razem mogę dociągnąć do pół życia. Pół życia — pół komornego. Jeżeli się razem wszyscy postawimy, jak zażądamy obniżki dla wszystkich mieszkań, Rapowicz będzie musiał obniżyć komorne. To już dawno trzeba było zrobić. Zebrać wszystkich lokatorów i delegację wysłać.

— Jaką delegację? — zapytał z kuchni Kuropatwa.

Zadowolony, że światło dostaje w plecy, wysunął się Fiut: — Popieram. Najlepsza rzecz z delegacją pójść. Jeżeli się sąsiedzi zgodzą, mogę i ja też pójść do gospodarza.

— Aha, zmiękleś — pomyślał Uliczny. — Postawny chłop, byłby do rzeczy.

— Miałem rację — postawił się Sałamata — przypomniałem sobie. O obniżkę komornego PPS już dawno walczy. Poseł Ładoś miał referat na dzielnicy o mieszkaniowej kwestji. Mówił, że długie lata już nasz związek poselski się stara, memorjały składa do rządu, wnioski do sejmu, żeby komorne zmniejszyć.

— Zmniejszyło się od tych memorjałów? — przyparł go Porada.

Pociągnęło wilgotnym przeciągiem od okna, drobno posiało, rozszemrało się, zagadało sucho po kamieniach deszczem, zakolebało płomykiem w lampce, aż płaty cieni po zbrukanych, pobielonych wapnem ścianach skoczyły niekształtnie i zpowrotem poukładały się jak psy na legowisku.

Porada klepał swoje: — mogę i ja się wypowiadać przed przenajświętszym konfesjonałem — tfu! splunęła po chwili Kuropatwa, nie zrozumiała odrazu — za dwie izby, kuchenkę także, chustką do nosa można ją nakryć, a kto nie wierzy, niech skoczy i sprawdzi, jak ma chustkę do nosa, za to wszystko, od wojny przez tego fagasa Rapowicza niere-montowane, nie liczę mojej pracy, com w malowanie na klejowo włożył — 40 złotych. A ja, rzemieślnik, com zawsze sobie szewcką niedzielę urządzał, dziś muszę z narzędziem w skrzynce po podwórkach chodzić, „reperuję reperuję“ krzyczeć, bez obrazy dla starozakonnych, jak żydowski partacz. Jakbym chciał komorne płacić co pierwszego, muszę albo gwicht w kieszeń, albo majcher i pójść nocką na ciemną ulicę. Przyłączam się do najjaśniejszej delegacji, choć bezrobotny niby nie jestem, bo nierejestrowany jako rzemieślnik samodzielny, a i choćby obniżył kamienicznik do połowy, to i tej połowy wybulić nie mogę. Na wieki wieków amen.

— Zgiń, przypadnij — przeżegnała się Ku-

ropatwowa, nachyliła do ucha Kuropatwie, ten nie słuchał, ani Skrzypkowa, mamrotała już sama do siebie. Deszcz szorował po podwórzu mokrą ścierą, dławiąc się w kałużach spęczniałą czarną wodą.

— W sam raz pora na eksmisję — bąknął Tygielszajn. Jakby za kołnierze deszcz polał z dachu, pościagały się ramiona.

— Dość dobrego — zamknął Uliczny — posyłamy delegację, żeby komorne obniżył Rapowicz do połowy. I nie dopuścić do eksmisji. Kto przeciw? — Nikt się nie odezwał. — To kto jako delegat? Pan Fiut pierwszy, sam się zgłosił, kto przeciw? No to dalej, kto jeszcze?

— Pan niech sam też idzie — wstawił Fiut.

— Mogę i ja. Kto przeciw? I kto jeszcze? Trzeba z pięć osób. Sałamata. Kto przeciw? — Sałamata wtrącił się, prosi o niewybieranie go, zajęty jest, pomagać owszem będzie, sąsiedzi widzieli, że ma ochotę.

— Tygielszajn. Kto przeciw? Łodzia, dobrze, kto przeciw? Kopersztyk, kto przeciw? Starczy chyba.

Kaźmierz zbierał się już kilkakrotnie, chciał też się przyłączyć, ale mu nie wychodziło. Uliczny zbyt szybko prowadził, aż migało Kaźmierzowi przed oczyma, był zmęczony po całym dniu, choć zarobił tylko niecałą złotówkę. Walas jest podlec: Kaźmierz przypadkiem usłyszał, jak klientka targowała się z węglarzem, że za drogo bierze, a wtedy Walas jej na

to (myślał chyba, że Kaźmierza niema): może pani przecie dać tragarzowi mniej, on niezwiązkowy, wyjdzie że węgiel tańszy. — Zastrajkuje, odrazu sobie Walas kogo innego z ulicy weźmie. Do związku się zapisać. Tu też pokazać, że on nie ze wszystkim jest przegrany, że może jeszcze co zrobić, pomóc.

— Jabym też poszedł — oświadczył z pod okna.

— Chcecie sąsiady jeszcze jednego delegata? Ja jestem za nim. Kto przeciw? Fajno — i ryżawe, czapirzaste wąsy podjechały mu pod oczy, odsłaniając z pod dolnej wargi szczerbę po wybitym kle i trzonowcu; opowiadał, że go zgubił pod Operą w 28-ym i akurat w taką pamiętliwą datę, bo pierwszego, i akurat w maju. Kaźmierz wylał odrazu z pod okna i przysunął się do delegatów.

Tygielszajn proponował plan: — delegaci obejdą wszystkie mieszkania w domu pokolei, obgadają z każdym lokatorem zosobna, co i jak zażądać od właściciela, może są jeszcze jakie inne pretensje, a potem dopiero, kiedy się z wszystkimi delegacja porozumie, prosto do właściciela, z Rubinem wcale nie gadając, bo odrazu mu trzebaby było dać po pysku.

— To jeszcze mało — Łodzia wstała, naszeptała wszystko przedtem Leonowi — jeszcze trzeba po kominkach pójść i z kobietami się poumawiać. Łatwiej potem będzie. Z Sałamatową się weźmiemy. Dwóch za mało,

jeszcze trzecią dobierzemy. Kogoby tu wziąć? — posłała małą Skrzypkównę po Zośkę: — a jak nie skończyła jeszcze prania, to powiedz, że zaraz nagórę przylecę.

Towarzystwo rozchodziło się już, delegaci umówili się na wieczór następnego dnia, Kopersztyk zapraszał do siebie, Tygielszajn: — wolę u mnie nie, bo stary leży chory — zagarnął delegatów Fiut, postawił się, że tylko u niego, bo najwięcej miejsca. Jak grać, to na całego, bez żydowskiej solidarności, niech oni do niego przychodzą, nie on do nich.

W sieni wisiała kropiel mgły i kamienny próg oddzwaniał strugom zgóry, gęstą miotłą zgrzytał deszcz po blasze dachów. Chyłkiem, zadartszy kołnierze na uszy, skokiem między kałuzami przebiegli podwórze Fiut, Tygielszajn i Leon, za którym Lodzia krzyknęła, że zostaje jeszcze.

Skrzypkova szukała rady, czekały na Zośkę. Kaźmierz zdrapywał z siebie powłokę węglowego kurzu nad zlewem, domywał się jako tako. Kuropatwowie zwalili się odrazu na swój siennik, a Skrzypek z małemi siedział już przy kuchni i doglądał skrawków kapusty, wijących się w bulgocie ukropu. Słysząc było jak na schodach ku górze rozmawiają Uliczny z Kopersztykiem, choć słów nie można odróżnić. Od ich stąpania po stopniach podskakiwał garnek na płycie, paki w kuchence i stołek w izbie. Wywar kapusty sparzył Skrzypkowi język, był

słony i cierpki, kapusta nierozgotowana skrzypiała pod zębami. Małe Skrzyпки zasypiały głodne przy kuchni, póki ich ojciec nie popędził na siennik — jak się ugotuje, to je pobudzi, dostaną jeść.

Zośka przysłała przesiąknięta zaduchem przepierki, kręcącym w nozdrzach zapachem chlorku. Rozmiękle, jaskraworóżowe dłonie, w których pulsowało, położyła na kolanach: — no, kobiety, prędko, bo muszę jeszcze porozwieszać.

— Na strychu? — spytała Skrzypkova.

— Gdzietam. W mieszkaniu. A i takby przez noc nie wyszło przy deszczu. — Bielizny nikt nie wieszał na strychu, bo kradli, zanim się kto zdążył obejrzeć. Pajęczarzy przyłapanych były kobiety bez litości. Nie pomagało. W żydowskiej dzielnicy kierownik komisariatu policji nakazał właścicielom domów odrutować dachy drutem kolczastym na kobyłkach. Rubin zapowiadał, że i on dach odrutuje: za dużo bielizny szło u niego do prania, żeby wszystka mogła wyschnąć w mieszkaniu, ale mówił to bez przekonania; przypuszczał, że kradną nie pajęczarze, tylko domowi złodzieje.

Skrzypkova zabrała Lodzię i Zośkę pod okno do pokoju, żeby nikt ich nie słyszał.

— Znów będę miała małe — i zatoczyła łuk przed brzuchem.

Zośka syknęła.

— I chce pani donosić? — spytała Lodzia.

— Nie chcę. Nie mogę. Sama rady dać sobie nie potrafię. To już chyba czwarty miesiąc, a w sobie nic nie czuję, parzyłam nogi gorącą wodą, próbowałam się przedzwignąć, nie pomogło.

— Jak Jadźka od Cuzamenbruchów — miała już trzepnąć Lodzia, ale się zacięła. U Cuzamenbruchów od lat służyła dziewczyna, wielka rozlana baba, która wciąż zachodziła w ciążę od kolegów młodego Cuzamenbrucha i wciąż psuła sobie w taki sposób, że włożyła na szafę w sypialni i zeskakiwała z niej aż do skutku.

— Idź, Lodźka, do domu, ja zajdę ze Skrzypkową do Lewandowskiej. Jest w domu, spotkałam ją na schodach.

— Ale ja grosza dać nie mogę, sama pani wie, nie będzie chciała zadarmo.

— Zobaczym, może się zgodzi.

U Lewandowskiej było widno pod gazową lampą, owiniętą w kretonowy abażur.

— Kładź się na kanapę, moje dziecko — wszystkim swoim pacjentkom mówiła: ty; mimo swoje sześćdziesiąt parę lat uwijała się dość zwawo, mała, zwiędła, z siwym koczkiem na wróblej główce, ale o mocnych rękach, którym dobrze potrafiła ugnieść położnicy brzuch; umiała spać wszędzie, gdziekolwiek wypadło, choćby na drewnianej ławce.

Ze wstydem podniosła Skrzypkowa kieckę

razem z koszulą, więcej nic nie miała na sobie. Zimna cerata kanapy chłodziła pośladki, gdy ciepłe starcze ręce biegle naciskały na wewnętrzności. Czując że ucisk słabnie, przechyliła rzadkowłosą głowę do akuszerki. Trzymając wciąż ręce na jej brzuchu z głęboką wyrwą pępka, babka spytała, prostując się przy nogach Skrzypkowej:

— Powiedz, moje dziecko, dawno już nie masz miesiączki?

— Czwarty miesiąc idzie.

Stara plasnęła ją lekko. — Możesz spać spokojnie, nie jesteś w ciąży. Przysuńno głowę — odciągnęła jej dolną powiekę. Spojówka była bladoceglasta, tylko na białku wiło się trochę czerwonych nitek. — To się nazywa anemja. Powinnaś lepiej się odżywiać. Widziałam takie ciążę, co to ich wogóle niema. A swoją drogą pilnuj męża, bo możesz zajść. Jak będziesz miała, to mi oddasz za poradę.

Skrzypkowa pocałowała ją w rękę. W sieni pocałowała się z Zośką.

— No, widzi pani, i czego było się martwić.

Zbiegła z piętra, czując wciąż rękę akuszerki na brzuchu, niczem ciepło po wódce.

Zaciągnęła Skrzypka do kąta: — nie jestem brzuchata. Byłam teraz z Zośką u Lewandowskiej na górze. Mówi, że to ze złego jedzenia — klepnęła się z dumą po podbrzuszu. Wyprostowana, z podaną przed siebie chudą piersią, odeszła do kapuśniaku.

Skrzypek nachylił się nad siennikiem, na którym Kaźmierz już drzemał.

— Nie śpij, zaraz zarcie będzie, to zjesz z nami — pokręcił go za ucho.

Kaźmierz pól przez sen odrzucił mu rękę: — coś taki wesół? Na loterji wygrałeś? — Zaproszenie do jedzenia nie zdarzało się codzień.

Skrzypek już żałował, że obudził Kaźmierza.

— Nie — powiedział — to tylko po przyjaźni. — I dodał po gospodarsku — jak z cebraleje, że też Pawełek nie wraca, zmoknie jak pies — przymknął okno, za którym pod porywem wiatru deszcz kładł się pochyłą, twardą ścianą.

IV.

Nowe firanki w salonie i kapy na łóżka sprawili Cuzamenbruchowie z okazji srebrnego wesela. Ręcznej roboty, na różowych, atłasowych spodach, w owalach i kwadratach wstawek, usztywnione scenami z bajek Lafontaine'a: bocian wkładał łeb do dzbanka, lis z podwiniętą kitą przykucnął pod winoroślą, kruk z krążkiem sera w pysku, pies i wilk; tak samo pohaftowane Lafontaine'em firanki przesłaniały Kwaśną, włamaną w dwa okna salonu: ułamek czynszowej kamienicy, z szarych desek sklecony stragan warzywnika i w głębi za nim fabryka trykotaży (przed wojną — wyrobów celuloidowych, podczas wojny

wywiezione zostały maszyny do Rosji), zbudowana jeszcze przed uregulowaniem dzielnicy; bury parkan oblepiony do półwysokości kinowemi afiszami, za parkanem poprzeczna oficyna, ale już bliżej położona ulicy, niż fabryczna; ułamek pięciopiętrowej kamienicy, gdzie na trzeciem piętrze mieszkała kuzynka Cuzamenbruchów. Przez okno można było się wzajemnie porozumiewać, np. zaprosić, a na palcach pokazać godzinę. Salon wytapetowany na czerwono ze złotem w wielkie wazy uliściadne, zapchany wielką kanapą, krytą zielonym pluszem, nad oparciem galeryjka z pamiątkami z podróży, prezentami krewnych, fotografiami rodziny z uroczystych momentów zaręczyn, ślubów, letnich wyjazdów. Wielki stół, garnitur krzeseł, sześć dokoła stołu, sześć pod ścianami, i wparte między okna tremo do sufitu, w którym przeglądały się cztery portrety z powiększonych fotografii w czarnych rzeźbionych ramach: ojciec-matka Cuzamenbrucha, matka-ojciec Cuzamenbruchowej z domu Fuks. Matki w jedwabnych sukniach, z broszkami pod szyją, w sutych perukach, ojcowie w kapotach, jego — w krymce, podwachlowanej rozczesaną brodą, jej — w chasydzkim kaszkiecie, skapo obrośnięty, z prawie gołym podbródkiem, z niezmiennym blaskiem na źrenicach, naczyszczonym przez retuszer, — cmentarz niegijący, asysta wszystkich wizyt, świątecznych posiłków, świadkowie lat pomyślnych.

Na blacie trema karbowane jak kapuściane łby muszle, rozwierające perłowomaciczne wnętrza. Pod meble rozwinięty na cały pokój dywan, przeklinany przez Jadżkę od czasu, kiedy nastąpiła do Cuzamenbruchów. („Moja panna z dzieckiem“ nazywał ją Cuzamenbruch). W sypialnym, w którym się jąda, — prócz łóżek stał kredens — i w pokoju młodego Cuzamenbrucha, Maksa, niema dywanów, tylko chodniki.

W sypialni na łóżkach Lafontaine nie mieścił się z parzystą stroną Kwaśnej. Cuzamenbruchowa opierała się niekiedy o poręcz zestawionych razem dębowych łóż, szukając zwiazku między lisem ze wstawki, usadowionym pod winogronami, i tym na jedwabnej podszewce, długim, krótkołapym, miódnoślwym w szafie; bociana nazywa Staśkiem, tak ma na imię synek Jadżki.

Cuzamenbruch dawno już poszedł do bóżnicy, Maks spał jeszcze. Cuzamenbruchowej ciężki brzuch rozpierał uda, rozkraczona siedziała przy śniadaniu, jak zmęczona robotnica fabryczna czy chłopka rozkładając ciężar ciała na szeroko rozstawione stopy. Przeciągłe łykanie jedzenia przerywały krótkie oddechy otłuszczonego serca, podrywając głowę wsadzoną w poduszki podbródków. Kiedy usłyszała przemieszane kroki w przedpokoju, kęs zakleił jej podniebienie, odwróciła się z wysiłkiem całym

zwałem pleców. Wszedł Fiut, Lodzia, Uliczny, Kopersztyk. Cuzamenbruchowa przełknęła:

— Coście państwo chcieli?

— Mamy interes do męża.

— Jaki interes? — zaniepokoiła się, napewno chcą pieniędzy — ja mogę załatwić.

Fiut wziął za krzesło: — to siadajmy, nie będziemy przecie stać.

Delegaci zaszurali krzesłami i nieproszone siadanie popędziło Cuzamenbruchowej oddech, wypchany zpowrotem do krtani przez trzy pary oczu, poprzedzielanych sterczkami nosów. Tylko Fiut patrzy przed siebie w ścianę, na fioletowej w białe prążki tapecie wisi w ramce marmurowa kobieta, naga, którą przez kolana obejmuje nagi marmurowy mężczyzna, obok w brązowej ramie ze złotym kantem kilku ludzi idzie w rzędzie, biało ubranych, do słupa, z którego unosi się dym, a wszystko w lesie. Miał zamiar zacząć bardzo grzecznie i zdaleka, jak się umówili, ale opasła żydówka, bojąca się niewiedomo czego, ucięła mu wstępy.

— Kryzys jest, proszę pani, i ludzie się męczą z bezrobocia. Komorne trzeba płacić, a niema czem. Postanowili wszyscy sąsiedzi, żeby komorne obniżyć o połowę. Przyszliśmy, aby mąż podpisał się na tej liście, że też żąda obniżki — Fiut wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki czysto złożony papier.

— Ja nie mogę podpisać — odepchnęła Cu-

zamenbruchowa papier na odległość — to nie ja, to mąż. On prędko przyjdzie.

Delegaci wstali: — wstąpimy za pół godziny. Cuzamenbruchowa zapadła się nad przystygłą kawą, a oni predefilowali przed Jadźką, która słuchała z przedpokoju. Fiut pogroził pięścią przed zamykającymi się za nimi drzwiami. Na przeciwległych tabliczka mosiężna:

MOJŻESZ FOJSTYGIER

z zawijasem podpisu, grzecznie podwiniętym przez grawera.

Fojstygier przyjął ich pierwszej chwili ze zdziwieniem, wysłuchał oracji Fiuta, potem rozsiedli się w salonie. Mieszkanie Fojstygierów było symetryczne do Cuzamenbruchowskiego, umeblowanie różniło się jednak, zużyte przez dzieci i stopniowy upadek interesów byłego hurtownika. Fojstygier kiedyś handlował końmi, potem wołami, przejście od jednej branży do drugiej opłacił kilkakrotnem poparzeniem się na interesach z nieuczciwymi pośrednikami, potem gdy wraz z wielkim kryzysem 1929 zaczęła spadać konsumpcja mięsa w kraju, Fojstygierowie, bo było ich kilka rodzin, które trzymały się razem od lat jako wspólnicy, przerzucili się na zarobek dotychczas poboczny: na pasiarnie gęsi, interes, który „sam się robił“, był dość zyskowny — ostatnia

szansa: jeżeli pasiarnie zawiodą, rodzina Mojżesza Fojstygiera pójdzie na dno. Pasiarnie zawiodły. Mojżesz Fojstygier miał brodę jak druciana szczotka, coraz częściej chodził nieogolony, strasząc Fojstygierową, która w drapaku brody widziała nieszczęście. Oboje wsparci na stole porozumieli się odrazu. Pewnie, podpisze. Czasy są takie, że każde dziesięć złotych to dzień, dwa dni życia — Ulicznemu uśmiech przewiał przez wąsy — wszystko staniało, mięso chociażby — Fojstygierowa spuściła głowę, że widniało tylko czoło, od skroni do skroni przecięte równemi jak pięciolinja zmarszczkami, i skrzydła nozdrzy niezgrabnego nosa — jedno komorne nie chce stanąć.

Na wygniecionej w niesprężyste doły skórzanej kanapie umieściły się dwie Fojstygierówny. Starsza, nieudana, trzydziestokilkolletnia, która nie wyszła zamaż, bo za dobrych czasów swaci jakoś nie znaleźli odpowiednio majątnego kandydata na prowincji: w Białymstoku, w Grodnie, w Wilnie — sami Fojstygierowie byli litwakami i przenieśli się do Warszawy z Mołodeczna, wciąż jeszcze zatrącali z rosyjska, choć po rosyjsku mówili okropnie — później, gdy posag wsiąkł w woły i pasiarnię, zmyło ewentualnych narzeczonych. Młodsza była przystojna, ale bez posagu — Fojstygier wiedział to dobrze — była martwą pozycją w bilansie, żaden adwokat, lekarz, inżynier, inteligentny kupiec nie może się ożenić,

jeżeli to nie jest interes. Starsza już zwiędła, młodsza wiedła, choć dostała dzięki protekcji posadę w małym banczku, gdzie za dziewięć godzin pracy mogła miesięcznie wyrobić na tramwaje, suknie, puder i kina, kiedy towarzyszy zabawy był tak przesiąknięty ideami nowych czasów, że uznawał tylko niemiecką fundę, czyli każdy sam za siebie płaci.

— Podpisuję — powiedział Fojstygier — przynieś Katia atrament i pióro. Tylko czy pomoże? — Zbankrutowany kupiec nie wierzył, żeby niebankrutowany dobrowolnie ustąpił z ceny.

— Jak nie pomoże — odrzucił Koperszyk — to zastrajkujemy.

Fojstygierowa uniosła głowę, chorowała na wątrobę i skórę miała popielato - żółtą; po żydowsku, z twardym akcentem litwackim, zagadała krótko.

— Co? — szepnął Uliczny Koperszykowi, Fiut przysunął owłosioną, prostokątną muszlę ucha.

— Nie — chce — szeroko otwierając usta, żeby uwyraźnić szept, wytłumaczył rzeźnik.

Fojstygier odpowiedział żonie.

— Co? — czekali delegaci na Koperszyka.

— Mówi — wszystko — jedno — odtelegrafował.

Fojstygier nałożył okulary nad podsunętym przez Fiuta arkuszem, chwiejającym brzegami. Podpisał się litera po literze: Mojżesz Fojsty-

gier, z kropką, ale bez zakrętasa, nadanego mu przez grawera na mosiężnej tabliczce w sieni. Podsunął arkusz żonie — cała rodzina ma podpisać?

— Tylko dorośli — wyjaśniła Lodzia, pierwszy raz była u Fojstygierów nie po robotę.

— Patrzno — bzyczała Katia na kanapie do siostry — szwaczka jak siedzi.

— Daj mi spokój — zbyła ją młodsza.

Fojstygierowa wahała się. Strajk to było złe słowo, nikt nigdy nie słyszał o takich rzeczach przy komornem. Mąż pchnął ją w łokieć, zmarszczona podpisała, wtedy powiedział lekko:

— Ja i tak strajkuję trzy miesiące (powiedział: robię zabastowkie).

Z chichotem, którego nikt nie podjął, podpisała się Katia, a potem młodsza, patrząc z wyrzutem na ojca, że wlaź w kabałę. W banku tylko dla przyzwoitości brała udział w zebraniach pracowników, protestujących przeciw kolejnym obniżkom, cenila swoją pensję — samodzielność w domu i nie przyłączała się do protestów, bo jak i wszyscy nosiła w torebce wymówienie posady, prolongowane systematycznie co miesiąc. Do strajku zresztą nie doszło ani razu, a sam banczek wisiał między plajtą a dobrowolną likwidacją, co nie przeszkadzało dwom dyrektorom wyciągać niezredukowane pensje. Bała się panicznie straj-

ku, dlatego nie należała do związku, a tu ojciec zwarjował.

Fojstygier odprowadził delegatów, głupio się uśmiechając i poruszając łopatkami, jakby mu było zimno.

Cuzamenbruch wrócił już z bóżnicy, stał na progu jadalni w sutej jesionce z aksamitnym kołnierzem, w świątecznym melonie. Pod pachą miał szafirową aksamitną torbę, w której złożony był „tales“ i modlitewnik. Odrazu widać było, że Cuzamenbruchowa zdążyła mu już opowiedzieć, ofuknął delegatów:

— Co to, nie było innego dnia, koniecznie w sobotę?

Nad dniem zastanawiali się delegaci dość długo. Dlatego też ubodło Fiuta, że Cuzamenbruch „pozwała sobie“ i wróciła mu skokiem pasja na żydów.

— Tu ludzie układają, żeby wszyscy delegaci mogli pójść razem, kombinują, zmieniają, a przychodzisz do parcha, ten się jeszcze ciska, a i tak Kaźmierz nie mógł pójść, bo nie rzucił przecie roboty, i Tygielszajn był gdzieś zajęty na mieście, chyba się wywłoka do bóżnicy nie wybrał, nie wygląda na takiego, — specjalnie wybrali sobotę, żeby Koperszyk mógł pójść, bo pracuje w koszernej jatce. Poczzerwieniał po szyję, Uliczny ścisnął go mocno za ramię. Przemilczał. Cuzamenbruch nie rusza się z progu, chciał całą rozmowę odbyć w przedpokoju,

co znaczy, żeby do niego z takimi propozycjami przychodzić?

Uwolniwszy rękę, Fiut naparł na Cuzamenbrucha bez słowa, twarz w twarz, psim dreszczykiem podrywał mu się nos, Cuzamenbruch nie spuszczał powiek, pod policzkami zuchwy przesunęły się raz i drugi, i nieznacznie cofnął się do pokoju. Zmienił się tylko stół, z którego sprzątnięto naczynia, nakryty dywanowym obrusem, i Cuzamenbruchowa była w czarnej jedwabnej sukni z brylantowymi butonami w miększych uszu.

Rzucił szafirową torbę na łóżko.

— Co jest? Obniżyć komorne? Mnie nie potrzeba obniżyć! Ja mogę płacić.

Cuzamenbruch umiał i nie bał się krzyczeć, okazji potem miewał dość, właściciel przewozowego kantoru, pracującego dziesięcioma platformami, trzymał swoich furmanów za pysk.

— Tylko spokojnie, bez gniewu, panie — mitygował Uliczny, widział, że Fiut długo nie wytrzyma — inni nie mogą płacić.

— Co mnie inni obchodzą!

— Taki z pana sąsiad! — wyskoczyła Łodzka.

— Ja z kobietami nie gadam. Kto pani jest? Spójrzno — zwrócił się do żony — dla twojej służącej bluzki szyje i odrazu moja sąsiadka! Moja przyjaciółka! Jak moja żona daje pani

moje kalesony do zrobienia, to pani jest dla mnie robotnica, rozumie pani!

Odrazu, nie zmieniając tonu, że Lodzia nie zdążyła nawet odpowiedzieć, przeszedł na żargon. Kopersztyk słuchał, mrugał twardemi rzęsami, przeciał:

— On mówi do mnie, żebym się wstydził, że żyd razem z gojami takie interesy robi. On powie mojemu staremu w jatce, że ja z gojami chodzę i psuję ludziom interesy.

— Coś żydzie powiedział? — złapał Cuzamenbrucha Fiut za klapy jesionki.

Cuzamenbruchowa krzyknęła, niczem pękająca płachta, i złapała się za serce. Przez salon zaklaskwały pantofle i wyjrzał cały w pasy zielone i czarne — Lodzia szyla tę piżamę, przypaliła ją pod lewą pachą, ale niewidocznie — Maks Cuzamenbruch.

— Kto tak krzyczy? — i dopiero zorjentował się, że w pokoju było tłoczno. Fiut puścił klapy. Cuzamenbruch przesunął się za stół, odgrodził się nim od delegatów. Dwie grupy przedzieliła tafla obrusa. Wejście Maksa Uliczny wziął za stopień do porozumienia, przesłaniając wzburzonego Fiuta. Znów tłumaczy — bieda jest, kryzys, komorne nie spadło, do gospodarza idą, żeby obniżyć. Tu lista jest lokatorów domu z rodzinami, podpisać ją należy po sąsiedzku, solidarnie. Ojciec źle zrozumiał — dyplomatyzował Uliczny — trzeba po ludzku postępować, powinien pomyśleć, że

choć on ma na komorne, to inni nie mają, sąsiedzi żądają tylko, żeby im nie szkodził, żeby razem z nimi podpisał — wciąż nabok patrzył złodziejskim rzutem, czy aby Fiut, Lodzia nie przejdą mu drogi. Umowa była taka, że za wszelką cenę przyduszą frontowe mieszkania do zgody, do podpisania listy. Brzydził się, ale wygniatał nieobraźliwe słowa.

Maks Cuzamenbruch nie namyślał się.

— No tak, naturalnie, po sąsiedzku, choć to ryzykowne zaczynać z gospodarzem, przecie to jest powód do eksmisji (— drań — spojrzeli po sobie delegaci) — znam się na tem, studjuję prawo. — Maks Cuzamenbruch był członkiem rewizjonistycznej korporacji studenckiej, materiałem, przyznawali mu to wszyscy, nie tylko rozczuleni rodzice, na pierw-szo-rzędnego adwokata: — my się zastanowimy nad propozycją sąsiadów, przecie się nie spieszy, może państwo zostawicie nam swoją listę na parę godzin, odeślemy ją później.

Fiut sięgnął do kieszeni po papier, ale na znak Ulicznego udał niezgrabnie, że szuka czegoś, czego nie zgubił, nawet ostentacyjnie podrapał się za kołnierzem. Lodzia i Kopersztyk przytaknęli — nie zostawiać.

— Niech się pan namyśli z ojcem, wstąpimy po odpowiedź.

— Dziękuję — wyrwało się staremu. Syn ściągnął karcąco brwi.

— Dowidzenia.

Odpowiedział dowidzenia tylko Maks Cuzamenbruch. Starzy stali nieruchomo, jak muzealne gipsy, ona z ręką na sercu, nie odjęła jej od wejścia syna, on w melonie, pod którym obszerna twarz zacięła się w wygolone fałdy.

Radzili na pomoście schodów. Obce, olejno malowane ściany, na których farba zwijała się w strąki, poręcz, z której miejscami poodlatywały toczone listwy, zredukowana do żelaznego pręta z wyborowanymi gniazdami na śruby, poobtlukiwane schody ze sztucznego granitu — nawet frontu nie remontował Rapowicz. Elektryczne żarówki w drucianych siatkach — przed złodziejami — czerniały pod sufitem, elektryczność zainstalowali sami lokatorzy, dopiero Rapowicz dołączył się do lokatorskiego pionu.

— Z nim się jeszcze nie skończyło, z Cuzamenbruchem — mówił Uliczny — tu jeszcze będzie twardo do gryzienia. Widzieliście, palił się, żeby mu listę zostawić. Jaki szwindel chciał ten młody zrobić?

Fiut złapał Kopersztyka za klapy, przeleciało mu: — jak Cuzamenbrucha:

— Powiedz pan, powiedz pan, czy to nie parszywe żydźisko?!

Kopersztyk kręcił głową: parszywy, to tak, ale ja też jestem żydźisko. — Fiut puścił go. Solidarność wróciła, zapomniał o Kopersztyku: rzeźnik z koszernej jatki.

— Ledwie się wstrzymała, żeby mu w ślepiu nie pluć, taka ordynarność, takie chamstwo burżujskie — jątrzyło Łodzie.

— Nazwisko masz Anioł, to się nie ciskaj, myśl o wszystkich, nie o sobie — uspokajał ją Uliczny.

— Kiedy on nie mnie nauragał, tylko nam wszystkim.

— O, o — przystękiwał Fiut.

— No, to co? Mało mi już nauragali? Trzeba wiedzieć, kiedy odrazu w zęby strzelić, a kiedy przeczekać. To jest taktyka. Rozumiecie? Ja też nie jestem z drzewa. Rozumiecie? Z takim — przeciągnął — sąsiadem musi się naprzód po dobroci wypróbować, dopiero w razie ostatecznym na udry. A jak strajk w fabryce, to odrazu kuć w zęby takich, co nie śpieszą się, co się boją? Dopiero łamistrajka się bije. Rozumiecie?

U Cuzamenbruchów za ścianą zaskrzypiały deski podłogi.

Zniżyli głosy.

— Nie róbmy zebrania na schodach — zwróciła się z wyrzutem Łodzianka — chodźmy dalej.

Na drugim piętrze — mieszkania numer trzy i cztery. Filip Żołędziowski i Berek Rubin, administrator domu.

Kopersztyk udał, że naciska dzwonek u Rubina, może podpisze?

— Pan Żołędziowski w domu?

— W domu.

Delikatna córeczka w niebieskiej sukni, z różową wstążką z jedwabnej mory przez czoło prowadzi do pokoju. U Żołędziowskich naodwrot, niż u Cuzamenbruchów: salonik tam, gdzie jadalnia na pierwszym piętrze. Całe okno zastawione donicami: oleandry, fikusy, palma, wyhodowana przez pannę Janinę z pestki daktylowej, i pełno małych kaktusów. Niebieski salonik, bladoniebieska marmurkowa ampła pod sufitem, wszystko wedle gustu panny Janiny. Starsza o dziesięć lat siostra siedzi za kasą w wędliniarni, zameżna, mąż został przez starego Żołędziowskiego dopuszczony jako wspólnik. Sam Żołędziowski tylko dogląda. Chrzakając w miodowo przekopcone wąsy, starszy cechu wędliniarzy zapinał kamizelkę. Panna Janina na foteliku.

— My tu w sąsiedzkiej sprawie — zaczął Fiut.

— Żydek też? — spytał z humorem wędliniarz.

Rumieniec chwycił Fiuta za uszy. Znow solidarność!

— My tu wszyscy jednakowo sąsiedzi — Żołędziowski słuchał, ale patrzył tylko na Kopersztyka, lustrował mu guziki marynarki, krawat kupiony w koszu, kołnierzyk w niebieskie paski, nieforemną dolną szczękę, wysuwającą doprzodu zęby, i przydużą wargę, nos nadłamanym między oczyma, twardo powywijane

małżowiny uszu, karbujące się same odczesane na jeża włosy, niewygolony zarost. Kopersztyk nie dawał się sprowokować, patrzył Żołędziowskiemu przez ramię, przez liście oleandrów i figusów, krzyżujące się pod aksamitnym w żółty szlak lambrekinem, na front przeciwległego domu, gdzie w otwartym oknie wietrzyły się wyłożone kupą poduszki, wlewo za murcem kępy żółknących drzew, niższe między niemi dachy i ze sztorca fabrycznego komina dym wijący się z wiatrem, splątany jak bydlęce jelita — tyle płacić nie możemy, prosimy podpisać listę.

Wyciągnął papier przed wędliniarza, panna Janina naprężyła szyję. Wędliniarz zadart szpakowate szczotki brwi na czoło.

— Podpisać? Poco? Nie mogę podpisać. Porządny kupiec jestem. Jak nie będę mógł płacić, to sam pójdę do gospodarza i z nim się rozmówię. Lokatorzy to spółka jaka? Każdy dla siebie — odął wargi — a wy jeszcze na przykład z żydami spółkę urządzacie, oni lubią się targować, niech się targują.

— Przecież o wszystkich lokatorów się rozchodzi, nie tylko o żydów. Żydzi też są rozmaici, jak katolicy — ratowała swój honor, wykolejony przez Cuzamenbrucha, Łódzia.

— Z żadnymi nie chcę mieć do czynienia, to zaraza jest ludzkości, tylko polakom chleb zabiera i do złego pcha — powiedział surowo do Kopersztyka, który z pod twardych rzęs ko-

łysał oczyma za dymem. Uliczny przydeptał rzeźnikowi nogę pod stołem — nie dać się — do ataku:

— Uważa pan szanowny — sądził, że tak kupcy mówią między sobą — to nie żydowska kwestja, tylko lokatorska. Tylko o komornem mówimy. A ono przecie ani żydowskie, ani katolickie, tylko jednemi pieniędzmi się płaci. Jak kto je ma te kochane pieniądze. Przychodzimy do pana po sąsiedzku, po lokatorsku — zmiotł z nad stołu, na którym stał porcelanowy wazon w karby, też niebieski, wszystkich żydów — podpisujemy do gospodarza żądanie, żeby komorne na połowę złamał. Kryzys jest, ludzie nie zarabiają, z głodu chorują — gubił mu się powoli wątek w siwej czerstwości wędliniarza.

— Gadacie i gadacie — zapstrykał Zołędziowski wartko — jedno widzę. To nie jest katolicki interes. W tem jest żydowska głowa, pełne podwórko żydów, oni wymyślili, a wy, żydowskie pacholki, za ich namową chodzicie — Lodzia prawie z płaczem wodziła oczami po saloniku — żeby to był dom katolicki cały, to bym właśnie podpisał. — Wstał, wygrażając palcem — ja was nawylot widzę, jak przez szkło. Nie podpiszę — trząsł się — może ja też mam jaką chałupkę, toby lokatorzy do mnie przychodzili, żeby im obniżyć? A z czyjej krwawicy ja domek postawiłem? Lokatorzy

mi dali?! Ja moim lokatorom łaskę robię, że mają dach nad głową!

— Fiuuu — zadziwił się Uliczny — tośmy nie wiedzieli, żeś pan kamienicznik! Teraz wiem, dlaczegośmy żydowskie pacholki.

— Tatusiu — objęła wędliniarza córka — tatusiu, niech się tatuś nie denerwuje — ze wstrętem odwracała się od delegatów.

Nie było już co się krepować.

— Idziemy, żydki — wezwał Fiut — idziemy, żydowskie pacholki. No, główny pacholek — szturchnął Kopersztyka. Solidarność to solidarność.

Uliczny na pożegnanie odwrócił się do wędliniarza:

— Tyle pan o żydach, gorszy pan sam od najgorszego — wędliniarzównie łzy się puściły, wędliniarz, skrepowany jej niebieskiem ramieniem, zatupał:

— Precz stąd, złodzieje!

— Tylko gębę stulić — rzucił pięścią Fiut.

Lodzia krzyknęła: — Świński ryj!

— Złodzieje!!

— A poczemu koszerna wędlina? — cisnął śmiechem jak kamieniem w wodę Uliczny.

Na schodach przystanęli podnieceni z jeszcze drgającą przeponą.

— Czy to nie parszywy goj? — pobladł Kopersztyk. Każdy pieg oddzielną brunatną plamką kręcił mu się na odkrwionej twarzy.

— Parszywy — odpowiedział mu Fiut bez namysłu.

Kiedy byli już na półpiętrze — przez kolorowe szybki wielkiego czteroskrzydłowego okna podwórze było żółte, zielone, czerwone — uchyliły się drzwi mieszkania Rubina, ktoś wyjrzał i schował się. Twarzy nie było widać.

— O — pokazała Lodzia — od Rubina szpiclują.

Drzwi były zamknięte.

— Pewnie słyszał kroki u wędliniarza.

Bali się rozmawiać dalej na schodach. Na rapowiczowskiej ławeczce pod akacją starczyło miejsca. Na jedną tylko chwilkę zatrzymał się Kaźmierz, wyszli oboje Skrzypkowie.

— Na frontowych lokatorów niema co liczyć. Tylko Fojstygier. Brod przyjdzie dopiero na obiad i myślicie, że podpisze? nie podpisze. I Cuzamenbruch też nie. Może nawet Fojstygier się przestraszy, jak go Rubin zakrzyczy. — Wrześniowe słońce zwątłało, wolno schły deszczowe kałuże, po wodzie szły obłoki pomarszczone jak pieczone jabłka. Zalał wodę odbiciem Groch, idący do bramy — ten się nie martwi o komorne, wszystko jedno ile zarobi, ma służbowe mieszkanie.

— W piwnicy — poinformował Kaźmierz.

— Mówmy o swoim. Front jest przeciwko. Co mamy robić? — postawił Uliczny.

— Nie darować! — Fiut dostał gorączki.

Ostatnie miesiące bezrobocia spokojnie żuły mu czas, delegatowanie sparzyło ukropem.

— Uważajcie — Lodzia udawała, że poprawia włosy — Rubin wygląda.

Na drugim piętrze, z kuchennego okna, nie za wiele, nie za mało, akurat tak, żeby poprzez gałęzie akacji dostrzec wszystkich, wygiął się administrator.

— Niech patrzy. Można się było spodziewać, że front się odwróci tyłem, co ich nasza bieda obchodzi. Wartoby wymyśleć jakiś kant, żeby się przestraszyli — myślał głośno Uliczny.

— Nastać na nich chłopaków z Węglowej.

— Szyby w oknach powybyjać.

— Cuzamenbruchowi furmanów do strajku namówić.

— Jakiego?

— Żeby nas, lokatorów, wspomogli.

— Nie pójdą.

— Żołędziowskiemu wędliniarnię rozbić.

— I co dalej?

— Rozlepić kartki na całej Kwaśnej, że Cuzamenbruch, Żołędziowski i reszta przeciw lokatorom idą.

— Toby nie zaszkodziło.

— Kartki nie zaszkodzą, ale nie pomogą.

— Kartki pomogą, łatwiej będzie przy eksmisji Skrzypków — Uliczny wyjął obgryziony ołówek — ma który kawałek papieru? Bicie szyb to na krótko sposób, ani furmani nie pójdą za nas. W kartce wszystko opisać o ko-

mornem i jakeśmy postanowili Skrzypkom dopomóc.

— A potem?

— Przepisać, ile się da najwięcej, i porozklejać na domach.

— Kiedy? — spytał Koperszytk.

— Kiedy! — powtórzyła litościwie Lodzia — wieczorem!

— Lepiej jeszcze — wykombinował Fiut — rozdawać te ogłoszenia na ulicy, jak teraz rozdają reklamki. Naklejać, swoją drogą.

— Trzebaby było dzień i noc siedzieć i przepisywać ogłoszenia.

— Głupstwo. Chłopaków zaprząć, mój Kazik może, ja mogę — powiedział Uliczny — Fiut może.

— Ja mogę, — dodała Lodzia — Leon może.

Koperszytk się usprawiedliwił: — ja brzydko piszę.

— E, wszyscy brzydko piszemy, aby tylko wyraźnie.

— Tygielszajn może.

— Znajdzie się jeszcze. Zaczekajcie chwilę, ja napiszę.

Przeglądali się, jak Uliczny skrobał ołówkiem po papierze rozłożonym na ławce, ołówek podrzucany źle wyheblowaną deską podskakiwał, nierówno kręcąc litery. Uliczny wsadził dla pośpiechu wąż w zęby i pogryzał go, rozcierając na języku gorzkawy, tytoniowy

smak. Przeszły, wracając do domu na sobotni obiad, trzy siostry Klapkówny w oszczędzanych od kilku lat kowerkotowych jasnych paltach, obszytych taśmą, w kapelusikach z kwiatami — nazywano je: czarne surki. Matka, mała, pokręcona garbem od urodzenia, domokrażna handlarka owocami, włosy miała czarne jak ogon karosza, a perukę lnianą, śmiesznie żółtą, z pod której zawsze czarno się kosmociło. Stąd Czarna Sura. Odkłoniły się Koperszytkowi, zwolniły kroku, zawróciły do ławeczki.

OGŁOSZENIE.

Lokatorzy domu numer 27 na Kwaśnej postanowili wobec coraz straszniejszego bezrobocia robotników i wszystkich ludności pracujących, którzy nie mogą dać sobie rady z utrzymaniem swoich rodzin, postanowili obniżyć komorne do połowy. 50 procent i to też jest dużo, bo płacą fabrykanci i pracodawcy coraz gorzej, strasznie wyzyskując swoich pracowników, a jedzenie nie tanieje i mieszkanie tembardziej. Bronić musimy swego życia. Tak że lokatorzy tego domu postanowili, że jeżeli który lokator i tego połówkowego komornego płacić nie może, to nie dopuścić do stracenia przez niego dachu nad głową przez eksmisję.

Jednakże takie wyrzutki się znalazły społeczne, lokatorzy frontowych mieszkań, którzy

występują przeciwko sąsiadom po łajdacku mówiąc, że jak oni mogą płacić, to ich nikt nie obchodzi. Niech cała dzielnica się dowie, jakich łajdaków ma mieszkańców niektórych!

Podajemy ich nazwiska:

Żołędziowski, właściciel wędliniarni na Górnej 5, Cuzamenbruch, właściciel kantoru przewozowego, Rozmarynowa 20 i t. d.

Precz z wyrzucaniem z mieszkań!

Brońmy się!

Precz z łajdakami!

podpisano
delegaci domu Kwaśna nr. 27.

— Dobrze tak, czy macie jakie zmiany?

Fiut, zecerska dusza, zauważył, że w pierwszym zdaniu słowo „postanowili“ dwa razy się powtarza. Uliczny poprawił. Z sieni poprzecznej oficynki żwawo, prawie biegiem pośpieszył Sałamata w kapeluszu, nasuniętym na długi miękki nos.

— Co słyhać?

— Żle. Posłuchajcie.

Jakając się, Fiut przeczytał na nowo wezwanie — och, pisarzu od siedmiu boleści — sarknął na autora. Nieraz się chwalił, że każdy choćby najgorszy rękopis rozgryzie od ręki, tu znał tekst, a język obracał mu się kamieniem. Okropny ma charakter pisma Uliczny. Wartoby z kolegami pogadać, odstukać na maszynie tych parę wierszy i choćby ręcznie odbić.

Z takiego pisania ludzie tylko poślepną, czytając, nic nie warta kombinacja. Tylko odbić.

— Jak wam to wygląda?

Kaźmierz żałował: — Muszę już do węglarni. Opowiedzcie mi później. Ale dobrze napisane o tych łajdakach. — Na jego miejsce przysunęły się bliżej czarne surki.

Zakrytykował Fiut: — Błąd jest wedle mojego rozumienia w nazwiskach. Krzyczeliście tak, że trudno nawet było skupić myśli. Przez nazwiska więcej jeszcze lokatorów się uprze, żeby nie podpisywać. Nazwiska przestraszą.

— Wiesz pan, zgodzę się — pomyślał Uliczny. — Nazwiska wyrzucić, ale to przez zupełnie inny powód. Zupełnie inny — podkreślił. — Na rozum: w innych domach takie same są warunki, jak u nas, w każdym domu są swoje Cuzamenbruchy i Żołędziowskie, tylko się inaczej nazywają. Wyrzucić nazwiska, będzie wtedy o wszystkich domach.

— Napisać zwyczajnie: bogaci lokatorzy — postanowił Sałamata. — Burzuje — wykończyła Lodzia.

Czarne surki przestępowały z nogi na nogę.

— Adres zostawić, że to Kwaśna 27? — Kopersztyk pocierał ręce, wyziębiły go niespodzianki.

— I adres wyrzucimy, widać — Uliczny ostro wykreślił poprawki, aż darł się poprawiany papier. Dopisał przy końcu, przy łajdakach:

precz z burzujami, co zdradzają lokatorów! — podpisał wreszcie: delegaci lokatorów.

— Podoba mi się — stwierdził Sałamata, podparłszy nos zgiętym palcem — ale wada jest też poważna. Oparcia tu prawdziwego nie ma. Dzielnica powiedziała mi, żeby zaczekać jeszcze z tą całą sprawą, zarząd narazie bardzo zajęty, ale napewno zajmie się. Inaczejby się wtedy mówiło, mając oparcie. W całej Warszawie trzeba akcję lokatorską pchnąć. Ja sam, jak wezwania będą gotowe, wezmę, na budzie rozdám. Pożyteczne owszem bardzo, ale szerokości, oparcia, organizacji tu brak.

— A kto waszej PPS zabrania? — udał Uliczny naiwnego.

Sałamata zirytował się: — Wy tak do mnie nie gadajcie, bo się pokłócimy. Partja to nie jest sklepik, wszystko musi mieć swoją kolejkę.

— Daleko zajedziecie na tej kolejce! Zostawmy — uspokoił Sałamatę — o wspólną skórę się gra. Patrzcie, towarzysz Rubin wybrał się na spacer, napewno o nas myśli.

Jednym wiatrem odwiało głowy ku bramie. „Towarzysz“ Rubin nie zmieszał się. Przechylony trochę doprzodu nieproporcjonalnie ciężkim torsem i głową, poszerzała go jeszcze wywatowana w barach, prostokątna jesionka, liczył, przeliczał grupę pod akacją. Z kuchennego okna gorzej liczyć.

Pokazali mu plecy. Czarne surki zabrały się

do domu, podstrachane, niech administrator nie mówi, że to one zaczęły.

— Feliks! — wrzasnął administrator.

— Feliks! — niecierpliwiał się nadpękły bas.

— Feliks!

Z poprzecznej oficynki wypadła dozorczyńni. Rubin widział, jak z suteryny wysuwała się głowa, pierś, spódnica, stał akurat naprzeciw sieni. Przebiegła między surkami, Groch wyszedł na Węglową kupić skóry podeszwowej, reperował buty, znał szewcką robotę.

— Feliks! — walił bas po szybach — Feliks do cholery! Feliks! — i krótkiem echem łomotał w bramie, jakby skrzyniami rzucał.

Dozorczyńni rybno kłapały usta: — Feliks zaraz wróci. — Administrator bez słowa wyszedł po desce, nakrywającej rynsztok, na ulicę.

Sobotni ruch na Kwaśnej niehandlowy, część sklepików pozamykana. Węglowa giełda drzemie i wozy mniej trzęsą jezdnią.

— Złodzieje — tarł w zębach za Żołędziowskim Rubin — obniżyć do połowy! Jabym ich obniżył do połowy!

Telefonować do Rapowicza?

Czas jeszcze.

Tu trzeba coś mądrego zrobić.

Zatelefonować do Murmantla?

Murmantel to stary przyjaciel Rubina. Na oko katolik, nikt go za żyda nie weźmie. Wykapany Żołędziowski, tylko wasy ma dłuższe, też nosi maciejówkę. Murmantla nazywają je-

go lokatorzy: bojówkarz, ma dwie administracje na Franciszkańskiej, jest członkiem dzielnicy PPS dawniej frakcja rewolucyjna. Dobry przyjaciel, twardy chłop choć bardzo niemłody. Co dobry przyjaciel poradzi? Idź do policji.

Odrzuć pójsz do komisarjatu, komisarz napewno urzęduje.

Rubin zaglądał przechodzącym dziewczynom pod kapelusze, na jedną cmoknął filuternie, ściągając przekrwione powieki w szpary. Prostytutki w okolicy znały go jako skąpego gościa, wygniótł, wydusił, nic ponad takę nie dał.

Bóg chciał, że on, Rubin, dostał takie domy do administracji. Kwaśna i dwa na Węglowej. Mają przecież ludzie szczęście, siedzą sobie w śródmieściu, jak w wygrzanem łóżku pod pierzyną (i z młodą dziewczynką, co jej piersi sterczą), żadnych kłopotów, lokatorzy sami komorne przynoszą, kwartalnie płacą. A tu ze złodziejami się użeraj, całą rewolucję chcą zrobić. Rapowicz, jak się dowie, odrazu sobie gumową flaszkę z gorącą wodą na wątrobę położy, też się udał, wszystko musi na jego, Rubina, głowie... Nie lokatorzy, tylko wściekłe bydłaki — krok mu zenergiczniał, napięty się łopatki i uda — był taki Klemiszewski murarz na Węglowej 10, w drugiej sieni naprawo, po którym wziął lokal Jungheit. Zanim komornik z eksmisją przyszedł, murarz drzwi na klucz zamknął i żelazem walił w ściany, aż na pierwszym pięttrze tynk się z sufitu sypał, piec kaflo-

wy na kawałki, kuchnię na kawałki, sufit aż do trzciny rozharatał, całe zburzenie Jerozolimy, podlec, urządził, szyby powybił, podwórko się zleciało, musiał policjant drzwi wywalić, myśleli że zwarzował. Nie zwarzował — powiada: teraz możecie eksmitować — remont kapitalny kosztował ze dwieście złotych, a babski krzyk pod oknami, jakby je zarzynali, komornik Wiechetko już się zabierał do domu, nie może ryzykować. Gdyby Rubin nie dał znać do komisarjatu, toby rzeczywiście uciekł, zanim co...

Rozejrzał się dookoła, czy nie zobaczą znajomi żydzi, że w sobotę jeździ, i wsiadł w dryndę. Numer rejestracyjny dyndał na grzbiecie dorożkarskiej liberji, koń puszczał wiatry, aż Rubin nos chustką zatykał, trzęsły kocie łby. Najprościej byłoby zabrać podkomisarza na wódkę.

Podkomisarz Paliwoda, długi, w granatowym futerale munduru, wychodził na obiad:

— Pan do mnie?

Rubin wycisnął z siebie tłuszcz grzeczności:

— Ja tylko za poradą. Mogę odprowadzić pana komisarza, po drodze opowiem.

Podkomisarzowskie podeszwy skrzypiały służbowym sznytem po rozluzowanej posadzce, urzędnicy w mundurach policyjnych i w cywilnych ubraniach unosili z nad krzeseł zady w ukłonach. Rubin z za wąskich pleców swego przewodnika kłaniał się z wylaniem każdemu

biurku za barjerą, znał wszystkich, ale z szacunku dla podkomisarza nie witał się przez rękę z urzędnikami. Pan podkomisarz tylko przykladał do okutego daszka sztywną dłoń w rękawicze. Urzędnicy przezywali go „śle-
dziem“ za wymokłą urodę. W ciasnej twarzy poprzez binokle pagórkami sterczały krótko-
wzroczne oczy. Na defiladach, gdy czapkę za-
mieniał na hełm szturmowy, dziwił jak grzyb
na wybujałej; rozdwojonej nodze. Nosił bacz-
ki à la księżę Józef, których z pod hełmu nie
było widać.

Na schodach Rubin wziął przymilnie podko-
misarza pod łokieć:

— Wstąpimy coś przekąsić. Tak na sucho
źle się słucha — zrymował nawet — moja hi-
storja jest długa, tylko rada potrzebna krótka.

— No dobrze. Ale mam czasu niezaduzo.

Dryndziarz czekał jeszcze przed bramą.

Podkomisarz wsiadł pierwszy. Ustawił blask
cholew nożycami. Dopiero usadowił się Rubin,
aż zaskrzypiał resor.

Dryndziarz odwrócił pytająco ucho na ce-
glastym karku w białe krechy zmarszczek.

Rubin posłusznie nachylił się:

— Dokąd, panie komisarzu, się wybrać?

— Mnie wszystko jedno — uciał przed so-
bą rękawiczką Paliwoda.

— Może na rybkę?

Przyzwalająco strzepnął podkomisarz brwia-
mi.

— Weźmiemy gabinet, nikt nie przesko-
dzi. — Na Bielańską!

Resory płaszczyły się na grudziastym bruku.
Potem popuścili na kamiennej kostce, po asfal-
cie popiskiwały już tylko cichutko.

Z tkliwością patrzył Rubin na podkomisarza
Paliwodę — sympatyczny człowiek, jak rzadko
się trafia. Rubin miał do czynienia jeszcze z ro-
syjską policją, dobre były czasy, ale rewiro-
wy to nie było to, inni ludzie, bez uprzejmości,
inaczej się dziś rozmawia.

W restauracji szef poufale przysunął się. Na
sali było pełno, rybka w „Liverpoolu“ cieszyła
się zasłużoną sławą. Prócz żydowskich kupców
przychodzili smakosze na żydowskie przysmaki.
Białe obrusy w kręgach talerzy i flaszek mie-
szały się z kręgami twarzy i uplotkami palców
na widelcach i kieliszkach. Bronzowo - granato-
we ubrania — bronz i granat najmodniejszy
kolor męskiego sezonu — obrastały stoliki. Za-
pachy jadła wodotryskami biły z talerzy w nie-
frasobliwą rozmowę.

Przestronny, nienajwidniejszy i cichy gabi-
net, wyściełany czerwonym pluszem.

Pod gorzką angielską cielęcą nogą w gala-
recie.

— Pan komisarz jaką rybkę pozwoli: fasze-
rowaną czy gotowaną?

— Panie komisarzu, faszerowaną — z ży-
wym namaszczeniem radził Rubin — w zeszłym
tygodniu jadłem, palce lizać — a kiedy podko-

misarz przyzwolił: — dwie porcje faszerowanej, ale w kuchni powiedz — upomniał Rubin kelnera — że to dla mnie.

— Wiem, wiem — bronił się kelner.

— I spirytusu czystego!

Po szczupaku podkomisarz rozluźnił pasa i rozpiął kołnierz. Rubin, przesłaniając ręką usta, zaczął:

— Panie komisarzu! Lokatorzy mnie do grobu wpędzają.

Kelner wniósł półmisek mostku wołowego, okwitłego żółtym tłuszczem. Rubin propozycyjnie przechylił butelkę nad policyjnym kieliszkiem. Marna rasa, za krótkie paznogie — obserwował podkomisarz Paliwoda czteropalczasty uchwyt na szkle i odstawiony z kokieteryjną małą palec — kudłaty musi być na ciebie.

— Spirytusu pod mostek?

Ukrop alkoholu wyciągał podkomisarzowi grdykę wszystkimi pierścieniami z wojskowego kołnierzyka. Poprzez kęsy pieprznego mostku z duszonymi w sosie kartoflami, przez ocet marynowanych grzybów z musztardą naprzemian tłumaczył Rubin tragedję swego losu. Oczy łzawiły mu od sparcia spirytusem, fryzura porozlepiała się potem: — wyjątkowo dobre mam serce do ludzi. Specjalnie do lokatorów. Nikt ode mnie złego słowa nie usłyszał.

— Chyba że zalega — skroił podkomisarz.

— Och, cho, cho, och, cho — podrzucał całym brzuchem Rubin. Podkomisarz śmiał się

na ha-ha, dość piskliwie. — No, chyba, jakże inaczej? I uważa pan, komisarzu, cała banda się stworzyła lokatorska, chodzi po mieszkaniach i namawia do niepłacenia mi komornego.

— Wogóle nie płacić? To niebezpieczne.

— Wogóle, nie wogóle. A jak nie płacić połowy, to dobrze?

— To też niebezpieczne — już słuchał, z uwagą bodąc z nad szkieł. — Skąd pan wie o tem?

— Przychodziła banda do frontowych lokatorów, zmuszała ich, żeby podpisali jakiś papier.

— Papier?

— No, do gospodarza podanie, żeby obniżył o połowę.

Podkomisarz skrobął się paznokietkiem za ucho.

— Podanie to ostatecznie nic złego. Niech gospodarz odpowie odmownie i koniec.

Za taką radę warto stawiać wódkę?! Rubin oburzył się: — przecież oni nie będą patrzeć na odpowiedź!

— No to do sądu!

Jaki nieinteligentny człowiek — zdecydował Rubin: — wie pan komisarz, gotuje się u moich lokatorów. To jest polityczne nieszczęście, a nie dom. Prawdziwy komplet do więzienia. Pan komisarz wszystkich nie zna, ale jednego napewno. Uliczny się nazywa.

— Uliczny? Nie pamiętam.

— On za radjo odsiaduje co miesiąc. On, i fryzjer, jest i taki stolarz. Parę razy wogóle już siedział politycznie.

— Rzecz inna. Jeżeli pan sobie życzy, mogę zawiadomić policję polityczną, żeby się zainteresowała.

— No, nareszcie, rozumiem! Najprostsze! Przestaną paskudzić.

Do czarnej kawy benedyktyn. Podkomisarz Paliwoda chwalił się mocną głową, ale spirytus i jemu przewłócił pijaną mgłę przez oczy.

„Rybka“ na rachunek Rapowicza, rada była dobra, ale sam Rubin nie jest przecie na tyle głupi, żeby takiej rady nie wymyśleć. Lepiej, kiedy podkomisarz Paliwoda jej udzielił. Władza woli, kiedy ona radzi, kiedy jej się radzą.

Podkomisarz zapiął kołnierz, ściągnął pas do wygładzonej dziurki.

Rubin płacił rachunek, z którego spadło pięć procent dla stałego gościa.

Sala opustoszała do połowy łysinami niezajętych stolików w wianuszkach krzeseł, po „rybce“ wracają goście na obiad do swych sobotnich połowic.

Na wąskim deptaku zawiały, rozdeły nozdrza podkomisarzowi Paliwodzie i Rubinowi perfumami i pudrem, pod zapach kurzu i benzynowych spalin, opięte płaszczyki nad jedwabnemi pończochami.

— Wybierze się dzień — kłaniał się z wylaniem Rubin — może na dziewczynki? — Wód-

ka buzowała w żołądku i uszach, szczypała zimnem w nos.

Podkomisarz dziarsko poderwał główkę:

— się wie! — i dał się zabrać przechodniom.

Rubin, rozpychając się łokciami, dogonił podkomisarza i delikatnie trącił go w ramię:

— Pan komisarz nie zapomni zatelefonować?

— Dokąd?

Rubin nie mógł w ścisiku rozłożyć rąk ze zdumienia:

— Dokąd! W mojej sprawie!

Podkomisarz marszczył się, na galarecie, mostku, kawie ciepło turlały się kieliszki mieszanego alkoholu.

— Aha! — a potem z nagłą służbową pasją:

— powiedziałem!

i między syrenami samochodów, dzwonekami nadjeżdżających tramwajów stawiał po jezdni podpite blaski swych przecie pewnych cholew.

V.

Skrzypkowa całą noc nie mogła znaleźć wygodnego miejsca na sienniku. Wszystkie modlitwy, jakie знаła, odmówiła szeptem, słyszała ile razy Groch chodził otwierać bramę. Skrzypek spał bez oddechu, z kolanami pod brodą, i jego kończysty kręgosłup był jak piła. Małżeński siennik leżał głowami do okna.

Napiąwszy podbródek a wywróciwszy oczy, widziała niebo nocne, rzucone ukośnie jak sufit facjaty, i rozsypane krupy gwiazd. Tydzień dali na eksmisję — ślina spiekała się na gorzkim języku — niby tydzień czasu na zabranie rzeczy. Tydzień! Sparciała słomę z sienników do śmietnika i tę trochę naczyń do worka, skrzynki połupać, raz-dwa całe gospodarstwo. Dokąd? Chyba na podwórze, po deszczu, po przymrozkach z małemi dziećmi, i czy przyjmą do baraków — tydzień! Choćby się nie śmieli z ludzi, tylko odrazu przyszli z sądem i wyrzucili, niech raz koniec zrobia.

Szarzało nad ślepym murem sąsiedniej kamienicy, pod którym stała krowiarnia. Pawełek chrapał z przygwizdem w kuchni, Kuropatwa, pokaszując. Potem Pawełek poczłapał do zlewu, słyszała, jak wytrysk moczu podzwaniał po zlewie, wolniał. Pawełek ziewał i poczłapał zpowrotem. Kiedyindziej Skrzypkowa wstałaby z chryją, że nie wolno nawet dzieciom do zlewu za potrzebą chodzić, zlew już dawno stał się jedną zardzewiałą raną, polewa poodlatywała, a mocz na rdzy śmierdzi, że ustać obok trudno. Niech mu tam, ostatni dzień.

Zaświtało, Mańka od krów zabrzdąkała łańcuchem przy bramce krowiarni, puściła na cały kran wodę do wiadra, aż się przelewało. Skrzypkowa wstała, nie leżało się, podłoga była zimna, łapały ranne dygotki, zajrzała do dzieci, zakopały się pod podartą końską derkę,

nakryły na głowę. Derkę podarował Kuropatwa, bo sprzedać? nikt nie chciał od niego kupić, ukradł ją przy okazji w firmie, gdzie dawniej pracował, kiedy przyszedł pytać o robotę.

Skrzypkową dławiło do krzyku, pobudzić wszystkich, już i wozy grzmocą po Kwaśnej.

— I co ich będą budziła?

Dzień był właściwie jak święto, trzeba długo spać, ostatni dzień we własnej izbie. Ułożyła się znów przy Skrzypku, brzuchem do jego pleców, i nadśluchiwała, co na podwórzu. Nic się nie ruszało, woda tylko bębniła po dawno przepełnionem wiadrze. Gdzie się Anka zapodziała? Już drugą noc siostra nie przychodziła do domu. Żeby choć parę groszy przyniosła albo coś do jedzenia dla dzieci. Nie chowała nawet, że z chłopami ma jakieś interesy. Opowiadała, że przychodzi do jednego kolejarza, wdowca, co ma dwoje dzieci, chce się z nią żenić. Myślała Skrzypkowa, że naprawdę; Anka nie przyprowadzała go, no bo wstyd taką zbudniałą rodzinę pokazać. A potem znów mówiła, że to szofer taksówkowy czy tramwajowy konduktor. Łże, że zamąż wychodzi, puściła się. Marną ma duszę, zawsze była taka sama, chciała na siebie.

Kuropatwowa zagadała przez sen, mamrotała bez przytomności, aż jakby ją przydusiło poduszką.

Pobudzili się wszyscy niedługo. Zaczął Pawełek krzykiem:

— Do eksmisji pobudka, pobudka, pobudka wstać!

Leżeli dalej. Przeciagali się do trzasku w stawach, poziewali. Małe Skrzypki powysadzały łebki z pod derki, odrazu: jeść.

Z wieczora pozostawiła Skrzypkowa trochę pecaku, sięgnęła ręką do ściany — jest garnek, bała się zostawić go na kuchni, napewnoby kto zeżarł, już nie raz bywało. Na sześcioro nie starczy, chyba co dogotować. Miała jeszcze dwadzieścia groszy — na kartofle z solą będzie, na omastę nie. Trzy kilo kartofli na obiad. Zrobić z obiadu śniadanie? Nawet mądrzej, obiadu i tak już w mieszkaniu nie zjedzą, już kuchnia nie będzie do gotowania. A tam później, niech grom spali.

— Eksmiciarze, ostatni wasz dzionek nastał dziś — zaśpiewał Pawełek — co w sklepie trzy złote, u nas jeden złoty. Do eksmisji, do eksmisji!

Kuropatwa plunął aż pod kuchnię zielonym skrzepem plwociny:

— Masz, udław się.

W rozdartej do pępka koszuli wyskoczył Pawełek do Kuropatwy.

— Nie wiesz, dziadu, że za to płaci się tysiąc złotych kary, za plucie nie do spluwaczki? Na trzy miesiące do aresztu — śpiewał na nutę „hej tam pod lasem“ — jak nie masz forsy.

Kabatem Kuropatwy zamasyście wytarł

oplutą podłogę. Ex-woźnica usiadł, siwo rozkudłany, i przygniótł łokciem żonę, że jęknęła.

— Urwał się, jak ranyboga, kupiec, rzuć kabat!

Małe Skrzypki przylazły z derką na siennik Pawełka.

— Masz kabat — rzucił staremu na łeb — czysto musi być przed eksmisją, nie wolno paskudzić, bo pan komornik nie będą chcieli eksmisji zrobić, jak brudno będzie. Rozumiesz, końskie podogonie?!

Małe Skrzypki zaśmiewały się przez ziewanie. Pawełek naciągnął portki, namoczoną dłonią przygładził włosy, uczesał się przed szybą pooblamywanym czerwonym grzebykiem, splukał nad zlewem twarz i ręce, wytarł rękawem.

— No, szczeniaki — pstryknął na małych Skrzypków — kto się pierwszy ubierze, przyniesie pół kilo chleba — puścił, przykucnąwszy, bączkiem dwudziestogroszówkę po podłodze. Skrzypki, rzuciwszy derkę, kopnęły się na swoje legowisko, poszturchiwały się, żeby jedno drugie opóźnić — kto przyniesie kupcowi chleba, dostanie kawałek.

— Czego komedje robisz — zapytał Kaźmierz — masz już nowe mieszkanie?

— A nie mam.

— Ja też nie mam. Chyba że w węglarni przenocuję, ale zimno pieskie na dworze.

— Do cyrku spieszyc się trzeba, bo tam wieczorem kolejka jak do banku po pieniądze.

Skrzypkowa zarzuciła chustkę.

— Do sklepiu idę, daj pan pieniądze, to przyniosę.

Pawełek wolał nie dawać Skrzypkowej, matki są spekulantki, odrazu w sklepiu każe sobie odkrajać kromę, a dzieciaki nie ruszą, zaczekają aż sam da.

Kaźmierz wlaźł w swoje łachy, robiło się późno, przed ósmą trzeba skład otworzyć, a tu pod kuchnią się nie pali. Postanowił wybiec na Węglową do kawiarenki, gdzie jadali woźnice węglowi; duży kubek białej kawy za piętnaście groszy, zawsze zrana chwalił siebie, że się nie ożenił:

— tak to jestem sobie pan.

Zajrzał do Skrzypka. Leżał jeszcze, licząc chyba prochy w szparach, bo głowę miał zwieszoną nad podłogą.

— Ty, Skrzypek, ja będę uważał, jak komornik przyjdzie, ale jakbym nie widział, to zawołaj mnie, przylecę.

Skrzypek dziobnął nosem. Słyszał, jak Kaźmierz, wychodząc, mówił do Pawelka:

— Pamiętaj, kupiec, waruj w domu aż eksmisja nie przyjdzie, na miasto nie uciekaj, sąsiedzi kazali.

— A co mi robią, jak pójdę? — i gwizdnął — ja już nietutejszy.

Kaźmierzowi język się potknął:

— Nie-nie-nie bądź su-sukinsynem, kupiec!

— Nie zasmarkuj się, zobaczę.

Drzwi skrzypnęły, Pawełek wygwizdywał przez zęby.

Na drugi bok przekręcił się Skrzypek do ściany, liczył:

— przyjdzie komornik z policją, wyrzuca. Przyjdą sąsiedzi, pokrzyczą. A potem co? Tyli kawał do opieki — Skrzypek bał się teraz każdej drogi, w głowie się kręciło i łapało w pierśiach od chodzenia — i powiedzą, mało się słyszało? miejsca niema w barakach, musicie swojej kolejki czekać — —

Przyleciały z krzykiem małe Skrzypki, Pawełek przestał gwizdać. Trzasnął sprężyną nóż.

— Macie, podzielcie się.

Już się tarmosiły.

— Oddać, sam podzielę.

Żuli w pięcioro głośno, potem Pawełek stęknął, stanął mu kołem w gardle suchy kęs, popił wodą.

— — Jakie są te lokatory, zawsze coś od nich kapnęło. A teraz już napewno czapkę w rękę i po ludziach, i po ludziach: — bezrobotny, szanowne państwo, prosi o kawałek chleba — ktoś opowiadał, nie pamięta kto, Uliczny? Sałamata? Fiut? Leon? — ktoś opowiadał — —

Kuropatwowa wymyślała staremu, że pijak, pół menażki kawy wyłopał w nocy. Na pierśiach mnie paliło — odpowiedział bezczelnie.

— — Ktoś opowiadał, że najlepiej w tramwajach jałmużny prosić. Jest jeden bezrobotny, co go pasażery znają, odrazu wyjmują portmo-

netkę, jakby pensję mu płacili. Są takie punkty w mieście, gdzie tramwaj do kontroli się musi zatrzymać. Jedna zmiana pójdzie, zanim druga przyjdzie, bezrobotny może zarobić — —

Układał sobie w krtani głos, pomrukiwał: — kochani państwo — a sień, którą tyle razy wydeptywał, ustawiała się na nowo na wypadek deszczu. A możeby się tak pchnąć do piwnic, pewnie się jaka znajdzie wolna, i tam rzeczy przenieść? Niech gospodarz potem z piwnicy wyrzuca — —

Wróciła Skrzypkowa, rozpalala ogień pod kuchnią. Pawełek opowiadał, jaką miał historję z posterunkowym pod głównym dworcem. — Mówię grzecznie do panów i panienek: plan Warszawy, wszystkie ulice za pięćdziesiąt groszy. Patrzę, sąsiad daje nogę, ledwom się obejrzał, z której strony idzie policaj, on już przy mnie. — Nie wiesz, łazęgo — mówi — że tu sprzedawać — mówi — na ulicy nie wolno? Wiem, panie władza — mówię — ale ja nie sprzedaję, tylko właśnie kupiłem plan u jednego — mówię — oglądam, bo na spacer się wybieram. — Do komisarjatu na spacer — powiada, pasek na brodzie poprawia. — Ja z całą przyjemnością mogę — mówię — tylko nie wiem zaco — —

Talentu nie mam — myśli Skrzypek — że bym tak umiał, jak kupiec, to bym cały dzień stał na ulicy — i wydrapuje krzyżyk w podpuchlým od wilgoci tynku. Wydrapuje krzyżyki

wlewo od niego i wprawo, w górę i wdół, szlaczek się robi taki.

— — ledwom się odczepił, wchodzę na dworzec, do poczekalni, na ławeczce trochę podrzemie, bo i kapać zaczęło, całkiem nie na handel, siedzę chwilkę, jak pasażer, tylko bez walizki, od wszystkich drzwi policaje idą. Na mnie się uwzięli czy co? Widzę, jednego znajomka, co bruljonami handluje, za hals biorą i kopa mu dają z poczekalni. Czekam aż i mnie wywalą, nogi wyciągam, nigdzie się schować.

— Do ustępu trzeba było pójść — odezwał się Skrzypek.

— Do ustępu! — pogardliwie głośno odpowiedział Pawełek. — Rok temu, to tak. Zamknięty ustęp już rok dla takich mądrych jak pan. Tam kaloryfery są i bractwo odgrzewało sobie gnaty przy rurach, jak mrozy były. Ustęp na kłódkę, a otworzyli na peronie, chce się kto odlać, kup peronówkę. A które rogówki, nosy tak w kołnierze powsadzały, żeby nie poznać, że i ja nie widziałem, która pasażerka, a która na rogu stoi. Jakem zobaczył, że już do mnie dochodzą, wstaję sobie i prosto do wyjścia, nie spieszący się. Ode drzwi już na mnie się wytrzeszcza mordą. Ja wtył zwrot i do informacji kolejowej. Ruch tam, lepsze goście się pytają, kiedy przychodzi pociąg, kiedy odchodzi. Zaczekałem sobie i do takiej starszej paniusi przy drzwiach mówię na ucho: litościwa osobo, dwadzieścia

groszy do biletu brak, żona, dzieci w domu płaczą, że mnie nie widzą. Wysupiała — —

— I co? — zdenerwowała się Kuropatwowa.

— I pstro. Peronówkę kupiłem, przez drugie wyjście sobie wyszedłem. A tak przenocowałbym w komisarjacie.

— Dwadzieścia groszy piechotą nie chodzi — sentencjonalnie mruknęła Skrzypkowa.

— Siedziała już pani w komisarjacie? Nie? To nie przygaduj pani lepszemu gościowi.

Na śniadanie do kaszy Skrzypkowa kupiła ćwierć litra mleka, dołała wody, pełen garnek gruzłowatej papki się zrobił. Zato kartofli kilo mniej. Po pięć kartofli wypadło na twarz.

Pawełek odwrócił się do podwórza, pogwiźdywał, ślina zalewała mu gardło, głośno tykał, ale Skrzypkowie udawali, że nie słyszą, tykali jeszcze głośniej. Kuropatwowa dorzuciła pod kuchnię węgla ze swojego powygniatanego na wszystkie boki wiaderka, przygrzała kawę, sior-pali ją Kuropatwowie na sienniku, namoczywszy czerstwego chleba. Pawełek nie wytrzymał, wyszedł do sieni.

Ociepliło się, jak to bywa przy końcu września przy udanej jesieni. Skrzypek nie ruszył się, choć powinien był wyjść przed bramę, pilnować, kiedy komornik nadejdzie, dać sąsiadom znać. Siedzieli, gdzie kto po jedzeniu został, patrzyli po sobie, gadać nie było o czem. Na wyczekiwanie Skrzypkowa strzepnęła palcami, pożyczła sobie bawełny od Kuropatwowej, na roz-

piętych rękach zawiesiła mężowską koszulę pod światło, miał jedną na zmianę, wzięła się do zaszywania, bo płótno po każdym praniu rozłaziło się dokoła zaszytych dziur i darło samo z siebie na nowo. Skrzypek dogrzał wody, nalał w blaszaną miszkę, zakasał nogawek spodni i nogi do wody. Syczał, bo parzyła, ale wytrzymał, dobrze robiło na reumatyzm. Poruszał rozplaszczonymi palcami, pokrytymi grochem odcisków; kiedy woda stygła, dolewał gorącej z garnka, znów wykrzywił się, bawiło to Pawełka i małych, którzy czekali na dolanie, i znów przebiebrał palcami o czarniawych paznogciach.

Z samodziłowej torby wraz ze skrawkami dawno już zdartych kiecek, ze zwijkami szpagatu, tasiemek wyciągnęła Kuropatwowa gęsty grzebień. Wyczesala najpierw sama włosy ściągnęła je w supeł i zwała sobie łeb starego na kolana. Stękał: — wyrywasz — aż mu szesasa siwą grzywę gładko na nos, wszy tłukła na grzebieniu.

Zapukano odrazu z dwóch stron, do drzwi i do okna. Za szybą Kaźmierz, przystawiając twarz do ramy, krzyknął, szyba głużyła okrzyk: — przyszli! Za drzwiami tarło o podłogę kilka par podeszew. Skrzypkowi serce skoczyło do gardła, naparł stopą na brzeg miski, przechyliła się ostro i chlusnęła całą swoją wodą pod drzwi. Wyrzucił mokre stopy na podłogę i, stemplując krzywymi śladami deski wzdłuż rozlanej strugi, nacisnął klamkę.

Pierwszy wszedł komornik z żółtą teką, strzelając oczami po kątach, wwałił się Rubin, posturunkowy, szeroki jak granatowy wór maki, z podpinką pod kopyścią brody. Groch, który odrazu podparł ścianę. Za nimi do kuchni wladowali się sąsiedzi: Zośka Uliczna, Lodzia, służąca od Brodów, Porada, Sałamatowa, Kazik Uliczny, krawiec Icchok Barwiarz, Pałczyńska, żona magistrackiego urzędnika z pierwszego piętra. Pawełek, widząc za szybą głowy, otworzył okno. Przed odchylającymi się ramami głowy ugięły się, wróciły podbródkami na pokój. Uliczny, Tygielszajn, Fiutowa z bólem zębów podwiązanym chustką, Fiut, Mańka od krowiara, Kaźmierz, stara Tygielszajnowa, Leon w białym kitlu, Sałamata.

Komornik Wiechetko ominął kałużę wody, szukając niezdecydowanie stołu, zmierzył do okna, by rozłożyć swoje formularzowe gospodarstwo na blacie, wstrzymał się wpół drogi, usiadł wkońcu na ławce, dyskretnie otrzepawszy ją chusteczką. Stół zastąpił sobie skrzynką. Przerzucił papiery, dobył arkusza.

— Kto tu gospodarz mieszkania?

Sąsiedzi wypchnęli Skrzypka przed skrzynkę. Stał z opuszczoną twarzą. Wystroił się specjalnie na eksmisję? — myśli komornik, zakładając blaszkowy łańcuch na szyję, — boso, w zakasanych nogawkach, w brudnej koszuli?

— Pan jest Skrzypek Jan?

Komornik wstał, za nim dźwignął się z trząśnięciem w kolanach administrator.

Mruczy niewyraźnie wyrok sądu grodzkiego, zatrzymuje się wdech na rzadkich kropkach, wydycha na zakalcu decyzji.

— Sam pan usunie swoje ruchomości?

Skrzypek odwrócił się i schował za sąsiadów.

Do administratora przechylił się komornik: — ma pan ludzi do usunięcia ruchomości?

— Groch! — buczy Rubin — wynieść wszystkie rzeczy na dwór!

Groch nie patrzy na ludzi, rękoma strzepnął, że musi, chwycił siennik Pawełka i pociągnął za róg. Kurz szarpnął się od podłogi, palto z łysem kołnierzem, którem Pawełek nakrywał się na noc, zjechało na deski.

— Ty, palto podnieś!

Siennik szurnął zpowrotem. Groch stoi z paltem w ręku.

— No! — pędzi administrator — wynieść to na dwór na ławkę!

Palto rusza ospale do drzwi.

— Feliks! — upomina bas — ja wam pokażę zabawę! Tak po jednej sztuce wynosić, to pan komornik będzie musiał cały dzień tu czekać!

Z kuchni chwycił garnek do kartofli i wpakował go dozorca na ręce między pierś a palto. Pawełek przyskoczył, potrafiwszy Kuropatkę.

— Ja ci dam smolić moje palto — z trząskim fajerek rzucił garnek na kuchnię — możesz smolić swoje, byku!

Rubinowi zwiśniowiały pod oczyma ceglaste plamy.

— Do mnie się p a n mówi, chamie jeden! — wrzasnął. Nietylko pod Rubinową uginają się nogi od tego basowego skowytu.

— Pocałuj mnie — palcem zakreślił Pawełek kółko dotyku — a doktora z Kasy Chorych świadectwo pokaż, że syfa w gębie nie masz —

Rubin szarpnął się, w ćwierć-ruchu komornik nieznacznie położył mu rękę na biodrze. Za oknem śmiech uderzył jak rumor zsypywanych desek.

— Zamknąć okno, panie posterunkowy.

Policjant grzmi buciorami i ostrożnie przymyka. Ledwo wrócił na miejsce przy kuchence, Pawełek otworzył okno zpowrotem.

— Śmierdzi tu — mówi ze ściągnięciem brwi — od czego tu może śmierdzieć? czyste mieszkanie —

Ode drzwi śmiech motocyklem zaterkotał przez kuchnię. Wiśniowy Rubin zaszeptał nad uchem komornika za półszywny kołnierzyk, na przyszyty kark i przepchnął się do sieni.

Komornik usiadł znów, skrzypiąc — mało która eksmisja przechodzi gładko, parszywa dzielnica, wciąż użeranie się z nędzą, niema nadziei na przeniesienie się do lepszej, mógł zażądać dwóch posterunkowych. Odrazu pieczęć na drzwiach przyłożyć, bo gotowi jeszcze po jego odejściu zerwać gospodarzowi kłódkę i zpowrotem wstawić rzeczy. Komornik uśmiecha się

wygoloną wargą sam do siebie — takie rzeczy wstawić, wystawić, prawdziwe żarty. Nicby się właściwie nie stało, żeby odrazu opieczętować lokal razem z rzeczami, przecie to wszystko jednej złotówki nie jest warte. A stawia się ta nędza tak, jakby to były mahonie, czeczoty, palisandry. Baraki znów też nie bóg wie jaka przyjemność. Dziwi się twarzom. Zupełnie jak w wojsku — kolekcja degeneratów. W pułku porucznika rezerwy Wiechetkę zawsze na ćwiczeniach prześladuje na początku wrażenie, że do jego kompanii specjalnie przydzielono ludzi niedorozwiniętych fizycznie, wynaturzonych, o za małych albo za dużych oczach, o nieprawdopodobnych uszach, nosach, czołach; tylko nad rzeką, kiedy musiał jako zastępca dowódcy kompanii prowadzić żołnierzy do kąpiei, rozebrani przypominali ludzi. Wrażenie przechodziło później, przestawali razić nawet żołnierze z innych kompanij, przyzwyczajało się oko. Ależ twarze! choćby ten dryblas na oknie, kandydat do „mokrej roboty“, niby normalna gęba, ale coś w nim takiego jest, że odrazu poznasz — pan Wiechetko podciągnął nogawek, opinały się na kolanach — kazać ich usunąć posterunkowemu, gotowa awantura, niechby już administrator prędzej wrócił.

W izbie było cicho i za oknem także, zgrzytał tylko Pawełek palcem po swoim wyszczerbionym czerwonym grzebyku.

— Po brudach trzeba codzień się kąpać, dja-

bli wiedzą, co człowieka oblezie po takiej wizycie. A nie można z nimi za ostro, nie denerwuj się, bądź taktowny, bo w razie czego jeszcze dyscyplinarkę wlepią, zawsze lepsze to choćby niż jeżdżenie po wsiach, tam już całkiem zezwierzęcieli — pan Wiechetko dobył z teki plikę nakazów egzekucyjnych, patrzył w papiery, nie czytając — nareszcie.

Za dwoma tragarzami, przesiąkniętymi twar-dym i przenikliwym zapachem rogóz, wrócił z odstawionemi łokciami Rubin:

— Wynieście, panowie, wszystkie rzeczy na podwórko, ale szybko!

Jeden tragarz niski, w umączonej bluzie, przepasany sznurem, zwinął Pawełkowy siennik w wielką rolę; drugi, jednooki, w brązowym swetrze wypalonym pod pachami na blado-zielono, złapał za siennik Kuropatwów, wywrócił im butem menażkę z resztką fusów po kawie — Kuropatwowa westchnęła ciężko — złożył go we dwoje i do drzwi. Kazik Uliczny stanął na drodze, jednooki zepchnął go ramieniem, wtarła się między nich Lodzia.

— Puścieżeż, ludzie!

Z za okna publika przechodzi naraz do sieni. Tygielszajn i Fiut zapychają sobą drzwi. Tragarze stają z siennikami. Na rozkaz komornika posterunkowy zsuwa Pawełka z okna.

— Przez okno wyrzucić! — woła Rubin. Grunt to szybka decyzja, Wiechetko ma łeb!

Siejąc kurzem, w nosie kręci od suchosłomia-

nych paprochów, śmigają niezdarnie sienniki przez okno, rozwijając się w locie same. Kurz za oknem staje słupem. Pod akacją, której gałęzie włożą prawie do kuchni, zbierają się ciekawki. Dzieciarnia z całego podwórka, Kukawcowa, krowiarz Raptus, handlarz starzyzna z obwisłym wymieniem worka. Dzieciarnia rozsiadła się z wrzawą na siennikach, wybijając z nich trzepotem nóg i zadków resztkę kurzu, słomy nie widać, bo rozpory sienników zaszyte; blacharz Fajbuś zostawił sklepik pod opieką chłopaka; Urbańska, żona posługacza ze szpitala miejskiego; zwłókł się z łóżka pejsaty suchotnik, mąż sklepikarki Ruchli, w nieznoszonej kapocie, z podkowami cienia na żółtej twarzy; warzywnik Kula z Kwaśnej 24.

Na ławeczce pod akacją zgarbił się ściągnięty przez Sałamatę z sekcji bezrobotnych przy pepesowskiej dzielnicy szwejsownik Dygas z pod 18-ego. Mały Urbański wcisnął się między niego i Kowalskiego - „Febrę“, spinacza z węglowej stacji, nieustannie trzęsącego głową, jakby wciąż się dziwił, że wyszedł tylko trochę pognieciony ze zderzenia wagonów. Do „Febrzy“ przycisnął się drugi Kowalski — „Kwacz“, lakiernik z Budowy Parowozów, w czarnobiałopasiastym szaliku, nakreconym na same wąsy.

Miętko klapło na rękaw palto Pawełka, końska derka zaświeciła dziurami przez okno i rozłożyła się koło palta.

Jednooki tragarz, wychylając się przez para-

pet, stawiał garnki pod oknem. Blaszana miska brzęknęła o mur, potem o garnki i wywróciła się.

— Statki tłuką! — oburzyła się Kukawcowa.

Mały Urbański nachylił się nad paltem Pawełka, złożył je napół, na czworo i wrzucił zpowrotem do mieszkania. Zakiwał się chwilę na piętach wytartych tenisowych pantofli i zawinął za plecy siedzących na ławeczce.

Duszac palto za łysy kołnierz, krzyczał Rubin:

— Kto to wrzucił?

Pod akacją, założywszy nogę na nogę, uciał Kwacz, zsunąwszy szalik z wąsów:

— Ja! A bo co?

Palto klapło znów na ziemię.

— Ja cię nauczę! Poszoł z mojego podwórka!

— Słyszysz, Antek? — drygnął ramieniem Kwacz do Febry.

— To warjat jest — odpowiedział — przecież to widać, spójrz mu na mordę.

— Panie posterunkowy — odwrócił się administrator do kuchni — tu jakieś ciemne typy.

— Rozejść się! — rzucił za siebie Kwacz — nie przeszkadzać!

Szwejsownik uniósł się w ciężkich kolanach i przechylił do kuchni:

— A idźcież wszyscy do ciężkiej najjaśniejszej cholery!

— Feliks, wyrzucie ich w tej chwili! Słyszycie?

Dozorca, wypinając łatę na spodniach, wyłazł niechętnie przez okno. Nadstawił rękę miśeczka:

— Idźcie, no, proszę was, idźcie, idźcie już.

Kowalscy wstali i weszli do sieni. Szwejsownik i mały Urbański za nimi.

Po izbie otłukiwało się echo, skrzynki stuknęły o kamienie pod murem. Komornik siedział na jedynym spręcie, ławce, stołek wyjechał za skrzynką; ludzie, ocienieni zielono akacją, stali splotem nieruchomym w nogach, chwiejnym w ramionach, w przechyleniach piersi i głów. Kowalscy zgadywali się naboku z Ulicznym.

— Opieczętować? — spojrzał komornik na Rubina, kiedy ławka zrobiła stójkę za oknem.

— Proszę się usunąć z pomieszkania!

Jak na znak Skrzypkowa zwała się z pośród sąsiadów krzyżem na podłogę, nie powoli, na kolana i ręce, ale odrazu rąbnęła całą sobą o deski.

— Nie pójdę! Zabijcie mnie, nie pójdę! — tarzała głową po deskach. Krzyk odbijał się od zapajęczynionych kątów, śmigał naskos po izbie, dzwonił w uszach. Małe Skrzypki, choć przyzwyczajone do płaczów i krzyku matki, oblaży ją z bekiem.

Panu Wiechetce krzyk niesmakiem uderzył w dołek, skinał na policjanta — wyprowadzić kobietę.

Granatowy schylił się nad Skrzypkową, wziął

za kościste ramię, ale poderwana jednym tarza-
ła drugim po podłodze, szukając oparcia.

— Nie pójde, nie pójde, zabijcie mnie, nie
pójde!

Skrzypek wyszedł wolno ode drzwi i piersią
uderzył na rękę policjanta. Ten puścił kobietę
i Skrzypek położył się obok żony.

— Moi kochani — perswadował pan Wie-
chetko z teką opartą kantem o kuchenkę — nie
róbcie awantur, bo to przecie wyrok sądu.

— Tak, sądu i Rubina — odezwał się Leon
z za pleców.

Rubin szarpnął się: — panie komorniku, tu
szkoda każdej chwili.

— Czasu panu szkoda, tylko nie ludzi —
obruszyła się Pałczyńska, sama miała niezapła-
cone komorne od maja.

Tragarze podeszli do administratora:

— Panie, płacić, nam się spieszy.

Wydzwonił im dwa złote pięćdziesięciogro-
szówkami na szarą, jak spleśniała szufla, dłoń
krzywego. Dłoń się nie uchyliła.

— Mało.

— Co za mało? Przecie to nie była żadna
robota.

— Mało, panie, jeszcze dwa złote!

Dorzucił pięćdziesięciogroszówkę.

— Patrzcie na Rubina, jeszcze się łobuz tar-
guje — westchnęła z podziwem Sałamatowa.
Dorzucił resztę.

Tragarze zostali w kuchni, wepchnęli się mię-

dzy sąsiadów. Skrzypkowie leżeli między ma-
łemi, jak jedyny sprzęt w mieszkaniu.

Idąc wezwać pomoc z komisarjatu, policjant
obszedł Skrzypków dokoła, odymając wargi,
naparł na ludzi pode drzwiami, przepuścili go.
Kowalscy wyszli za nim, Leon, szwejsownik,
Sałamata, Fiut, Uliczny, jakieś chłopaki z ulicy.

— W restauracji jest telefon — huknął
administrator.

Policjanta plecy nakryły się bramą, jego
eskorta zawróciła pod okno. Chłopak, osiem-
nastolatek z zajęczą wargą, pochylił się nad
rzuconymi rzeczami, jakby do wody skakał,
niezdecydowanie przechylił mostem ławkę na
parapet, Uliczny pchnął go razem z ławką.
Z łoskotem wpadła ławka do kuchni.

— Ooo — westchnęło podwórze.

Łapali już rzeczy bezkolei i walili do środka.

Rubin usiłował je odrzucać. Siennik małych
Skrzypków — poznać go było odrazu, bo środek
miał pofarbowany, małe podlewały go nocami
— zwałił się administratorowi na głowę. Rubin
otrząsnął się przed nim, jak pies po kąpieli,
siennik nakrył Skrzypków. Pawełek ściągnął go
i wrzucił do pokoju. Wleciało nietoperzem tyse
palto Pawełka, za nim końska derka.

Krzywy tragarz, objawszy umęczonego za
szyję, z satysfakcją obserwował: czysta robota.
Jak na akord! — A kiedy Lodzia pociągnęła za
derkę i po podłodze ją do pokoju, złapali traga-
rze za siennik, wymachem rąk puścili go, aż ję-

knęła ściana. Pod prostym kątem sienniki wędrowały z okna do pokoju, w rękach tragarzy łamiąc kierunek na Skrzypkach. Nie zasłaniali się nawet, tylko małe, ubrudzone kurzem, z zamkniętymi oczyma pouciekały. Pod ścianą pokoju rozłożyła się głupia kupa gratów, jak przedtem na podwórku, tylko że na podwórzu wszertz, tu jedno na drugim.

Komornik z Rubinem, odparci w kąt, czekali, Wiechetko z przekąsem: przecie skończy się awantura, później, ale skończy, i szukał godziny na przegubie ręki; Rubin, napięty, ścisnął w kieszeni marynarki bezużyteczny brauning, przełożył go cichcem z tylnej kieszeni spodni.

Nad Skrzypkiem przykucnął Uliczny.

— Masz klucz od pokoju?

— Żona ma.

— Daj mi go pani, żeby nie było widać — mruknął jej Uliczny we włosy. Usiadł przy Skrzypkach, jakby razem z nimi miał żydowską pokutę odprawiać. Pod oczyma komornika i administratora nakrył dłonią klucze na sznurku uwiazane, kiedy bez brzęku wysunęły się z fartucha.

Ostatnie garnki i menażka Kuropatwów poleciały na spiętrzenie sienników. Leon zamknął drzwi od izby, odrazu echo przygłuchło.

Uliczny wyprostował się, przy leżących Skrzypkach był jeszcze dłuższy. Nos spocony błyszczał mu nad ryżą czapierzą wąsów. Leonowi wetknął klucze, półgłosem:

— Ja ich zagadam, ty drzwi od pokoju na dwa spusty.

Komornik Wiechetko z zaciekawieniem przyjrzał mu się.

— Pan czego chce?

— Dajcie panowie spokój tym Skrzypkom — pokazał mu powalone ciała, koszula Skrzypkowi wysunęła się ze spodni pęcherzem — przecie to gorzej niżby tramwaj przejechał na ulicy.

— Co ja mogę poradzić? — rozstawił komornik mankiety — żeby to ode mnie zależało — — Zgrzytnął klucz i urwał. Nie ten.

— Panie Rubin, daj pan życie tym ludziom.

Administrator udał że nie słyszy. Zwinął mięso warg w rurkę i pogwizdywał.

Klucz tyknął i obrócił się. Jeszcze się obrócił.

— Mówią do pana, a pan jak bałwan stoisz — przykręcił Uliczny na zakończenie.

— Idź pan na zbity łeb, nie masz pan nic tu do gadania — odpowiedział Rubin przed siebie — ja też jestem urzędnik, ja też nie dla siebie, do gospodarza idźcie prosić — płaczliwił się.

— Ano, a tymczasem rzeczy na dwór i adju fruziu? Co? Cwaniak z pana, panie Rubin! Albo gospodarz powie, że to nie on winien, tylko pan zmusił go do eksmisji. Obydwa jesteście ot takie twarde — podsunął mu pięść pod nos — łajdaki.

Rubinowi mokrym zgryzem zaświeciły zęby.

Na podwórzu krzyknęła kobieta:

— Dy policaj gajt!

Rubinowi wróciło samopoczucie, Uliczny wtarł się między sąsiadów.

— Przepuścić!

Weszło trzech policjantów, sekcyjny i dwóch posterunkowych.

Jak tragarze sienniki, poderwali posterunkowi Skrzypków; leżący opierali się, zwisając bezwładnym ciężarem. Skrzypek, uderzony kolaniem w pierś, zachrypiął kaszlem.

— Nie bić! — zapłakała Sałamatowa.

— Nie bić! Nie bić! Nie bić!!

Wrzask nierówno pękał, jak łamane na kolanie kije, krzyczało podwórze, nie widząc, jeszcze głośniej.

Skrzypkami, uchwyconymi za plecy, wypchnęli posterunkowi sąsiadów do sieni. Na podwórzu wrzask przelatywał płaczem kobiet i przekleństwami. Zadzwoniły wszystkimi szybami okna skrzypkowej kuchni. Gwałtowny przeciąg bluznął ludźmi z sieni.

Dokoła Skrzypków zagotowało się. W napiętości, twarde jak krwotok z arterji, oburzeniu Skrzypkowa brzęczała przerwany dźwięk:

— Nie pójde, zabijcie mnie, nie pójde!

Sałamatowa i Zośka wzięły ją pod ręce.

W ramie sieni posterunkowy stanął jak do fotografii, błydy blondyn z wąsikami:

— Gospodarz mieszkania gdzie jest?

— Ooo, przedtem wyrzucają, a potem pyta się!

— Nie trza było wyrzucać!

Ale policjant rozpoznał Skrzypka po braku marynarki. Między kobietami do niego.

— Klucze od pokoju gdzie są?

Z czołem dogóry, porwanem w zmarszczki, z nagłą ulgą po zmęczeniu podniósł przed siebie ręce:

— Nie mam!

— Oho-ho-ho — — hohoho, oho!

— Dozorca! — uderzył posterunkowy po wrzawie.

Groch się wysupłał z tłumu.

— Ślusarza w tej chwili zawołać!

W cieniu akacji, rdzewiejącej już jesienią, widzą z podwórza za brudnymi szybami jasną marynarkę komornika i wypukłą pierś Rubina — jak w kadzi zapleśniałej wody — pochylające się do siebie i naodsieb, pokazuje na ławeczkę pytającą dłoń sekcyjnego, rękaw jest ciemny, niewidoczny.

Ślusarza za Grochem, z pękiem wytrychów na drucianej nawlecze, zagarnął szeroko w sień posterunkowy.

W zielonej szybie zabielały karki, wąski komornika, szeroki Rubina i ostro kołnierzem odcięty sekcyjnego. Przesunęły się. Kuchnię zaciągnęło brudnym mułem pustki. Karki wypłynęły w izbę.

Pod tłumikiem, krótkim stęknieniem powi-

tało podwórze łysoszyje palto Pawełka, po raz trzeci eksmitowane od Skrzypków. Siennik Pawełka, siennik Kuropatwów. Na różowo i fioletowo nocami podlewany siennik małych Skrzypków.

Kazik Uliczny i mały Urbański zasłonili pani Brodowej widok. Krzyczała, że to ordynarne, wkońcu musiała się ruszyć, wyszła na podwórze i stanęła za Sobotką.

Groch powynosił skrzynki i garnki.

Kobiety posadziły Skrzypkową na siennikach.

Zapaliła się pod pałeczką komornikowskiego laku świeca w ręku administratora. Pełgała na wietrzyku blado-żółtym obłożonym językiem światła, lak smarował się czerwonym tłuszczem na podwójnie przyciśniętym do odrzwi sznurku. Klasnęła przygnieciona pieczęć.

Ślusarz przemknął się do bramy. Też przyjemności.

Nie dochodząc, kto wywoływał burdy na podwórzu, ciężkim skrzypem butów odmaszerowali policjanci, papierosy zapalali po drodze. Za nimi komornik pomerdał teczką. Rubin brocił tyłów.

Pierwszy gwizdnął Kazik Uliczny. Czterema palcami rozdarł sobie usta mały Urbański.

— Uuuu — zawrzało Rubinowi w plecach.

Uliczny przypomniał sobie dzieciństwo, wsadził palce w zęby, odciągnął naboki wargi, gwizdnął, syknęło tylko, poprawił, palce były twarde, jak kolankowate trzciny, zaświdrował

gwizd na alarm. Mężczyźni, nawet solidny Leon, ku przerażeniu rozciamanych oczu szefowej, gwizdali aż do pustki pod żebrami, z przerwą na złapanie tchu, i dalej, świdrem w uszy, z nadętymi żyłami na gardle i skroniach. Skrzypiało aż w krtaniach, na pośpiech, zanim Rubin nie ujdzie, kobiety darły się bez słów nad Skrzypkową.

Ledwo Rubin skręcił ku frontowej sieni, syrena parowa z fabryki kotłów wysokim zrywem pokryła gwizd lokatorski i wysadzone z okien głowy, wyla, na kawały drąc wrzesień spokojny nad dachami dzielnicy.

Rubina już nie było, kobiety odurzone własnym wybuchem poglądały po sobie, a mężczyźni gwizdali wciąż we frontową oficynę, we wściekłość aż do dudnienia w uszach, w gwizd syreny z fabryki kotłów.

Urwała. Spadając napięciem płuc, urwali. Daleko echem odpowiedziała fabryka kabli elektrycznych. Za nią huta szklana „Idalja” i najcieńszym korkociągiem zakończyła przedziałnia „Rohm i synowie”.

Podwórze zwarzyło się, rozcierały się grupy, jeszcze kupili się ludzie przy Skrzypkach, Kuropatwach.

Obiadu niema już gdzie zgotować — tępo obracała Skrzypkowa karkiem. I krzyk sąsiedzki nie pomógł, wyrzucono graty na amen. Ten sam szary pogryziony liszajami otwartych cegieł mur, podłóżka sieni, złamana schodami

wdół do piwnicy i schodami na piętro, obluzowane drzwi do sieni; kiedyś podwórzowy kuglarz zdjął połówkę z zawiasów, ustawił ją sobie na zębach, mówili wszyscy, że ma wprawioną żelazną szczękę, bo inaczej zęby wyłamałby przecież sobie, i chodził, kręcąc krzyżem, z temi drzwiami na zadartej dogóry głowie; trzy zardzewiałe, jak czekoladą polane, pręty piwnicznego okienka, w piwnicy skład był żelaznego szmelcu, do którego nikt nie zaglądał.

Okoliczne domy zwiedziały się o eksmisji. Przychodzili aż z rogu Węglowej i Źródlanej popatrzeć. Nadstawiali współczująco ucha, pokręcili się koło brudno-płaskiego zwału gratów i poszli. Podwórze zcodzienniało, wyschło, powróciło do swoich zajęć. Kaźmierz powlókł się za Walasem, wymyślającym, że musiał dla jego, tragarza, przyjemności skład zamknąć:

— a może klient jaki przyszedł i stratę mam mieć dlatego, że ciebie z mieszkania wyrzucają?

Leon wrócił do fryzjerni, zgóry wiedział, co szefowa nagada na niego Brodowi: że zostawił tylko chłopaka w zakładzie, że chłopak umie tylko rujnować majątek, że takiego fryzjera jak Leon wyrzucić to mało, że... Skrobie takie gadanie stępioną brzytwą. — A naogół udało się!

Delegaci — szkoda, Kopersztyka nie było — zabrali zamiast niego Sałamatę, naradę urządzili u Fiuta. Stopniowo jego mieszkanie zrobiło się oficjalne, lokatorzy nie szukali delegatów po

całym domu, wiedzieli, gdzie ich zastać. Fiutowa z początku boczyła się na gości, że śmieją, potem spodobało się jej, że męża szanują, sama pytała o szczegóły.

Pawełek poszedł na miasto ze swoim handelem, półtuzinem grzebyków w tekturowych pochewkach, zapowiedział powrót o zmierzchu. Skrzypkowie i Kuropatwa (Kuropatwowa poszła na Źródlaną dopominać się o złotówkę za sprzątanie, już tydzień byli jej winni u wojażera i nic) — łazili pod akacją otepiali, jak nad głębokim dołem, źle stąpniesz i na łeb zlecisz w rozmięktą glinę. Mieszkanie, lakiem zalepione, skreśliło się w węzeł: wrócić! Aby w czterech ścianach, aby nie pod niebem, aby nie pod wiatrem, aby nie pod deszczem. W skrzyni, ciemnej skrzyni się zamknąć, czuć ciasnotę i ludzki zaduch. Słaniali się, niemowy, wzdłuż rynsztoka, wzdłuż muru opieczętowanego mieszkania. Rynsztokiem popłynęła czarno-niebieska woda, krawiec Barwiarz na granatowo farbował dla Łodzi oddaną do przeróbki czerwona jedwabną sukienkę młodszej Fojstygierówny — Barwiarz chlusnął teraz całą balją i woda wzniosła się szarą pianą aż po brzeg, wypukła jak mleczna pierś potoczyła się do bramy, za nią pobiegły małe Skrzyпки, najmłodszy czteroletni rozgniół błonę ciemnej piany i ufarbował sobie nogi na niebiesko do pól goleni.

Z kuchni restauracji okrzyknęła Skrzypkowa kucharka Kukawcowa:

— Przynieś pani garnek, stary kazał was nakarmić.

Efekt restauratora właściwie chybił, widzów już nie było na podwórku. Z emalowanego na czerwono garnka lała Kukawcowa Skrzypkowej wszystkie resztki do żelaznego, podstawionego ścięgniętemi rękoma za oba ucha. Chlapały omazane żółto kartofle, kości porośnięte przy końcach mięsem, polepiona burym sosem fasola, żylaste kawałki befszytków, pozieniała kostka marchwi. Żelazny garnek zappełnił się breją do trzęsącej się krawędzi. — Skrzypek! — zawołała zaciśniętą krtanią, nie po imieniu, Kuropatwa miał tak samo na imię Jan — drugi garnek! — ale Kuropatwowa nadbiegła już z menażką. Ostatki resztek chlupnęły do menażki. — Najgęstsze — pożałowała Skrzypkowa. Za kucharką stanął, przyglądając się kobiecie, Sobotka. Po żebracku pociągnęła się Kuropatwowa pocałować w rękę za litościwe serce. Do rąk i tak było za daleko, ale Sobotka założyła je za siebie.

— Możecie, kobiety, jutro przyjść także, kucharka wam da, co będzie —

„Kobiety“ — przygniotło Skrzypkową; ją przecie tylko wołali, nie starą jędzę Kuropatwową, ona dzieci małych nie ma, już się wspólniczka zrobiła. Gamoń z Janka, jak się rzadko trafi. Pełną menażkę zabrała.

Pocieszyła się, że takich menażek do garnka wejdzie z pięć. Ustawiła go na ławeczce, dopie-

ro zauważyła — zimne. Kuropatwowie mlaskali zgięci na progu sieni nad menażką. Zośki Ulicznej w domu niema. Iść do knajpy poprosić zagrzać — niedobrze, niedobrze naprzykrzać się. Poszłaby do Fiutowej, tam delegaci siedzą, Fiutową zęby bołą, zwymyśla jeszcze, taka ważna.

Zagrzała w kuchni u Koperszytków, swoje wiaderko z węglem przyniosła. Stara Koperszytkowa, bezzębna, sucha, w spłowiałej pikowanej, marchwiowego koloru kacabajce na wacie — nosiła ją przez cały rok, nie zdejmowała nawet latem, marzła, zimą miała jeszcze do kompletu watowane gacie — nie pozwoliła jej węgla dołożyć, dodała nawet ćwiartkę chleba.

Kiedy żelazny garnek ustawiony na środku siennika — Skrzypek poukładał sienniki jeden na drugim, zrobiło się dość wysokie posłanie — pod czerpnięciami łyżek stękał, a stukwały o kamienie kości ogryzione doszczętu, Kuropatwowie przy wyskrobanej do blasku menażce, medytowali nad ludzką podłóścią; Kuropatwowej odbijało się, zęgnęła każde beknięcie pośpiesznym krzyżem palców i mruzczała do starego: — podłe ludzie są, tyle dostała, podzielić się nie chce — i wysadzanymi czkawką oczami boczyła się na małych Skrzypków, przypiętych do garnka klęcząco lub z podwiniętymi nogami.

Słońce poszło bokiem, pierzasto rozłożył się na Skrzypkach cień akacji, nagrzone powietrze przelewało się między palcami, złapać się za tę

pogodę, jak za uchwyt tramwaju, i trzymać ją, zatrzymać, niech się nie zmienia, nie ucieka razem z sytym żołądkiem.

Uliczny z Zośką poszli nagórę do siebie, Kuropatwowie ścisnęli się na progu, robiąc przejście. Zostało w przelocie: — a ich wtedy posłać do Rubina, pomyśli — —

Kogo: ich? Pełny oddawna niejedzonego ciężkiego tłuszczu żołądek leniwo trzymał Skrzypka. I tak sami powiedzą. Małe się rozlaży, Skrzypkowa rozklapłemi pantoflami zaplakała po kamieniach pod kran krowiarni wyszorować garnek. W restauracyjnej kuchni głośno rozmawiają. Obrócił się. W ciemnej kuchni bieleje bokiem wielki policzek, krótka, ciepła szyja i duża pierś, takie lubią goście, i nad karbami włosów błyszczy jak rozpryskana woda wysoki grzebień. Restauratorka podrzuca piersią, szklanemi blaskami grzebienia:

— największe nieszczęście dla całego fachu — tylko obiady domowe — —

Skrzypek marszczy nos, usta mu się otwierają, żeby lepiej słyszeć.

— — byle łachudra, mężowi pensję obetną, odrazu do cudzego fachu się bierze, obiady w domu wydaje. Niech Kukawcowa powie, czy to można konkurencję z taką łachudrą wytrzymać? Patentu nie płaci, podatków nie płaci, złapie sobie trzech, czterech stołowników, już może sobie wyżyć, żarcie ją nic nie kosztuje!

— mądra — przymyka Skrzypek usta, ale otwierają się same.

— Jak bieda przygniecie — dochodzi głuszej, rozmazuje się odpowiedź — coby pani sama, taką paniusią będący, zrobiła? — —

— ano tak, coby zrobiła? — zaciekawia się Skrzypek.

— Jakto co? Na maszyniebym bieliznę szyła, za pannębym do dzieci poszła, w sklepie na ekspedjentkę podjęłabym się — grzebień sieje błyszczem, Skrzypek mruczy: — mojej nie wzięliby.

Brzękiem pokryw nakrył się głos kucharki.

— A obiadówby pani nie wydawała?

Z podrzutem wyrzuszonych piersi, białej twarzy na krótkiej szyi wylatuje wgórę i gaśnie szlifem szkiełek szyldkretowy grzebień. W krótkim rękawku białe szerokie ramię restauratorki potrząsa zmarszczkami Skrzypka, wstała, świeci lakierowany, jak naoliwiony, pasek na szerokim, ledwo rękami obejmiesz, obwodzie bioder.

— Niech mnie panbóg pokara, niech mnie święta ziemia nie poniesie, niech rozgrzeszenia przy spowiedzi nie dostanę — nie wydawałabym obiadów. Ja tam konkurencji restauratorowi robić nie będę!

— A szycie bielizny to nie konkurencja?

— mądra kucharka — przyznał Skrzypek.

— Jak żyję, to jeszcze takiej głupiej kobiety nie widziałam!

— oho, już baby zaczynają —

— Kiedym głupia, to niech pani z głupią nie rozmawia — trzaskają złością pokrywę.

Kawałem ciepłego ciała w dekolcie, karkiem w dwie miękkie szerokie fałdy restauratorka przesunęła się w bok. Pokrywom odrzasnęły drzwi.

Zmarszczki wróciły w swoje szyny, strużkę śliny, ściekającej z ust, Skrzypek wessał zpowrotem, odwrócił się na siennikach, wygniótł sobą wygodniejszy dołek w starłej na chudą sieczkę słomie. Zdrzemnął się. Drzemiał najedzeni Kuropatwowie na kamiennym progu sieni.

Wolnym, ciężejącym w letnia czerwień, w jeszcze ciepłą żółć i chłodny wodnisty fiolet zachodu, łukiem przeniosło się słońce z nad poprzecznej na dach prawej oficyny. Zmierzchy ściągają na miasto, jak do obory krowy z pastwiska. Z krowiarni Raptusa wypłoszyła je lartarka, ruch przy przedwieczornym udoju. Trokskliwsze gospodynie każą mleka udoić przy sobie, żeby widzieć, że niefałszowane, że krowiarz nie miesza go z kredą i wodą w bańce. Wachają pienista biel w dzbankach — czuć ją jeszcze krową. Dobrze mleko. Droższe o pięć groszy na litrze. Krowiarnia pełna jest olbrzymich cieniów, wymachów krowich ogonów, spędzających senne już muchy, ciurkania wygniatanego z wymion mleka, dzwonienia groszy z dłoni do dłoni. Ruch przedwieczorny nie trwa długo,

później tylko pojedyncze dzbanki, bez niecierpliwego przestępywania z nogi na nogę i syków, popędzających krowiarza. Mańka rozniesie jeszcze kilkanaście litrów po gospodach i zrobi się noc, krowy poukładają się na ściółce, łacie kraso i siwo, rozpartobrzuche, beznogie, rogate bryły.

Ze zmierzchem zebrali się znów sąsiedzi przy Skrzypkach, wyszły nawet czarne surki.

Przyczłapali na umówioną godzinę obydwaj Kowalscy, Kwacz i Febra, przyszedł towarzysz Sałamaty z dzielnicy, szwejsownik Dygas.

Delegaci zagarnęli Leona, obydwóch Kowalskich, Dygasa, odsunęli się nabok, biorąc między siebie małego Urbańskiego i Ulicznego Kazika.

— Za zerwanie pieczęci pachnie kryminał, rozumiecie chłopaki? — upominał Uliczny.

Mały Urbański zrobił obojętną minę. Kazik bosą piętą zaszurał po kamieniach.

— My wszyscy pójdziem do administratora do mieszkania. A wy uważajcie. Ani z miejsca się ruszyć, dopóki Rubin nie stanie w oknie.

— Źle im pan tłumaczy — przerwał Fiut i odwrócił chłopaków za ramiona do siebie — dopiero jak administrator odejdzie od okna, dajcie odrazu znak na ławkę Dygasowi i Kowalskim.

— Któremu Kowalskiemu? — spytał Kazik — Febrze?

— Ech, ty łachadojdo — wziął z wyrzutem Uliczny syna za ucho — słyszałeś, że obydwom.

— I co dalej? — niecierpliwił się mały Urbański.

— Oni pieczęcie zerwą — tłumaczył Uliczny — a wy im macie pomóc w mig wnieść rzeczy do środka, oni już klucz mają. Rzeczy wnieść i wynieść się, żeby was na podwórzu nie było. Żeby się nazywało w razie czego, żeście to nie wy pomagali. A przysięgać będziecie mogli na co chcecie, żeście nie wy pieczęcie wyrwali, tylko kto inny. Febra wyrwie. — Febra, trzęsąc głową, jakby bezustannie potakiwał, spuścił dolną szczękę o poźółkłych zębach, pogroził chłopakom dygocącym palcem. — I zapomnieć od razu o wszystkim, ani pary z gęby: kto, co. Zrozumiano?

— Wielka sztuka — pokpiwał mały Urbański — jest o czym gadać. Zrobi się — i splunął na trzy metry.

— No, no, bez stawiania się, ancymony — przejechał mu twardo po nosie Leon, wziął obydwóch chłopców za nieostrzyżone karki i posadził siłą na skraju rynsztoka — tu macie siedzieć i uważać.

Tylko puścił ich, wyskoczyli mu z pod ręki w bok.

— Sam się nie stawiaj. Sami dopilnujem. — Delegaci rojem pociągnęli do bramy. Leon został.

Na frontowych schodach spojrzeli po sobie. —

No! — Tygielszajn dzwoni. Jasno świeci żarówka w drucianej koszulce, pozwijana w strąki olejna farba na ścianach czernieje brzegami zwijek, różnokolorowe szybki w oknie są czarne.

Na widok delegatów w przedpokoju Rubin ujął w kieszeni nagrzaną kolbę brauninga, wielki palec na bezpieczniku. Chciał ich od razu wyprawić, ale Fiut przysunął się, łagodnie:

— Panie administratorze, jeszcze raz przychodzimy do pana z prośbą —

— Nie czas na prośby, za późno, już mieszkanie wynająłem też takiemu co potrzebuje. Dlaczego tamten ma być bez dachu? Niech pan mi powie, przecie pan jest człowiek poważny — głaskał Rubin.

— Tak, tak, tak — zabelkotał Fiut i złapał Rubina pod rękę. Administrator twardo wyszarpnął ją i odsunął się o krok, ale Fiut nie zraził się, wszedł rakiem do kuchni, wabiąc Rubina palcem. Za Rubinem wtoczyli się do kuchni delegaci. Olejno malowana do pół ściany przypomina administratorska kuchnia trochę szpitala garniturem białego sprzętu; na syku gazowej maszynki podskakują w otwartym wrzątku jajka, kożuszką pociągnięta kawa na drugim płomieniu. Służąca przycisnęła się do kredensika.

— Panie Rubin — namawia Fiut administratora — spójrz pan przez okno na tych ludzi. Choroba ich wyniszczy od nocowania na dwo-

rze, reumatyzm, dzieci małych czworo, widzi pan?

Rubin na odczepne wyjrzał przez okno.

Zdołu widać tylko czarną sylwetę z koroną żarówki na głowie. Kazik Uliczny uszczypnął Urbańskiego do krwi, wczepił mu się garścią wbok, aż mały Urbański się skręca i syczy — widzę, puść cholero — —

Na dole ciemno, jeszcze akacja rozlanym atramentem listowia nakrywa dobytek Skrzypków. Jak wybuch bomby błyska zapalona pod akacją zapalka. Zgasła, zostały w oczach na tle czerni tylko cztery męskie kolana, pociągnięte żółtem światłem. Rubin odwrócił się, zmrużywszy oczy, i kolana znikły.

Patrzyli w niego drewnianemi twarzami.

— Co panowie sobie myślicie?

a ja? — ubodło Łodzie.

— — dom to jest interes, a nie przytułek. Kto płaci, ten mieszka. A jak nie może płacić, to sąd i dowidzenia się z państwem. Sąd przyznał, sąd; sąd, prawo — ciał — prawo mówi, że niepłacący lokator to tak jak bankrut, on już nie jest kupiec.

Puścił w kieszeni brauning, który ciężko osiadł w kieszeni, napinając podszewkę, drewniane twarze były tylko drewniane.

— Niech każdy policzy, za ile miesięcy komornego gospodarzowi lokatorzy w tym domu są winni — wyciągnął palec w podwórze — w poprzecznej oficynie Klapka winna. W pra-

wej — — przysunął się do okna. Delegatom serce skoczyło i opadło. Rubin przechylił się krótko-wzrocznie nad podwórzem. Wdole, pod akacją kotłowało się.

Wielki zad Rubina w sztuczkowych, nieco błyszczących spodniach zawisł chwilę nieruchomo. Administrator odwrócił się, w namyśle pochylił głowę i wolno powiedział:

— Tam coś się dzieje —

Delegaci nie dziwili się.

Rubin położył się na parapecie, w oknie u Skrzypków mdło zapaliło się światło.

— Oni się wprowadzają! — krzyknął, aż zachrypiał mu w gardle. Skoczył do drzwi z odrzuconą jedną połą marynarki, drugą przytrzymał brauning. Koperszyk, Łodzia, Fiut — za nim. Uliczny rzucił w podwórze:

— Chłopcy, wiać!

Buty zgrzytały w sieni po sztucznym granicie schodów, Rubin zeskakiwał po trzy stopnie z wydobytym brauningiem. Zatupały po desce, kryjącej w bramie rynsztok.

Pod akacją było pusto. Naprzeciw Rubina szło, nie mógł odróżnić twarzy, kilku ludzi. Minęli go zgarbieni, dopiero dostrzegł podniesione kołnierze. Odwrócił się szybko — uciekali.

— Stój, bo strzelam!

Opuścił wyciągniętą broń. Między nim a uciekającymi stali Łodzia, Koperszyk, Fiut, Uliczny.

— Lepiej schować taką zabawkę. Można

jeszcze pójść do kryminału, jak wystrzeli — Fiut był zadyszany. I biegł ze schodów, i na wysokości piersi widział jeszcze brauning.

Delegaci ostentacyjnie wyszli na ulicę. Administrator zrozumiał odrazu: pokazują, że ich Skrzypek nie obchodzi, niby nic z tem wprowadzeniem do mieszkania nie mają wspólnego.

Kazał dozorczy zawołać Skrzypka. Nie chciał mieć świadków. Skrzypek, opuściwszy głowę, na znak Rubina wyszedł za nim do sieni na półpięterko.

Rubin zagrał szybko: — Ja was zostawię w mieszkaniu. Powiedzcie tylko, kto to urządził.

Skrzypek zpodłba skoczył spojrzeniem i uciekł.

Rubin stał nachylony nad nim: — No!

— Nie wiem. Obce jakieś ludzie.

— Ale kto ich sprowadził? — nacierał administrator.

— Nie wiem. Ja ich nie sprowadzałem — wykręcał się Skrzypek.

— Mówcie jak na sądzie. Wy w więzieniu za to zgnijecie, żebyście pamiętali. Prawdę mówcie — w mieszkaniu zostaniecie. Nikt nie słyży — niecierpliwił się Rubin. — Kto? Fiut?

Skrzypek zdecydował się. Administratorskie słowo mocne, powiedział: wyrzuci, wyrzucił. Powiedział: zostawi, chyba zostawi. — Fiut.

— Tylko Fiut?

— Nie.

— Uliczny?

— Tak.

— Chodźcie na chwilę do mojego mieszkania, podpiszecie tylko.

Skrzypek otrząsnął się: — ja niepiśmienny.

Na drugim piętrze huknęły drzwi. Rubin zawahał się, a Skrzypek odrazu wtył zwrot i nadół. — Cholera — usłyszał za sobą basem.

W bramie rozejrzał się szybko. Nikogo.

— Janek! wołanie Skrzypkowej z okna jakby mu naraz odetkało uszy.

VI.

Pedałówka pracuje gładko, podłoga drukarni drga tylko od naoliwionego dudnienia ciężkiej maszyny drukarskiej. Na czarny dysk pedałówki, spocony farbą, nabiegałyby wałki; nabrawszy czernidła, zbiegałyby wdół, smarując kliszę; ćwiartka papieru przytłoczona do kliszy przyciskiem, przycisk zwolniłby ćwiartkę, która trzeszcząc odklei się od kliszy, znów ćwierć-obrotu dysku, znów wałki wgórze i wdół, nałożona nowa ćwiartka, przycisk odpada na zawiasach, znów ćwierć-obrotu dysku, farba cienko tłusci go ze zbiornika — dobrzeby było.

Maszyna w sąsiedniej sali bębni walcami w podłogę, z pod osłoniętej żarówki stożek światła pada tylko na wałki, frygające po dysku pedałówki. Fiut na ręcznej prasie — na co przyszło po latach! — zabrał się do korektowych odbitek.

Obliczył: całe wezwanie zajmie ze dwadzieścia wierszy. Odbić dwudziestowierszową szpaltę tysiąc razy to interes dla trupa, trzebaby siedzieć całą noc, możeby nie starczyło nawet i nocy.

W drukarni stały dwa linotypy. Czynny był jeden, trząskając klawiszami twardym, nieprzerwanym stukotem, jak mokre gałęzie w wielkim ognisku. Zarządzającego nie było w drukarni, ale nie można przecie rozgrzać drugiego linotypu, a nuż kto wpadnie. Prosił Fiut kolegę, żeby mu ustąpił miejsca przy maszynie na parę minut. Nie zgodził się, sam odstukał mu tekst.

— Myślisz, żeś skończył? — roześmiał się Fiut, pochylony nad Żywną — jeszcze raz od początku.

Żywno zdziwił się, odlał mu jeszcze raz całość. Wysuwał już kartkę z tekstem z pod przytrzymywacza.

— Jeszcze raz od początku — przytrzymał go Fiut za ramię.

— Nie bądź warjatem — ale stukał.

Szufelka przy linotypie zapełniała się odlanymi wierszami.

Żywno już nie przerywał: — ile jeszcze razy? — spytał Fiuta z rezygnacją.

— Jeszcze dwa. Razem pięć. Przecież nie warto takiego głupstwa matrycować.

Przyszedł na chwilę maszynista od maszyny, zecer przerwał robotę przy pedałówce, kiedy Fiut sznurkiem ściągał studwudziestowierszową

szpaltę, szydłem koniec sznurka wcisnął w opłot na fest — poco ci to?

— Na gospodarza. Wiecie, w tym domu, gdzie ja mieszkam, z gospodarzem mamy urwanie głowy. Eksmituje ludzi jak psy, to jest jedno. A potem chcemy, żeby komorne do połowy obniżył, bo jak dalej tak pójdzie, wszystkich nas lokatorów — no, nie wszystkich, bogaci zostaną — na łeb powyrzuca. Bronimy się.

— Tą szpaltą?

— Zwyczajnie, mieliśmy porozlepieć i trochę ludziom na ulicy porozdawać kartek z protestem, takeśmy się z sąsiadami umówili, no i trzeba było tych kartek moc naprzepisywać, a charakter pisma mają moje sąsiady, powiadam wam, prawdziwy literacki, nic przeczytać nie można.

Roześmieli się.

— choć bezrobotny, pieska wasza nędza, ale zecer przecie, no nie? Weźmie się firmie trochę papieru do korekt i odbije paręset sztuk tego dobrego.

— A potem każdą szpaltę pokrajiesz na pięć kawałków czy jak? — spytał Żywno.

— Jakbyś zgadł.

Maszynista wrócił do maszyny, zecer do pedałówki, Żywno założył pod przytrzymywacz pierwszą stronę rękopisu na linotyp. Fiut, trzymając ostrożnie na przedramieniu ciężką szpaltę, aby nie spadła (trać czas na doprowadzenie „szpitala“ do porządku!) — do ręcznej prasy.

W rynience trochę farby drukarskiej, kwacz, którym rozsmarowuje się farbę po szpalcie, ułożonej na blacie prasy, jeden pasek papieru na szpalte, drugim nakrywa się go jeszcze, żeby nie zabrudzić odwrotu odbitki, bo filc, opinający ciężki wałek metalowy, tak nasiąkł farbą, że plami papier, ręce na czarno. Wałek chodzi po szynach, pociągając go do siebie szarpnięciem ramienia, odbitka gotowa, odepchnąć zpowrotem, można odbitkę wyjąć.

Fiut z uznaniem przechyla głowę: pięć sztuk na jednym. Tylko pokrajać na części, wyjdzie cacko. Zapomniał nawet o tem, co po drukarsku ładne, co brzydkie, boć przecie po rozcięciu każdy kawałek będzie miał inne marginesy, no, drukarska kaleka, żaden klientby takiej roboty zadarmo nie przyjął; dwa kawałki skrajne będą miały po trzy marginesy: po dwa boczne i jednym albo górnym, albo dolnym; a trzy środkowe — tylko dwa boczne marginesy. Zabawne, ale zato, co dużo filozofować, — peroruje Fiut sam do siebie — potrzebne. No i Żywno się postarał, błędów też parę wsadził. Pal djabli, nie warto poprawiać i tak wiadomo o co chodzi!

Fiut kładzie odbitkę na pace obok prasy, poklepuje zadrukowany papier jak konia po karku.

Walec prasy stuka krótko na szpalcie, odstuka krócej, wracając, odbitki układają się jedna na drugiej — zwykle nasadza się je na drut, ale tu szkoda dziurawić margines. Z braku

wprawy bolą ramiona i krzyż — co innego się dzieć przy linotypie, a i przy linotypie rozbolą kości po kilkomiesięcznej przerwie. Za przepierzeniem z kasztami ręcznego składu — ciemno, żarówka zboku daje złe światło, ale paczka odbitek brzęknie, walec gania po szpalcie jak na elektrycznym napędzie, próbuje ścigać się z maszyną, która odlicza swój czas szurgotem trybów i trzaskiem walców o formę, nie może nadążyć, bo trzeba odbitkę zdjąć, położyć świeży papier, nakryć go, ale uderzyć na szpalte i wrócić zdąży. Na cztery takty maszyny jedna odbitka ręczna. Fiut próbuje złapać na trzy, parę minut wytrzymuje tempo, ale dwa razy odbitka przesunęła się pod walcem, popsuła, strata, wrócił do czterech.

Cała drukarnia zagasła wokół astmy maszyny i głębokiego oddechu ręcznej prasy. Co dwudziestą odbitkę Fiut notował w pamięci. Dwadzieścia razy przeliczył swoich dziesięć palców. Czterysta odbitek. Dwa tysiące sztuk.

Ostatnie sto pięćdziesiąt odbitek nie poszło już tak gładko, maszyna stanęła, maszynista przy Fiucie benzyną odmywał sobie farbę z rąk, potem nudno mydlił dłonie, wkońcu włożył palto i zabrał się. Zecer od pedałówki skończył jeszcze wcześniej. Został tylko maszynkarz i Fiut. Linotyp nie daje takiego tempa, przerwa na puszczenie wiersza do odlewu niestale wypada, zależnie od tego, czy składacz odrazu przeczyta tekst, czy kombinuje, a przecie i w ciągu

samego wiersza robi przerwy czasem. A tu ręka przyzwyczaiła się szarpać walec za sytym głosem maszyny. Musiał Fiut sam dla siebie znaleźć miarę czasu. Gniótł walec już bez swojego rozpędu, samą tylko wolą. Chciał skończyć, choć robota była już tak nudna, jak babskie wyrzuty, nieprzerwanie powtarzające tę samą zardzewiałą pretensję. Myślał nawet przerwać na trzy-stu odbitkach, ale postanowił zrobić czterysta, zawział się i dogniótł ostatnią setkę z zaciętymi szczękami, spocony.

Paczka wyszła gruba, zawinał ją w arkusz makulatury, przewiązał elegancko sznurkiem. Żywnie rzucił dowidzenia przez salę, zgasił światło i bocznem wyjściem na ulicę. Księżycem wymiecione jezdnie, głuche chodniki, mocno po północy, nie chciał nawet sprawdzić godziny, miał pierś pustą i głowę pełną, jakby rozdętą. Kiedy został delegatem, wykoleił się i teraz pełną parą gonił po nowych szynach, które same kładły się pod koła.

Długo dzwonił do bramy. Zaspany Groch wziął dziesiątkę; Fiut nie zauważył nawet jego odejścia. Zimne, jasnoszaro-czarne od księżyca podwórze, okna, śpiące za twardymi powiekami szyb, znajoma poomacku poręcz, nocny zaduch mieszkalny, charkot Fiutowej. Zrzucił ubranie, łóżko było nagrzane, jak piach na słońcu. Księżycową poświatę zgasiła kołdra, naciągnięta po uszy. Sen strzelił Fiutem w ranek szary, w krzątanie kuchenną Fiutowej, w paczkę nakrzyż

przewiazaną szpagatem na stole, już widać Fiutowa ruszała ją, ciekawa. Z wieczornego postu kruczyło, przelewało w kiskach chęcią jedzenia. Ubierając się, włosy rozczochrane włożyły uparte w oczy, zawołał przez podwórze do okna naprzeciw:

— Panie Uliczny!

Wyjrzała Zośka w koszuli, szukała wołającego nadole, zwisły jej z koszuli nad okiennym blatem nagie, czarniawe przy sutkach, szerokie piersi. Zauważyła dopiero po chwili Fiuta, pogroziła mu, śmiejąc się, pięścią, drugą ręką koszulę podciągnęła pod brodę i wlewo, do łóżka. Dopiero wysadził głowę Uliczny.

— Chodź pan, chodź pan, coś pilnego — złapał Fiut ze stołu paczkę i pobujał nią. Przechodził podwórzem Salamata, bez czapki, szeroko rozstawiając nogi, z bochenkiem pod pachą i torbką papierową w rękę. Okrzyknięty, odpowiedział, że tylko zanieśie do domu, to przyjdzie, żona nie może chodzić, pięta się jej obiera, więc on za gospodynię.

Fiut popędził kobietę, łóżka same się w pośpiechu zasłasyły, Fiutowa spięła wargi:

— czego się spieszysz jak warjat?

ale wzbija poduszki, aż pierze z pękniętej wyspy polata po pokoju, trzeba wyspę zaszyć. Fiut chlapie się w kuchni pod zlewem, potem parzy się herbata i dławi niedożutymi kęsami, chce być wolny na przyjście Ulicznego. Ten do-

piero oczy otworzy na odbitki. Sałamata też. I reszta delegatów tak samo.

Zawołać Leona z Łodzią? Polał sam ambicję zimną wodą, niech ich Uliczny zawoła, już zwałtpił, czy Uliczny nie będzie sobie pokpiwał z przyjścia Sałamaty, że Fiut wszystkich lokatorów ściąga do siebie, żeby się przed nimi pochwalić.

Dojadał śniadania, kiedy zatupał rażno Sałamata. Z lekką niechęcią usadził go Fiut na krześle:

— czekamy na Ulicznego. Mam tu coś—uderzył lekko pięścią po paczce — do pokazania.

Oczy Sałamata ma jak kawałki miedzianego łomu, brązowe pod ciężką, prostą, łatwo się mrużącą powieką, z zieloną śniedzią blasku. Do wąskiej twarzy nie pasuje łysina, przerzucająca czoło aż za ciemie, do karku.

Opowiadał, jak to żona nadepnęła onegdaj na gwóźdź, no i nogę do łydki ma dziś jak bania. Nie chce wstać — mówił zakłopotany — powiada: boi się Kasy Chorych, bo jej nogę obetną.

— Kwaśne mleko przykładać, gorączkę wyciągnie — radziła Fiutowa.

— Gadaj pan z babami—obruszył się Fiut—zawołaj pan doktora z Kasy Chorych. Tak owak, niech ich grom z takim kasowem leczeniem spali, ale zawsze doktor.

— Doktory! — ironizuje Fiutowa — twarz mi spuchła, poszłam do Kasy, do dentysty, on

mi powiada (a ile się naczekałam): — radzę pani iść do prywatnego dentysty. Co? mówię — a zaco mój mąż składki płacił? — A on mi na to: ja mogę pani tylko ząb wyrwać, bo nam długo leczyć nie wolno pacjenta, taki przepis jest. Radzę, powiada, bo zęba szkoda. Doktory!

Z wejściem Ulicznego Fiut rozwiązał szpagat. Opakowanie tak przylgnęło do odbitek, że trzeba je szeleszczące prawie odrywać.

Ostrożnie oddzielił Fiut jedną odbitkę z paczki i podsunął ją sąsiadom. Przyklepali ją do ceraty, pokrywającej stół, czytają pięciokrotnie powtórzony tekst — do ostatniego wiersza, jakby to były nowe, nieczytane jeszcze, przez kogo obcego pisane zdania.

— Jesteś byczy chłop — ucisnął Uliczny Fiutowi rękę aż do bólu.

Fiut podrzucił głowę.

— Ano!

— By-czy chłop — potwierdził Sałamata.

Z pudełka po cygarach, wyklejonego czerwonym papierem glansowanym z symetrycznie wytłoczonymi podobiznami medali, w którym Fiutowa trzyma przybory do szycia, Fiut dobył nożyczek. Kraje odbitkę na pięć, układa wezwania jedno na drugim, nie układają się równo, ale to furda. Jest tylko jedna para nożyczek. Uliczny i Sałamata składają dokładnie odbitki na pięć i przecinają je nożem kuchennym.

Nakrajali już ze setkę. Uliczny proponuje:

— Zostawmy trochę i dla innych, niech też mają przyjemność!

Fiut niechętnie odłożył nożyczki.

— Racja. Niech chłopaki pokraja.

— To już później trochę, bo mój Kazik poszedł na Towarową węgiel zbierać. Urbańszczak tak samo. Słuchaj Fiut — na ty przeszedł Uliczny — Kopersztyka niema, Sałamatę weźmiesz zamiast niego, dziś Rapowicz napewno będzie na podwórzu. Weź listę lokatorską i do niego.

Aż do trzasku w kościach przeciąga się Sałamata i ziewa. Odziewnął mu Uliczny przez wąsy. Fiuta też zaraziło.

— On się nie zgodzi — mówi Sałamata ze zwilgotniałymi od ziewania kątami oczu.

— Chyba że nie — przystał Fiut.

— To co zrobimy?

— Narazie niby wyjście znalazło się — patrzy Fiut na Ulicznego, który obskubywał róg arkusza makulatury — radził mi jeden cwaniak, żeby gospodarzowi pieniądze pocztą przesłać, jakby nie chciał ich przyjąć — —

— Można i tak — przystał Uliczny. — Powiedźcie lepiej, co z frontem?

— Nic nie poradzim. Już i Fojstygier się wykręca. Wczoraj go spotkałem na ulicy. A Brod kombinuje, powiada: może podpiszę, ale mu z szpicbródki widać, że nie. Sobotka wogóle, sami wiecie. I sklepikarka nie chce, że niby mąż suchotnik, a ona ma wszystko na głowie. Tyle

tylko, że sama od siebie obiecała pomówić z gospodarzem.

Sałamata odął wargi:

— Co ona tam wygada. Nawet mówić z nim nie będzie, bo wie, co on jej powie. Zalewa zwyczajnie — —

Wystukując palcami po brązowej ceracie, drukowanej w zielone dębowe liście, Uliczny zastanawiał się:

— Ludzie jak ludzie. Jedni odrazu podpisują, których bieda zgniotła. Pokażcie jednego robotnika w całym domu, co nie podpisał. Każdy. I rzemieślnik tak samo. Ze wszystkich sklepów tylko blacharz podpisał. I drobny handlujący tak samo. Czarna Sura podpisała i Maciak podpisał. Kupieckie bractwo już o wiele gorsze: krowiarz, węglarz, restaurator. Zmówili się widać odrazu: albo wszyscy bez różnicy podpiszą, albo im głowy nie zawracać, a wiedzą świńskie łby, że Cuzamenbruch nie podpisze i Żołędziowski nie podpisze, ci to już najgorsi.

— To jest nasza wina — odpowiedział Sałamata, a powiedział „nasza“, jak „wasza“, tak przynajmniej zrozumiał Uliczny, a Fiuta aż pchnęło w piersi, uważał, że od początku samego robili jak mogli, nic do zarzucenia sobie nie miał, choćby ta poharatana kupa odbitek świadkiem — przekonywać nie umiemy. Żeby tak, no, jakby to powiedzieć — pogłaskał powietrze — spokojnie, naprawdę spokojnie im wytłumaczyć, a nie odrazu na łeb wsiadać z li-

stą i podpisami, trudno przewidzieć, możeby się zgodzili — mozolnie przypominał sobie wszystkie nauki, jak to należy taktycznie występować przeciw przedsiębiorcom, najsamprzód bez krzyku — a potem dopiero, dopiero potem pięścią w stół uderzyć — — a jeżeli się ścierwa nie zgodzą — —

Fiut ze złością szczepił szczęki:

— Myśmy łagodnie do nich mówili, jak do dzieci. Jak Koperszyk mówi: przez jedwabną chusteczkę, rozumiesz pan? Szkoda, żeś pan z nami nie chodził, inna byłaby rozmowa. Prawdziwie pepesowskie gadanie — prztyknął Sałamatę w jego godność członka pepesowskiej dzielnicy.

— Widzę, nie takie zadzierzyste, jak enperowskie — oddał Sałamata.

— Nie mam się czego wstydzić.

Uliczny szperał po kieszeniach, machorki oczywiście w kapciuchu ani śladu, sklapły trze się w palcach jak flak. Na słupku z fikusem pudełko napoczęte, sięgnął, nie wstając, i nie pytając o poczęstunek, zapalił.

— Ja polityk nie jestem — bulgotał Fiut — a o panu słyszałem, że koło polityków się kręcis, adwokaci, posłowie, wielcy działacze do was na dzielnicę z odczytami przychodzą, referatami. Aż dziw mnie bierze, jak od pana takie niepolityczne zarzuty słyszę. Cośmy mieli frontowi zadek lizać czy co. Nie rozumiem — —

„Polityk“ wziął Sałamatę za serce.

— Nie, przekreślił pan moje słowa — —

— Ja przekreśliłem? — oburzył się Fiut — słuchaj! — złapał Ulicznego za rękę — powiedz jako świadek.

Uliczny dziwił się, że wcześniej nie doszło do starcia:

— Zrozumiałem, że trzeba było lepiej prosić.

— Aha! — rozdziawił się triumfująco Fiut.

— I co pan na to?

Sałamata skruszał: — mozem się pomylił.

W płynne włókna dymu rzucił Uliczny:

— I co dalej?

Siedzieli bezradnie nad kupą odbitek.

— Bojkot — wahał się Sałamata.

Uliczny roześmiał się:

— Daj pan spokój, jak pan ich zbojkotujesz? Ręki nie będziesz pan im podawał? Czy jak? Kiedy oni i tak nie podają nam ręki. Przecie dlatego Fiut przygotował ten papier — uderzył pięścią po odbitkach. — Pytanie tylko, czy nie możnaby jeszcze jakiego sposobu wykombinować i tyle.

— Ja wam powiem — pochylił się Fiut półszeptem — klepsydrę wymalować na bramie, że Cuzamenbruch, Żołędziowski i reszta umarli jako sąsiedzi. Może zmiękną wtedy.

— Akurat, jeszcze bardziej się zatną — machnął ręką Uliczny — klepsydrę zrobić, czemu nie, ale z kamienicznikiem gadając, nie wspominać nawet o nich — to jego kompanja. Z nimi koniec. Ja rady nie widzę.

— Lokatorska solidarność — mruknął z goryczą Sałamata — bogaci sobie, a my cała reszta sobie.

— Nie martw się — klepał go Uliczny po ramieniu, wstając — nigdy nie było inaczej.

Wiatr przewiewał podwórzem zeschnięte liście, resztki słomy, feter ustępu. Akacje szeleściły papierowo, więdnąc. Usiedli na rapowiczowskiej ławeczce, czekając na Tygielszajna, Łodzię i kamienicznika. Pogoda złamała się w ciągu jednego dnia chłodem, przelotnym deszczem, niskiem, zachmurzonym niebem. W zabłoconych podartych kaloszach, w obmokłej czapce, z podniesionym wytartym kołnierzem, lejąc kałużami w listopad, szła ponurousta jesień.

Świeżo błyszczą guziki szarej w kolorowy rzucik jesionki, czarna wstążka jedwabiu się na siwym włochatym kapeluszu. Rapowicz ubierał się modnie i nie będzie się chyba przebierać, idąc na Kwaśną, tylko dlatego, że to się może nie podobać jego lokatorom, przeciwnie, gospodarz jest niejako szefem, a porządne ubranie — mundurem; brązowe getry smacznie oblegają gemzowy pantofel, i jedwabna chustka pod brodą. — Nie kupisz go — myśli Sałamata — i za tysiąc złotych.

— Panowie na mnie czekacie? — spytał Rapowicz z niepewnym uśmiechem.

— Jeszcze nie. Dopiero później — i zabrali się z ławeczki. Kamienicznik usiadł. Ściągnął

rękawiczki i oglądał sobie paznogie. Niecierpliwiał się, że administrator nie przychodzi, pozostawiając go na „pastwę losu“. Czuje się jak wódz przed rozpoczęciem bitwy — na wojnie nigdy nie był, bo za moskala wykupił go ojciec tysiącem pięćset rubli: biały bilet, ani później w wojsku nie służył, zato kiedy syn Michaś skończył wyższe studia handlowe i odbywał służbę wojskową w szkole podchorążych, przeżył Rapowicz swoją nieodbyłą wojskowość i dowódcowskich przechwałek Michasia starczyło mu za własne doświadczenie. Promieniste ciepło przebiegało po krzyżu, w dolnej części brzucha, nito nerwowe szusy, nito parcie na pęcherz. Rapowicz spodziewał się awantury i oczekiwanie siało mu poprzez żebra tępy ucisk pod dołek w stronę powiększonej wątroby. Ale to nie powód do nowego podniecania się.

Przyglądając włosy, źle się trzymają świeżo po myciu, gdy ich nie zmoczyć, wyszła z sieni Łódzia z Tygielszajnem, przyłączają się do delegacji. Nie czekali na przyjście Rubina, nawet lepiej że go niema, Rapowicz, twierdzi Uliczny, jest głupszy, przynajmniej do ściany przynieść go łatwiej. Do jakiej ściany? Rapowicz siedzi plecami do okien Skrzypków.

Fiut dobył z kieszeni listę z podpisami, wypadła mu na kamienie jeszcze kartka papieru, nie zabłociła się — Ulicznego rękopis odbitki. Chował go niewiadomo poco, już przecie nie-

potrzebny. Chrząknął, gęsta ślina zalepiła mu krtani — jego pierwsze wystąpienie publiczne, nicta że bez słuchaczy, że sami swoi.

Szeregiem stanęli przed Rapowiczem. Kamienicznik mocniej pośladkami przywarł do ławeczki, pierwszej chwili pokusiło go do wstania.

— Panie gospodarzu, w imieniu wszystkich lokatorów — zaczął Fiut, tak sobie ułożył od dni.

— Wszystkich? — wstawił z uwagą Rapowicz.

— tak, w imieniu wszystkich lokatorów — złapał Fiut za upleciony, ślisko uciekający sznurek — lokatorów, którzy są przez kryzys obecny tak złamani, że nie mogą, choć mają wszystkie chęci, płacić za komorne tyle, ile dotychczas — —

— chęci to nie jest waluta — upomniał kamienicznik.

— — my tu obecni — wysokim stylem, nie dając sobie przerwać, ciągnie Fiut — zwracamy się do pana, jako właściciela tego domu, z petycją: obniżenia komornego do połowy.

Rapowicz pochylił głowę, twarz mu się zakryła siwem rondem, i tępo patrzy na delegatów rozłupana jak pośladki, włochata, wgnieciona podłużnie główka kapelusza.

— Nic państwu nie mogę na to poradzić. Ja nie jestem filantrop, a państwo nie jesteście dzieci. Nie mogę z własnej kieszeni płacić ko-

pornego za moich lokatorów. Dla kogo komorne jest za wysokie, wolna droga, niech się wyprowadzi, ja mu nie będę żadnych trudności robił — i kurzobłoniastą powieką powlekl Rapowicz rozweselone oko. Ale oku nie odpowiedział uśmiech i błona podwinęła się zpowrotem.

— Każdy musi być uświadomionym obywatelem i kiedy taka męka spadła na społeczeństwo, to i panowie właściciele domów musicie zrozumieć, jakie jest położenie klasy robotniczej, i pójść na ustępstwa — tłumaczy Sałamata.

— Pan mnie nie będzie uczyć obowiązków obywatela, bo ja je napamięć umiem — prychnął Rapowicz — ja jestem podwójnym obywatelem: obywatelem państwa polskiego i obywatelem miasta stołecznego Warszawy. I dlatego mam też podwójne obowiązki obywatelskie. I podwójne — przerwał, wytrzymał pauzę — podatki. Słyszał pan o podatku od nieruchomości?

— A jakże — podjął żywo Sałamata — to podatek od domów.

Fiut litościwie za plecami Sałamaty zrobił zdumioną twarz: o czym on gada?

— No więc, gdybym ja na przykład obniżył moim lokatorom komorne — Sałamata mruknął na Fiuta wesoło: widzisz, widzisz — to podatki muszą jednakowo płacić jak i przedtem. Mnie podatków nie obniżą, choćby loka-

torzy u mnie całkiem zadarmo mieszkali. To jest koniec piosenki. Teraz państwo rozumiecie, dlaczego nie mogę obniżyć komornego. Ja już nie mówię o tem, że nie mogę przecie skazać siebie i swojej rodziny na głodową śmierć — perswadował z łagodną energją kamienicznik.

Uliczny skroił współczującą minę, ale się nie odezwał, jakby sam siebie twardo trzymał za kark.

— Ale pan musi zrozumieć naszą sytuację — nastawał Fiut.

— Nie wolno mi zrozumieć.

Na indyjskiej gumie nosi Rubin pantofle, wychynał gdzieś z pod łokcia Ulicznemu, nie zauważyli jak nadchodził. Przysiadł się do kamienicznika.

Wykiwany przez Rapowicza stał Sałamata, patrząc sobie pod nogi. Natarł Tygielszajn:

— My więcej niż dajemy płacić nie możemy. Niech pan wie, że nie zapłacimy, bo i to jest ponad nasze siły. Chcemy dobrowolnie się z panem ułożyć, jako z gospodarzem — —

— dobrowolnie! — parsknął administrator.

Oburzenie przechyliło Fiuta:

— wstydź się pan — naparł ręką na Rubina — ja dobrze pamiętam, co pan mówił: ja bym się zgodził na obniżkę — przedrzeźniał płacziwie administratorski bas — tylko gospodarz się nie zgadza! Siedź pan cicho, bo nie do pana się mówi!

Klin był ostry i dobrze wszedł, skrzypiąc,

w drzewo, Rubin nie mógł nawet odpowiedzieć. Rapowicz został znów sam na placu.

— Niech pan wie — Tygielszajn mówił spokojnie, nie nateżając głosu i bez zwykłej gestykulacji — że jeżeli pan nie zgodzi się dobrowolnie na obniżkę, to lokatorzy prześlą panu swoje komorne pocztą. I niema z czego więcej zapłacić.

Rapowicz wstał, jakby za podrzutem ławki, ale ławeczka nie drgała i Rubin siedział spokojnie.

— Myślicie, że ja nie wiem, kto Skrzypka zpowrotem wprowadził do mieszkania. Te wszystkie wasze podburzania ja widzę jak na dłoni, zapłacicie jeszcze za to — —

— Co pan nam grozisz! — wystąpił Uliczny przed delegatów — widział pan nas czy co? My świadków mamy, że to nie my.

— Świadców? — zapiał Rapowicz. Z opowiadania Rubina wiedział dokładnie, że to właśnie oni, delegaci, wsadzili Skrzypka do mieszkania.

— O, siedzi świadek — wesoło pchnął palcem Uliczny w Rubina — myśmy akurat wtedy wszyscy byli z wizytą u pana administratora. Może nie, panie Rubin? Służąca też była przy tem. I co panu zapłacić, panie gospodarzu, może z grosza reszty wydać?

Rubin pociągnął gospodarza za połę palta:

— Niech oni trochę ciszej krzyczą. Jak przyjdzie w sądzie przysięgać, to ja fałszywej

przysięgi nie złożę. No, świadki kochane — zironizował — sąd z was prawdę wydusi —

Salamata mruknął szeptem do delegatów:

— musiał ktoś wygadać.

Poczuli się niepewnie.

— Idziemy — pchnął delegatów. O Skrzypkach nie należało więcej mówić, palca do wrzątku się nie kładzie.

— Nie, nie, zaczekajcie jeszcze państwo chwileczkę, wyście powiedzieli swoje, ja powiem swoje też — wątroba tępo pokłuwiała i Rapowicz mówił niegłośno, żeby jej nie pobudzać. Z rozpiętego palta cienko świeciła na żołądku złota dewizka — ja wam jedno powiem, to jest zabawa, która się źle dla was skończy. Ja umyłam ręce, uprzedziłem was, żebyście żalu nie mieli.

Sklamrzenie gospodarza znudziło już Fiuta. Wsadził ręce w kieszenie, portmonetka została nagórze, wyciągnął gwałtownie na zewnątrz szare płótno, aż posypały się paprochy, pokłębione na szwach. — Dobrze — tchnął Uliczny w wąsy.

— To jest mój kapitał! Niech pan moje kieszenie uprzedzi, a nie mnie. Ja i tak od gęby sobie odejmę, żeby tę połowę panu zapłacić — trzepał, a jednocześnie prawie widział dwie srebrne dziesięciozłotówki w portmonetce, leżące w szufladzie stołu, ale to przecie nie było kłamstwo, że nie ma pieniędzy, bo się rozleża na samo jedzenie i węgiel.

Rapowicz skrzyżował ręce przed kapeluszem i rozpostarł je nabok.

— Ja powiedziałem. — Odwrócił się jeszcze: — wiecie, jak się nazywa taka afera? To jest strajk. Za strajki nie głaszcze się nikogo po głowie.

— Owa! — odpowiedział Fiut. Pierwszy przestрах przeszedł mu. Do ostatniego słowa gospodarza nie zdawał sobie sprawy, rzeczywiście: strajk. Ale on sam go przecież chciał, nikt go nie popychał.

Całe przedpołudnie ścigali się delegaci z administratorem: uprzedzali lokatorów, żeby ani grosza nie wpłacić gospodarzowi, tylko pocztą, a kwity zachować.

— A jak kto nie ma na zapłacenie i połowy? — pytano.

— No to nie zapłaci, przecie bogiem nie jest ani królem Salomonem.

Rubin chodził szerniały z gniewu na twarzy i tylko notował w ceratowo oprawnej książce, stawiał krzyżyki przy nazwisku odmawiającego lokatora i znacząco kiwał głową. Dla pokazania swojej przyzwoitości zaszedł do Ulicznych. Zośka wiedziała, że w tem przyjsciu jest podstęp, oświadczyła obojętnie, że jak mąż będzie miał pieniądze, to sam panu administratorowi przyniesie. Rubin z przyzwyczajenia, gdy widział tęgą kobietę, chciał już ją pomać, ale twardo ściosany podbródek i nieprzychylnie obce, przyciasne oczy za wysuniętymi

kośćmi policzkowymi zobojeźniły go. — Uuu, kurwa — pomyślał bez ochoty.

Przed Skrzypkami stanął chwilę: wejść, nie wejść. Postanowił: do wszystkich. Skrzypkowej ciurknęły łzy:

— Czego hyclu się znęcasz?

Nawet się nie obraził: — Darmozjady — zostawił za sobą. — Takie gruchoty jak ta baba, to się powinno topić. Jak kobieta się nie nada, żeby się na nią położyć, to ją od razu do trumny — — Po mieszkaniach lokatorskich Rubin zawsze chodził ze świadem w międzykroczu, w poszukiwaniu okazji. Udało mu się nieraz. Zwłaszcza ze służącymi, kiedy nie zastawał samych lokatorów. A czasem i lokatorka jaka się nadarzyła. Choćby Raptusowa. Miał dobre oko, od razu wiedział, czy warto zaczynać, czy kobieta zgodzi się. Nie znosił długich zachodów. Nie udało się — odbijał sobie wieczorem na żonie, służącej Jadźce albo na ulicznych dziewczynach.

Kombinował, jakby zdobyć listę Fiuta, podpisaną przez żądających obniżki. Wiedział o niej wcześniej, opowiadali mu stary Cuzamenbruch, Maks Cuzamenbruch, który przechodził do jego córeczki Meli, i Żołędziowski. Lista w ręku to byłaby gratka, podobno wypisali w niej wszystkie swoje żądania, ale nie chcą jej łajdaki wypuścić choćby na chwilę.

Wpadło mu nawet na myśl, czyby się jej nie udało choćby sfotografować, tak jak się foto-

grafuje dokumenty w urzędzie śledczym, albo jak szpiegi robią, ale to zbyt długa historia. Jeszcze inaczej: buntownik do aresztu, ale wciąż nie było dobrej podstawy.

Popołudniu Kazik Uliczny z małym Urbanem mieli strzyc odbitki, oczywiście nic z tego nie wyszło, bo pobiegli na miasto po wieczorne gazety, zapowiedzieli, żeby bez nich aby nie zaczynać. Krajali odbitki Łódzia, Fiutowa, która sama się zaofiarowała, i Sałamata. Fiut „dorzorował“, jak się wyraził. Właściwie mogła wszystko zrobić jedna osoba, sami nie wiedzieli, poco się tak ceckają z tem krajaniem. Przyszedł Pałczyński, magistracki urzędnik, „pisarz“ nazywali go, dowiedzieć się:

— Jak ostatecznie z komornem rzecz stoi?

Przeczytał jedno wezwanie, Fiut przyglądał mu się z pod oka — jakoś się nie przestraszył. Po grubo ulepionej twarzy o brwiach niewidocznych na wystających łukach brwiowych i celuloidowo - przezroczystym, jak u zbyt jasnych blondynów, zaroście toczyło się kłopotliwe zainteresowanie. Tylko „tak, proszę pana“ i „nie, proszę pana“, tak wkręcony w mutrę biurowej zależności, że poruszał się, jakby szef z dochodzeniem dyscyplinarnym pilnował jego prowadzenia się poza godzinami urzędowania. Na opowiadanie Fiuta, komentowane przez kobiety, o obrzydliwym niesąsiedzkim zachowaniu frontowych lokatorów Pałczyński zauważył: — okropne. Pokręcił się dokoła

stołu, nie znalazł wejścia w rozmowę i pożegnał się:

— u nas są nowe redukcje.

Wezwań dwa tysiące sztuk, ułożyli je paczuszkami po sto, żeby nie rozsypywały się. Obliczali: rozlepić po ulicach na całej dzielnicy z jakich dwieście, szkoda że wezwania takie małe, trudno je będzie ludziom zauważyć — to sami zróbcie większe — sarknął niechętnie Fiut.

— Mnie też dajcie ze dwieście — upomniął się Salamata — rozdaję jutro na budzie.

Resztę na ulicach porozdawać wieczorem.

Po robocie przyszedł Kopersztyk. Już mu Uliczny opowiedział o odbitkach. Miał myśl: część wezwań poroznosić po mieszkaniach okolicznych domów. Radził odrazu zabrać się i aż do zmierzchu skończyć.

Fiut przystał, wybiegł po Ulicznego i Poradę. Kaźmierz zajęty, możnaby Urbańskiego przyciągnąć, ale napewno niema go w domu, akuszerka nie pójdzie, wiadomo — stara, krawiec Barwiarz — marny człowiek, tylko w swoją kieszeń patrzy, nic nie zobaczy poza nią, a Szojchet, rzeźbiarz nagrobkowy, tyle tylko wie, że na komorne nie ma, a dalej swojej nabożnej kapoty nie widzi opuchłemi ślepiami; czarne surki mają boja i Groch też ma boja, dorzecznym ludzi nie tak znów za wiele.

Mieszkanie Fiuta zapchało się. Z Ulicznym przyszła Zośka. Fiut porozdzielał wezwania po

sto na głowę, jak były porozkładane. Siedem porcyj.

— A dla pańskiej żony? — zagadnęła Fiuta Zośka.

Fiut niedowierzająco wytrzeszczył oczy — tego się nie spodziewał. Z początku pilnowała go przecie, że zawraca sobie głowę. Wiedział, że była zazdrosna o niego, myślała, że odbija go jej albo Zośka Uliczna, albo Lodzia.

Sucha, z zawiniętymi wdół kątami warg, wyciągnęła obrażoną rękę:

— Daj.

Pozostała kwestja — jakie kto domy na siebie weźmie. Jedno. Drugie: frontowe mieszkania też?

Przeciw frontowym mieszkaniom wszyscy. A domami podzielili się tak, że Uliczny, Lodzia, Kopersztyk, Fiut wzięli nieparzyste numery Kwaśnej, po dwa wlewo i wprawo od rapowiczowskiej posesji, a Porada, Fiutowa, Zośka, Salamata — parzyste numery naprzeciwko.

A jeżeli dom ma mniej mieszkań i zostanie trochę wezwań w rękę?

Z resztkami mieli wracać do Fiutowego mieszkania, punktu zbornego. Tam znów się podziela.

Zatrzymał jeszcze Uliczny:

— Prawda, prosta rzecz, poroznosimy te wezwania do lokatorskich mieszkań. Takie wezwanie obowiązuje przecież i do pogadania też.

Wetknąć we drzwi czy w łapę to za mało. Do każdego mieszkania wejść, pogadać, myśleć, trzebaby. Tak znów odrazu dobrego nie warto się spodziewać: niewszyscy znów rozumieją z pierwszej chwili o co chodzi. Mogą i na pysk z mieszkania wyrzucić, żartuję, na pysk nie wyrzuca, ale obrugać mogą, trzeba pamiętać. My się nie poobrażamy, właśnie dlatego tłumaczyć trzeba, skąd to wyszło wszystko, o eksmisji. A gdzie Skrzypek?

Skrzypka Fiut nie zawiadomił, zapomnieli o nim.

— — cierpliwość trzeba mieć, fakt. Cichajcie chwileczkę, co tam Sobotka klepie?

Z parteru krzykiem darło się:

— wobec tego upadku moich interesów, następstwo czego mój zakład stanął w ruinie, innego nie mam wyjścia, tylko kres mojemu życiu położyć. Koledzy restauratorzy, z prośbą się zwracam o urządzenie mi pogrzebu. Moja rodzina bez zaopatrzenia zostaje, też waszej, koledzy restauratorzy, opiece ją zostawiam. Żegnajcie, w śmiertelne objęcia się udaję. Teofil Kołaczyn, restaurator III-ej kategorii. Lublin, ul. Narutowicza 5.

Patrzyli po sobie nieruchomo: restaurator krzyczał w strachu.

— On to z gazety czyta — domyślił się Uliczny.

— W serce sobie strzelił, słyszycie! — krzyczał Sobotka i słyszeć było nagórze u Fiuta

raptowne szelesty podrzucanej gazety — podatków nie wytrzymał!

Porada rozdarł napięcie: — nie bójcie się, nasz knajpiarz sobie w łeb nie strzeli, nie taki znowuż miękki. To łobuz jest. Co on z kelnerami wyprawiał — —

Hurmem idąc na ulicę, zajrzeli do restauracyjnej kuchni, ale Sobotki już tam nie było, krzątała się tylko Kukawcowa.

Przed bramą rozeszli się. Każdy do swojego domu. Fiutowa, kiedy Zośka znikła jej z oczu, zmieszała się. Wstyd jej było, ale już chciała wrócić do mieszkania, a delegatom potem powiedzieć, że wezwania rozdała. A może jednak się dowiedzą, że skłamała? W kieszeni palta tarła palcami papier odbitki, postanowiła odczytać jeszcze raz sobie w sieni wezwanie, temi słowami drukowanymi będzie mówiła, jak swoich nie złapie. Pod dwudziestym szóstym bywała, bo mieszkała tam kobieta, która podrabiała pończochy. Ale dom był teraz zupełnie obcy, przestraszający, podwórze jak studnia, ciemniejsze o wiele od ulicy. Ze śmietnika wyskoczył spłoszony kot i popędził do ostatniej sieni. Za jego wyciągnięciem w płaskich skokach ogonem Fiutowa poszła jak za wskazówką. Kot zbiegł do piwnicy. Zmieszanie spłynęło, Fiutowa po powykręcanych, coraz mniej wyraźnych w wilgotnej ciemności stopniach zeszała, skrzypiąc, za niewidocznym kotem. Korytarz piwniczny wlewo i wprawo. Skądś, jak

z za ścian dochodziły zamazane, nierozróżnialne głosy. — Gdzież ja to wezwanie przeczytam — przypomniła sobie Fiutowa, ale poszła za głosami wlewo. Korytarz był wąski, macała rękoma po mokrych zimnoszorstkich ceglach, chlupała pantoflami po niewiadomo czym, błocie czy wodzie, głosy zbliżały się, wciąż było tak ciemno, że kolorowe plamy latały jej przed oczyma. Pod prostym kątem załamała się ciemność korytarza, Fiutowa postawiła większy krok i nieoczekiwanie uderzyła w zaporę. Spróbowała ręką — mokre, ale deski. Szukała klamki u tych prawdopodobnych drzwi, głosy dudniły jak w beczce, dalej jeszcze. Natarła ramieniem, deski ustąpiły i trojgiem szpar jaśniejszych przekrajał się mrok. Wydawało się Fiutowej, że szpary świecą tuż, dotknąć ręką, lecz odsuwały się wciąż chlupotem błota pod nogami. Głosy zwyraśniały. Zapukała.

W piwnicy śmierdząca para kołtuniła się nad balją, przy której prały dwie kobiety. Ich mokre twarze błyszczwały tak samo jak zmydlinione ręce w pozawijanych rękawach. Łóżek, zapychających wszystkie kąty, Fiutowa nie mogła się doliczyć: cztery czy pięć i duża łożynowa kołyska, w której kwasilo się dwoje niemowląt, kuchenka gliniana, na niej pełny kocioł pęczniał pęcherzami bielizny; młody chłopak o powykruszanych siekaczach. Z pod sklepienia trochę szarego światła sypało się

stęchłą mąką przez dziurę w ścianie. To nie było okno, bo nie miało ani futryny, ani krzyżaka, ani szyby: powyrywane z muru cegły i też było widać, że dziury nie wybijał majster, bo brzegi były nierówne, jakby kto na złość partolił albo nie zależało mu wogóle na robocie.

— Chciałam się dowiedzieć — zaczęła Fiutowa — jak tu u państwa jest z komornem.

— Bo co? — warknął chłopak.

Dobyla wezwania z kieszeni. Obawiała się, że ją wyproszą z piwnicy, nawet nie próbowała mówić, tylko przeczytała przy kuchence, w czerwono - ceglastym blasku z pod furczącego kotła.

— Moiściewy — przeciągnęła starsza praczka, nie przerywając roboty — my tu za pomieszkanie płacim dziesięć złotych, a to jest czysta choroba. I gospodarz, niema miesiąca, furt wyklina, że nas przepędzi, jak raz komornego nie zapłacim, tylko ja z córką pracuję, wszystko reszta bezrobotne. Gdzie te ludzie są, co małe lokatorne piszą?

— Słyszysz matka, że na Kwaśnej — uciał chłopak.

— Zostawię to państwu — położyła Fiutowa wezwanie do kołyski — z resztą lokatorów też trzeba pomówić.

— Ja z panią pójdę — chłopak wstał — tu jeszcze jedna jest piwnica, po drugiej stronie, a więcej takich mieszkań niema.

— Kiedy ja do wszystkich mieszkań.

— To ja panią zaprowadzę, cały dom

znam — pchnął deszczate drzwi na luźnych zawiasach, rąbnęły się o ścianę, ustawił je na miejscu.

— Dlaczego okna nie wybijecie większego? — niezręcznie zwróciła się do kroków, mlaszczących za nią błotem.

— Boby za zimno było.

Nie zapytała już, dlaczego okna nie wprawia.

Druga piwnica miała jednak okno, to znaczy że w otwór wstawiona była drewniana ramka, a do niej przywieszona jakby pokrywa z deski — okienniczka odwewnątrz.

Chłopak nie dał Fiutowej dużo mówić.

— To żeby komorne obniżyli — objaśnił i pociągnął ją zpowrotem do sieni.

— A kiedy mają? — z niedowierzaniem wymamrotał spuchły staruch, któremu wetknęła wezwanie.

Chłopak ciągnął ją po piętrach, wpychał do mieszkań i niecierpliwie odwoływał. Pomyślała nawet, że to warjat. Zniecierpliwiona powiedziała mu, że jej przeszkadza w rozmowie z ludźmi. W istocie była zadowolona, że pomocna przeszkoda sama za nią chodzi. Wezwanie umiała Fiutowa już prawie na pamięć, nie zaglądając do kartki, tłumaczyła je swojemi słowami. Słuchano jej uważnie — to było przyjemne. Czuła się mocniejsza. Od pięter bolały nogi i dopiero połapała się, że całego domu nie obejdzie przed późnym wieczorem, a była le-

dwo w czterech sieniach. Każde nowe mieszkanie kładło się w pamięć jak wyprasowana koszula do szuflady, ale nie odróżniała już jednej koszuli od drugiej. Chłopak dreptał bez przerwy za nią.

W niskiem mieszkaniu, przylegającym do piekarni sąsiedniego domu, gospodarze przyjęli ją w rozchełstanej bieliźnie. Podciągając gaci, główny lokator, robotnik w fabryce mydła, skarżył się, że niema gorszego nieszczęścia od takiej spieki, latem sypiają w sieni, w pokoju wytrzymać nie można. Fiutowej zapamiętała się kuchnia, ściana czarno włochaciła się karaluchami. — Nie można ich się pozbyć, ciepło lubią — odpowiedziała przestraszonemu spojrzeniu Fiutowej mydlarzowa o poprzytkanej ospą skórze — wieczorem wszystkie wylażą na światło, nic się nie boją.

O piętro wyżej karaluchów nie było. Może były, ale pochowały się. W izbie stały trzy łóżka, poosłaniane parawanikami. Za lewym stękał ktoś i trzeszczał materac. Uchyliło się skrzydło prawego parawanu i wyjrzała starawa brodata głowa, wykrzywiona nad poduszką; poprawiając podwiązkę nad wysoką pończochą, wysunęła się ukarbowana dziewczyna w bluzce, ale bez spódnicy.

— Pani czego tu? — zapytała zdziwiona, mocując się ze sprzączką.

— W sprawie komornego — uporała się z zakłopotaniem.

— Gospodyni teraz niema, później będzie — dziewczyna wróciła za parawan, pokazując tylek, spięty fioletowym paskiem, z pod którego zwisała wygnieciona koszula.

W publicznym domu Fiutowa nie zostawiła wezwania, takie dziewczyny płacą, ile im każą, jeszcze napewno muszą się wykupywać u wszystkich. Swoją drogą, szczeniak pomocnik, mógł nie narażać jej, mężatki, na wstyd.

Obliczyła: rozdała piętnaście sztuk. Ściemniło się już. Chłopak wyszedł za nią aż na ulicę, ledwo się od niego uwolniła. Obiecała, że następnego dnia przyjdzie i krzyknie po niego do piwnicy, on będzie czekać. Podał jej rękę i powlókł się zpowrotem. Patrzyła za nim chwilę, ramiona obwisły mu i powlókł nogami.

— Chory chyba jest.

Przed bramą dwudziestego czwartego spotkała Zośkę, jak gadała z kilkoma kobietami. — Talent ma do mówienia — pozazdrościła. Kobiety wzdychały pod wełnianymi chustkami i energicznie gniotły Zośkę między sobą, jakby ściśnięta więcej mogła powiedzieć. Na prostytutkę, szeroko przechodzącą chodnikiem, na uróżowane, pod gazowem światłem ceglaste policzki Fiutowa mimowoli skinęła — wiem, gdzie mieszka.

Zośka skończyła swoje, razem wróciły do domu, mężczyźni czekali już na nie z Lodzią, chłopcy też. Nikt nie rozdał wszystkich wezwań, najwięcej Uliczny — czterdzieści, żartował,

ma magiczny sposób, czary takie, że był tylko w pięciu mieszkaniach, a rozdał czterdziestu lokatorom.

— Jak?

— Zwyczajnie: Jakem przyszedł do jednego lokatora, akurat trafił się znajomy, też słusarz. Ja mu powiadam: — zwołajno, bracie, sąsiadów ze swojej sieni, no i przyszło z sześciu z babami, jak się zwiedzieli o czem mowa. Już macie siedem wezwań. A potem to już gładko szło, bo chodzili ze mną z mieszkania do mieszkania i ściągali sąsiadów. Oprócz frontu — czterdzieści mieszkań, załatwiłem wszystkie, gadałem tylko pięć razy, no i lepiej, że nie do pojedynczych ludzi.

— I co? — niecierpliwił się Fiut.

— Pałaj się. Mówią: racja. Sami myśleli o tem. A u ciebie?

— U mnie gorzej, rozdałem tylko dwadzieścia sztuk, ale po pojedynczych mieszkaniach.

Fiutowa była zadowolona, mężowi nie o wiele lepiej się udało niż jej.

— Nie miejcie pretensji — tłumaczył się Tygielszajn — ja rozdałem tylko sześć, w jednym mieszkaniu, też sąsiedzi się zleźli, ale zatrzymali mnie, nie chcieli puścić, tak się jakoś zgadzało i czas przeleciał.

Salamata rozdał trzydzieści, prawie tylko pojedynczo.

Lodzian dwadzieścia, ale też ją zatrzymali.

A Zośka pokazała puste ręce.

— Wszystkie pani rozdała? — nie wierzyła Fiutowa: napewno wyrzuciła resztę na śmietnik, żeby się pochwalić.

— Wszystkie, co do jednego.

— Nie wygłupiaj się, Zośka — nachmurzył się Uliczny.

— Nie wygłupiaj się! Siedź cicho, kiedyś taki niedowiarek, namówiłam baby, żeby każda wzięła po parę papierków i po swoich kumach poszła. Rozdrapały wszystko i bez niczego zostałam.

— Patrz Kaziu — trącił go mały Urban — ta twoja stara jest cwana.

— Wiecie co mi jeden gość powiedział — zgorączkował się Koperszyk — kiedyś mu dał wezwanie? Pyta się: a żydzi u was przystąpili? Mówię że wszyscy. Powiada mi: jak żydzi przystąpili, to i ja też przystąpię, żydzi wiedzą, gdzie jest dobry interes. Jak wam się podoba?

Śmieli się. Dobrze.

— Ciemny bywa naród.

— Mnie jeden pytał — przypomniał sobie Fiut — ile mi za to płacą? Ja mu: nic mi nie płacą, z własnej woli chodzę. A on: zalewaj pan, powiedz i mnie, gdzie tę robotę dają, to i ja pójdę tam, bo bezrobotny jestem, zajęcia szukam.

Śmiech beczał z rozdziawionych ust.

Opowiedzieć o publicznym domu czy nie? Fiutowa chciała, żeby i z jej wypadku się śmieli. Zaryzykowała:

— A ja na publiczny dom trafiłam.

— Nie namawiały pani? — Łodzi dowcip. Fiutowa się nachmurzyła, ale odpłaciła Łodzi:

— Mówiły, za stara jestem. Żeby im młodsze przyprowadzić.

Nie smakowało Fiutowi, że porównywała żonę z prostytutkami. Wyjść wieczorem z paczką wezwań na ulicę, zaczepiać ludzi, konkurencja prostytutkom — uśmiechał się niewyraźnie — pierwszy raz w życiu. Zanim się obejrzy, patrz gdzie cię poniosło.

Wydzielili dziesięć paczek, dla chłopców także, ci pierwsi zbiegli ze schodów cichnąą kanonadą. Wychodzenie kupą weszło już w przyzwyczajenie, dawniej Fiut chodził bokiem, patrzyli z zazdrością na jego składaną wędkę i wiaderko.

Z Sobotkowej knajpy grzało światłem i dudliło radio, z za szyby gęś pieczona z poukręcanemi skrzydłami i łapami, pieczeń cieleca zalana galaretą, butelki wódki w dwa piętra.

Parami stanęli na czterech rogach Kwaśnej i Węglowej. Fiutowa z Tygielszajnem, Fiut z Ulicznym koło Sobotkowej knajpy, Łódzia z Sałamatą przy budce papierosiarza. Porada z Zośką przed zapuszczoną żaluzją jatki, Kaziu z małym Urbanem puścili się w Węglową i starzy stracili ich z oczu.

Pierwsi przechodnie brali wezwania, nie patrząc — jak się bierze reklamowe ulotki, nie-

reklamowy druk zatrzymywał oczy pod zielonem, dręt看 światłem gazu i dokoła rozdających ugniatały się grupki ciekawych. Na rogu Kwaśnej i Węglowej nie było posterunku policji, stał dopiero o dwie przecznice dalej, na skrzyżowaniu Węglowej i Grzaskiej, więc nikt ich nie rozpędzał.

Podrygiwały na kocich łbach opóźnione z budowy wozy, sypiąc na mocniejszych wstrząsach ceglany miałem. Przy końcu Węglowej, za opuszczonym cmentarzem Magistrat stawiał dom pracy przymusowej dla włóczędzy. Jeden z woźniców, niski, krzywonogi, w torbiastych, spękanych zaschłem błotem butach z cholewami, w kraciastym kabacie, zatrzymał wóz przy rogu Łodzi, porozpychał gapiów, wziął wezwanie, pomietosił, widać nie umiał drukowanego, wsadził za pazuchę, klapnął się na swój worek z sianem i popędził gniadą szkapę, jakby chciał nadrobić stracony na postój czas.

Przy rozdających przechodnie nie zatrzymywali się długo, grupki darły się na szmaty, zablizniały się znów, nierównomiernie pęczniały i nikły; czasem delegaci stali bezrobotnie na nieruchomym chodniku. Uliczny spostrzegł uważną, zwięzłą, krótkobrewą twarz w cyklistówce, jak weszła do knajpy.

- Widziałeś typa? — trącił Fiuta.
- Nie. Dlaczego?
- Nie podoba mi się.

Przeszło dwóch pijanych, trzymając się za bary. Zataczali się aż do rynsztoka, omijali go, żeby nie wpaść, i ledwo odrywając ciężkie stopy od uginającego się pod nimi chodnika, uderzali o mury domów. Nie zauważyli nawet delegatów. Przeszli jak przez mgłę.

Fiutowa cofnęła się przed pijanymi, gdy przebrnęli podstępny jezdni, aż otarła się o Tygielszajna. Wykpił ją, zaczął pijaków i wsadził im do kieszeni po wezwaniu.

— Jak wytrzeźwieją, niech każdy przeczyta.

Od Sałamaty wzięła wezwanie pokrecona babka, sięgająca mu bezzębna posiekana zmarszczkami we wszystkich kierunkach twarzą ledwo do piersi, i znów nadstawiła rękę.

— A poco wam jeszcze, babciu?

Babka mamrotnęła niewyraźnie. Sałamata pchnął ją lekko w grzbiet.

— Idźcie, idźcie, to nie do podcierania się.

Nakreconą zabawką zaszytkowała babka, pracowicie chwiejąc garbatym ze starości grzbietem nad nieposłusznymi nogami. Nadbiegli chłopcy sprawdzić, jak idzie. Rozdali wszystko. Krytykowali — prędzej spotkać ludzi na Węglowej w stronę monopolu, oni niegłupi sterczeć jak starzy na rogu.

Ruch wieczorny bił rozpryskami głównie w kierunku Grzaskiej, Fiuta - Ulicznego, Ło-Sałamaty. Na przeciwległy chodnik przechodzili ludzie już z wezwaniem w garści, złoścąc podrywających się niepotrzebnie Tygiel-

szajna, Fiutową, Zośkę, Poradę. Porada wziął Zośkę pod rękę i pociągnęli Kwaśną wgórę, w stronę rosnących numerów. Tygielszajn popatrzył za nimi, przyznał rację i z Fiutową wdół Kwaśnej. Za nimi opustoszały i dwa przeciw prądowi stojące rogi, rozproszyły się po przecznicach Węglowej. Ostatni ruszył Uliczny.

Za plecami, z Kwaśnej usłyszał rozpęd końskich podków. Odwrócił się: z drożki na dwie strony wypatrywały czegoś męskie kapelusze. Wsadził wezwania za pazuchę i wrócił do domu. Z za szyb knajpianych krótkobrewa cyklistówka świdrowała ulicę. Zawinał do bramy, rozejrzał się — pusto, wezwań niewiele zostało, wsadził je za śmietnik, wypukał Skrzypka — polecieć Węglową, uprzedzić delegatów.

Kiedy stanął przed bramą, drożka na rogu była pusta. Przeszedł na przeciwległy chodnik, zlustrował ulicę. Cyklistówki u Sobotki nie było już. — Przywidziało mi się czy co, przedtem? — Pośpieszył Kwaśną wdół, spotkał Tygielszajna z Fiutową aż na Źródlanej.

— Masz jeszcze wezwania?

— Nie.

— No, to dowidzenia.

Tygielszajnowi na ucho, żeby nie straszyć Fiutowej:

— uprzedź resztę, kogo zdążysz, że tam na rogu coś nie tego.

Na Węglową wrócił nie Kwaśną, ale przez Źródlaną i Wapniak. Delegatów nie spotkał.

Przy rogu Węglowej i Kwaśnej wysunął się z bramy niepozorny gość w długiej wciętej jesionce, chwycił Ulicznego za ramię:

— Chodź pan ze mną.

A jednak — przemknęło Ulicznemu: — Dokąd?

— Tu do bramy, na dwa słowa.

Z bramy wyglądał drugi facet w cyklistówce:

— Weź tamtego też — skinął na przechodzącego blondyna w sportowych spodniach. Futbolista czy inny sportowiec — rzucił okiem Uliczny, nie znał go.

W kącie bramy, przy wyjściu udawał obojętność Fiut. Drugi był mały Urbański. Trzeci, blondas - sportowiec, poruszający oburzonem ramieniem. Uliczny oparł się o mur, z dozorcowskiej dyżurki gapila się na zatrzymanych całą rodziną: długonosy z przedziałkiem przez środek głowy dozorca, dozorczyńni w ciemnej sukni z jasną głową dziecka trzymanego na ręku, starka, owinięta w chustkę jak w powygniatały dzwon, dwoje dzieciaków, klejących się do matki.

Fiut szeptał Ulicznemu:

— Ten niższy na ulicy mnie przytrzymał, zabrał mi resztę wezwań, widzisz, z kieszeni mu wyglądają, a mały Urbański się ze mną kręcił, to i jego. A tego w pumpach znasz? Ja też nie.

— Jego omyłkowo wzięli.

— Myślisz, że moją kobietę — — ciężko podciągnął się Fiut.

— Widzisz przecie, że jej niema. Racja, sam przecie ją spotkałem na Źródlanej, poszła do domu.

— Zamartwi się.

— Nie zamartwi, zmądrzała, pocieszą ją sąsiadki.

Mały Urbański wolniutko wysuwał się do wyjścia, wycierając plecami mur, zdawało mu się, że przesuwa się nieznacznie — nikt nie widzi, dać nura. Agent odepchnął go, aż chłopak wpadł na Ulicznego:

— Ja ci dam uciekać!

— Czego pan chłopaka bije? Co panu zrobił? — złapał Uliczny za okazję. Zależało mu, żeby ich jak najprędzej zabrali. Długo tak stać, może jeszcze kto z delegatów się napatoczyć, agent w cyklistówce pokaże. Racja! Patrzcie, to morda od Sobotki. Z początku nie poznał go.

Rozkrzyczeli się wszyscy czterej. Najgłośniej krzyczał blondas - sportowiec.

Poprowadzili ich jezdnią. Blondas postawił kołnierz kurtki — nuż znajomych spotka, gdy razem ze złodziejami taszcza go na policję. Ruch osłabł zupełnie, na niektórych odcinkach byli jedynymi przechodniami. Minał ich tramwaj, konduktor, torsem wychylony za pomost, trzymając się rękami poręczy, patrzył za nimi.

W areszcie komisariatu natrafili na rozmowę. Na pryczy siedział mizerny człeczyna

w białym zawoju bandażów i ręką na temblaku, około niego, dyndając nogami niedostającymi do brudnej podłogi, wyrostek w kusej brązowej marynarce z czarnymi łatami na łokciach. Obandażowany przedstawił się półgębkiem:

— Za zamordowanie szefa siedzę od wczoraj. Gryszpanowicz jestem.

— Introligator? — wtrącił Fiut — czytałem dziś w gazecie.

Wyrostek wrócił do swego opowiadania:

— — mówi mi grzecznie: więcej nie trzeba, tylko będziesz opowiadał, co słyszałeś. Dziękuję, powiadam. W naszym domu — —

— gdzie mieszkasz? — zaciekał się mały Urbański, przysiadłszy się do niego.

— na Szopach — odmruknął niechętnie — — złapali sąsiedzi i takie spuścili mu manto, że oj, krew mu się lała z ucha jak z czajnika woda. Ja nie chcę, ja już się znam na tem. Nie, proszę pana, mówię, wolę obwarzanki sprzedawać niż taką pensję!

— Masz rację, synu — pochwalił morderca z obandażowaną głową — łapacz i dziwka to jedno i to samo.

— Za co siedzisz? — poinformował się mały Urbański.

— Za szybę wybitą. A ty?

Mały Urbański napuścił na siebie tajemniczość. Potoczystym ruchem ręki zastąpił odpowiedź.

Uliczny rozłożył się na pryczy. Fiut zawahał się: prycza brudna jak ściera, błyszczy, wypolerowana aż do wstrętu. Ale całą noc siedzieć w tej ciemnej, zapajęczynionej po kątach, zakratowanej dziurze z zakopconą piętnastowatką i ciekawem zasłoniętem odzewnątrz okieneczkiem we drzwiach.

Uliczny ręce pod głowę, nogę założył na nogę: — kładź się.

Niegrabnie Fiut przyłożył się obok. Mały Urbański z wyrostkiem usiadł na podłodze, szepcząc do siebie. Rozkraczony sportowiec stał najdłużej. Spędziło go dopiero starannie wyakcentowane upomnienie mordercy.

— Panie w portkach, kładź się, noc się robi tutaj — bandażę mu przeszkadzały w mówieniu.

Sportowiec oparł się ręką o krawędź pryczy i podrzutem nóg usiadł, położył się, jakby starannie wykonywając ćwiczenie gimnastyczne.

Okienniczka judasza uniosła się, Fiut trafił oczyma w czyjeś nieruchome jak gwoździe oczy, zatrzasnęła się.

Blondas wzdrygnął się naraz, aż obcasy zaterkotały o pryczę, i stęknął:

— Jezusie, co w domu powiedzą!

— Szmata — skrzywił się Fiut do słoistej deski, która odgniatała mu żebra.

VII.

W środę rano Rubin wyeksmitował Skrzypków z sublokatorami. Poleciały znajomą drogą sienniki, garnki i paki z wypaloną pieczęcią: ostrożnie — szkło. W pół godziny po eksmisji zajechała na podwórze fura wysłana słomą, i tragarze, którzy wyrzucili rzeczy Skrzypków, wzięli się do przenoszenia nowoprzywiezionych sprzętów z wozu do pustego mieszkania. Wiśniowa komoda z porysowaną politurą i wypukłym przodem półokrągłych szuflad, dzwoniących mosiężnymi antabkami, wiśniowa też szafa z kopsztykiem, rzeźbionym w długie symetrycznie odwiniete liście; wieszadło pod dąb bejcowane, wyklejone pod hakami kawałkiem zburzałego, dawniej czerwonego sukna; stół dębowy o toczonych nogach, zakrzywionych nieco dowewnątrz, pod siebie; krzesła z podwinietymi przednimi nogami i sforsowaną plecionką siedzeń; zaszyte w worek chyba miski, bo napinały okrągłymi żebami brunatno-piaskowe płótno — i poco im tyle misek — myślała Skrzypkowa, stojąc z założonemi rękoma pod nagoprętą akacją; stół kuchenny, posiekany wpoprzek blatu, popalonego piętnami plam; trójnoga umywalka niebiesko malowana, bez miski, jak wielki pajak; kuferek, obsyty obdrapaną skórą, z mosiężnymi okuciami rogów

i startem łbami ćwieków na wieku; większy kufer zielono malowany. Fura pustoszała, słoma rozsypywała się dookoła świeżą jaskrawizną na błotku. Małe Skrzypki drażniły siwą o pożółkłym niedoczyszczonym zadzie i ognojonych pęczinach szkapę, woźnica odpędzał je, ale natychmiast wracały i długiem nienadłamanem żdźbłem słomy łechtaly szkapę w mokre nozdrza, strużkami śluzu ściekające na włochatą miękką wargę. Szkapę prychała, napierała zadem na furę, skrzypiały ostrym, krótkim piskiem osie, furman wybiegał, uspokajał złym okrzykiem swą jasnokością chabetę, aby znów na niespokojny skrzyp fury wybiec, tupiąc.

Na samym końcu zdjęto z fury dwa łóżka metalowe z siatkowemi materacami, musiały pamiętać chyba jeszcze wojnę japońską, bo z garnituru kulek, nakręconych na oparcia, poślizgił nikiel z żółtego metalu, i same oparcia też pościerały się na kantach do żywego mięsa. Trzecie łóżko żelazne, czarne, nazewnętrz oparcie wymalowane miało landszafty. Landszaft w nogach przedstawiał chatkę na pagórku, słomianą nakrytą strzechą, ciemno szafirowe niebo z obłoczkami, z pomiędzy których wyzierał żółty ziarnisty księżyc. W oknie chatki czerwone światelko, a po pagórkach rozstawione chojaki.

Landszaft w głowach rozpościerał się jeziorkiem, z którego wypływał kręty strumyk. Cha-

tka zdala z płomykiem i księżyc żółty ponad nią w białej wełnie obłoczków odbijał się w jeziorku kręgami, na których widoczne były zgrubienia farby. Boczne deski ozdobione były tylko złotym powycieranym szlaczkiem.

Wyładowania rzeczy pilnował Rubin. — Chyba nie on się wprowadza? — zastanawiała się Skrzypkowa. Skrzypek stał zdębiały, trzymając się ręką za drętwy, nieogolony podbródek. Wierzył w obietnicę administratora, że go nie wyrzuci, daną mu na schodach, jak w przysięgę kościelną. Żyd-łajdak, ścierwo, drań, zadusić go mało — łopotał oszołomiony Skrzypek powiekami. — Teraz wszystko przebrane, nie wyrzucą już sąsiedzi nowego lokatora z mieszkania, żeby ich, Skrzypków, zpowrotem wsadzić — płaczliwie pociągała nosem Skrzypkowa. A Skrzypek nie mógł jej nawet powiedzieć, jaka ich nowa krzywda spotkała. Jak ich administrator oszukał. Baba głupia, gotowa sąsiadom opowiedzieć. Takiej krzywdy jeszcze nigdy w życiu nie doznał. O takich łajdactwach nie słyszał nawet — gryzł się. Opróżniona fura, skrzypiąc, zakręciła do bramy, siwa chabeta, ospale naciągając uprząż, puściła się rozbitym truchtem, za nią, czepiając się fury, małe Skrzypki z wrzaskiem.

Pokazała się para. Ona w sukiennem bronzem palcie z imitującym skunksa psem na kołnierzu, w niskim czarnym kapeluszu z czerwoną klamerką, w trzewikach, w szarych ręką-

wieczkach nicianych. Patrzyła przed się tuż z pod runda, tak nacisnęła kapelusz na czoło, niepewnie i wyzywająco. On wyglądał raczej na bogatego chłopca. Czarne spodnie miał wpuszczone w cholewy butów, zamiast palta kurtka bekieszowa z szamerowaniem. Kasztanowate wąsy sterczały na ceglastej, dobrze wypieczonej jak racuch skórze pod krótkim daszkiem maciejówki. Nie pytali o drogę, odrazu do sieni, do Skrzypkowego mieszkania. Nowe lokatory!

Na Skrzypków patrzyli oboje jak na wściekłe psy, nie udawali, że ich nie widzą, umyślnie, żeby Skrzypkowie nie myśleli, że jest się kogo bać. Rubin pobiegł do bramy, otworzył kluczykiem oszkloną skrzynkę z listą lokatorów, paznogciem zdrapał poślisk kartkę:

12. *Skrzypek Jan*
robotnik

papier nie puścił, zostało:

krzy ek Ja
botnik

i, wygniótlszy z tubki ziarno kleju na odwrot przygotowanej kartki, wkleił na podrapanego Skrzypka:

12. *Wojdychowski Antoni*
handlarz drobiem

Za Rubinem Skrzypek pokłówał, prawie na palcach stanął przed listą lokatorów: jak cmentarz. Był Skrzypek, niema Skrzypka.

— Panie administratorze — bąknął. Jeszcze nie wierzył, choć graty wyrzucone były na podwórko, choć nowi lokatorzy byli już w mieszkaniu z rzeczami.

— Niech mi głowy nie zawraca — sarknął Rubin.

— Pan administrator obiecał, że mnie nie wyrzuci.

— Była sprawa w sądzie? Jest eksmisja? Czego się Skrzypek czepia?

— Ja powiedziałem.

— Co mi Skrzypek powiedział? Nic nie pamiętam!

Słowa, które Skrzypek powiedział administratorowi wieczorem na schodach, nie chciały się powtórzyć. Administrator był tego odrazu pewien.

Skrzypek powałęsał się po bramie. Nie będzie na dworze gnić. Zaciśnął paska na spodniach i powłókł się do śródmieścia, do magistratu. Niech do baraków wezmą, choć to nadzieja próżna, bo miejsc dawno w barakach zabrakło, wciąż opowiadają ludzie, że tam coraz gorzej. Czy może być gorzej niż na dworze? — stękał Skrzypek. Dziurawe buty odrazu nasiąkły błotem i czuł, jak każdy palec oddzielnie wgniata się przy stąpieniu w ciastowatą brejkę, z początku zimną, potem nagrzała się trochę i nogi czuły tylko mięsisty w palcach chłodek.

W magistrackiej opiece społecznej napchało

się interesantów aż do utraty tchu. Czekanie było długie na schodach, na korytarzu, w kancelarji. To samo — sprawa o eksmisję w sądzie, podanie o przydział mieszkania w barakach. A już wyeksmitowanych też dobrych kilkudziesięciu. Różne wieki, od młodych, co wrócili z wojska i nie dostali roboty, od zredukowanych na glans, którym żadne sposoby na gospodarza nie pomogły, do szmelcu ludzkiego, pokręconych staruchów półgłuchych, półślepych, półparalityków. Postemplowani obrzękiem, czarniawą żółcią wyssanej skóry, suchą rzeźbą szczęk i kości policzkowych czekali w opowiadaniu o sprawie, gospodarzu, terminie, zaległościach.

Odpowiedź szybka, bez spojrzenia, pytania wszystkie te same.

— Miejsc w schroniskach miejskich niema wolnych. Pan przyjdzie za parę tygodni się dowiedzieć.

Na skrzywdzone rzucenie się urzędnik szpakowaty, z przedziałkiem:

— Nic więcej nie poradzę, zarejestrowałem — pokazywał na akta.

Kiedy interesant uderzył w krzyk, w awanturę, wszyscy milkli, a dyżurny posterunkowy wypychał krzyk na schody, często musiał wypychać na podwórze.

— Gnić mam na deszczu? — cicho spytał Skrzypek.

— Może rodzina pana przyjmie — —

— Na Powązkach mam rodzinę!

Kolejka gorzko uśmiechnęła się.

— Ale co ja teraz mam robić? — napierał.

— Powiedzieć panu krótko, zwyczajnie? — przebieadowsać — —

— Dzieci mi się pochorują przecie, małe dzieci, nie wytrzymają na słońcu.

— Nie pan jest jeden.

Skrzypek sam siebie złapał za klapy:

— Żdychać mi pan każe?

— Zarejestrowałem — odpowiedział obojętnie urzędnik — przepełnione są schroniska.

Duszną kulą zatkało Skrzypkowi gardło. Łykając boleśnie krótki oddech, próbował litości szukać. Skrzypkova powiedziała: proś, choćbyś na kolanach miał stać, po rękach całować, a wyproś, nie chcę tu konać.

— Panie, ja od dwóch lat bezrobotny. Inny może sytszy, prędzej wytrzyma, dzieci głodują, żona miesięczki z głodu nie ma — referent poruszył ramionami — mnie roztrzęsło, o, patrz pan — przełożył przez barjerę urzędnikowi pod twarz powęzłone, niezdarnie drgające ręce.

Ktoś pociągnął z tyłu Skrzypka za spodnie:

— Nie pomoże, on tylko rejestruje.

— To kto pomoże? — odwrócił się Skrzypek z pasją.

Nad referentem pochylił się już następny interesant. Skrzypek machnął ręką, każdego odchodzącego odprowadzała kolejka niecierpliwem podwinieciem warg.

Na schodach napatoczył się jegomość, zwa-
wo mrugający z pod zrośniętych nad nosem
brwi, wielkich jak mazaki do butów.

— Uważasz pan — zaszeptał pośpiechem do
Skrzypka — można do schroniska się dostać.

Skrzypek złapał go za ramię:

— Do śmierci za pana modlić się będę!

— Ja, panie, mam znajomości, duże znajo-
mości, kierownika znam w barakach, sam tam-
tejszy jestem mieszkaniem, pomógłbym czło-
wiekowi, widzę, potrzebującemu.

— No! — błagał Skrzypek.

— Nietrudno wogóle o barakowe mieszka-
nie, tylko że jedna szkopuła, no, rozumiesz pan,
kosztować trochę musi.

Skrzypek zimno się spocił:

— Ile? bo ja pieniędzy nie mam.

— Mały pieniądz, co tam, tylko trzydzieści
złotych od panaby się wzięło, niebogaty pan
widać jesteś — a na rozpaczliwy jęk Skrzypka
zamrugął szybciej — no, dla pana dwadzieścia
pięć złotych, przynieś pan jutro zadatek pod
magistrat, w południe będę czekał, pięć złotych.

Skrzypek trafił oczyma w niebieski mrugot,
pod latające powieki, w twarde jak odłamki
szkła źrenice.

— Nie kłamię, słowo honoru — położył mru-
gacz rękę na sercu.

— Ja pieniędzy nie mam, a ty łiesz, oszuku-
jesz, ścierwo, biednych ludzi — zgadł Skrzy-
pek.

Mrugacz cofnął się o zasięg ramienia i bez-
czelnie powiedział:

— ciszej, ciszej, panie ładny, niechno pan
się w słowach miarkuje, bo policaja zawołam.

Ale Skrzypek szedł już, nie oglądając się.
Minął przystanek tramwajowy, czekało parę
osób, serce biło mu nierówno, jakby kto zgnie-
cioną chustkę do nosa wcisnął za żebra i uwie-
rała. Zawrócił. Kilka razy mijał ten sam przy-
stanek. (Widział w dzieciństwie niedźwiedzia,
którego cygan prowadził na łańcuchu z kół-
kiem, przewleczonem przez przedziurawione
nozdrza; cygan pokazał swój koncert z nie-
dźwiedziem, a niedźwiedź telepał przed cyga-
nem tam i zpowrotem, wykrzywiając do siebie
pazurzaste płaskie łapy, telepał akurat tyle, ile
mu łańcuch pozwalał, raz dwa trzy wprawo,
raz dwa trzy zpowrotem, raz dwa trzy wlewo,
raz dwa trzy zpowrotem). Zdarł wreszcie czap-
kę z głowy i przysunął się do faceta, który czar-
nemi okularami nad niebiesko opudrowaną ja-
pą czytał gazetę.

— Bezrobotny jestem, eksmitowany — meł
prędko i niewyraźnie.

Okulary odwróciły się o ćwierć obrotu.
Skrzypek zaszedł je od twarzy, nadstawiając
wyfecowanej czapki. Okulary zrobiły parę nie-
chętnych kroków w bok, Skrzypek zrezygnował,
puścił okulary, stała tuż panna z czarną teczką.

— Bezrobotny jestem, eksmitowany — szło
już łatwiej.

Teczce znieruchomiały oczy nad Skrzypkiem, nad jego czapką i nachylonym zarośniętym rowkiem karku. Czekał, nie odpowiadała. Przesunął się do siwowłosego w szerokoskrzydłym kapeluszu i szerokofałdzistem, doczyszczonem palcie.

— Bezrobotny jestem, eksmitowany.

Siwowłosa, a włosy miał gęste i długie aż za uszy, wichrowate, wyciągnął portmonetkę, posuwał palcem między drobnymi i wrzucił monetę Skrzypkowi do czapki.

Tak był Skrzypek ciekaw ile, że między samochodami przebiegł na przeciwległy przystanek, oparł się o kute ogrodzenie skweru i zajrzał do czapki. Zupełnie nowa błyszcząca każdym brzeżkiem orzełka i okrągłym szlaczkiem napisu dwugroszówka. A bodaj cię piorun spał, kudło!

Usta krzywiły mu się ciemnym uśmieszkiem, toć już lepiej w nocy wziąć kogo za gardło, bez krzyku palto z grzbietu zedrzeć i na Kerdelaku sprzedać, prędzej na chleb będzie, niż z tych dwugroszówek, podrzucał monetkę na dłoni i wkońcu kupił za nią papierosa. Nikt go przecie nie widział, jak na przystanku z prośbą chodził. Nie wiedział, co w sądzie wypadło, połowa lokatorów siedzi na swojej sprawie, ani chybi więcej będzie takich jak on dzisiaj.

Ciągnął gwałtownie pamięć, jak dojarka krowie cycki, gdzie jaki pusty skład, rudera jaka, zamknięta dawno fabryka, dach jaki, ja-

ka osłona choćby dziurawa, choćby najgorsza, — dym papierosa, od którego odwykł, szczypał krótkimi igielkami w język i kołował słabą głowę — a wkońcu jamę wykopie w ziemi.

Na froncie żołnierz nieinaczej żył. Choćby ziemianki, co je Niemcy pobudowali. Trwała wojna lata, a ziemianka wytrzymała, tylko skąd desek wziąć?

Szpadel od Grocha się pożyczy, Skrzypek już po gospodarsku obliczał: desek jakich, papy na dach, choćby kraść miał, ale muszą być ściany i dach. Piecyk się z gliny ulepi i jakich cegieł, a rurę przez okno.

Pośmiewał się, aż spluwać musiał — taki pałac sobie wybuduje, że no! Przychodzić będą ludziska oglądać — pocieszał się — grób trza sobie przy życiu wykopać.

Obmyślił sobie miejsce. Na prywatnym placu odrazu wyrzucą go, ziemiankę zasypią. Terenów wolnych niedaleko Kwaśnej, Węglowej pod taką budową było tylko dwa — za cegielnią na śmietnisku i w bezpańskiej kotlinie koło budowanego domu magistrackiego pracy przymusowej. Ostatecznie na tyłach zaniedbanego cmentarzyska o poprzekrzywianych pomniczkach i krzyżach. Ale też od strony śmietniska.

Skrzypek minął Kwaśną, zapuścił się wgląb Węglowej, za stację, obszedł dokoła pagórek, na którym stał brudnowiśniowy, otoczony białym parkanem budynek magistracki, roz-

dziawiony czarnymi dziurami okien. Murarzy widać było na grzebieniu muru niewielu, zresztą Skrzypek ich nie szukał, i odrazu powędrował na śmietnisko za cegielnię.

Śmietnisko było rozległe, pofałdowane, powybrzuszane dawno zbutwiałemi, przeszukanemi przez wszystkich śmieciarzy, resztkami. Porozrzucane stare naczynia, miski bez den albo z dnami przeżartemi rakiem rdzy nawyłot, powygniatane nocniki, gliniane skorupy garnków, papierzyska zgniłe jak liść z przed dwóch jesieni, słoma śliska, strawiona pleśnią — na tem budować? Choć niebardzo śmierdziało przy niepogodzie.

Już jeżeli gdzie budować, kamienicznik będzie — chwalił się Skrzypek — to na zdrowem powietrzu, a nie przy tej gnojówce — włókł się, zawadzając nogami o rdzawe blachy, poczerniałe od slot, sam sobie wymyślał od durniów, że oglądał przymusowy dom — jakby mnie nawet prosili, tobym nie chciał koło arestantów. Tylko przy cmentarzu. Tam i drzewa duże, od biedy możnaby w nocy gałąź jedną, drugą nalewo, gdyby nie było do pieca.

Cmentarz zamknęła gmina przed laty, bo załudnił się, nie było gdzie chować, a i tak zbyt mały, by warto go było przewracać i chować w nicowanych mogiłach. Otoczony kamiennym murkiem na wzrost człowieka, pochyłym miejscami od starości. Możnaby — i tu sam Skrzypek poklepał się po gospodarnej

głowie — tylko dół przy murze wykopać, już przecie jedna ściana gotowa, a tam dalej —

Stał z głową zadartą ku nagim, zwężłonym konarom nad murkiem. Latem chłopaki z dziewczynami spotykali się na cmentarzu; bliżej strużki wąskiej i zarośniętej wodorostem, kupa kamieni nawalona koło muru pozwalała bez trudu przedostać się między groby, a i po drugiej stronie muru dwie płyty ze zwalonego pomnika tworzyły jakby mostek. Nie trzeba było nawet zeskakiwać na ziemię, można zwyczajnie przejść. Od miasta niedaleko, jakby się jaka robota wydarzyła, tam - zpowrotem jeden skok.

Przewiało go zimnem ze stania pod rozplaszczą gałęzi i krakaniem wron, zadowolonych na cmentarzu. W widłach konarów pełno było czapami osadzonych gniazd.

Kiedy przysiadł się zmordowany drogą do Skrzypkowej, opowiedział o swoich zamiarach budowniczkowskich, załamała ręce.

— Jak psy! — płakała.

— Powiesić się mam? Nie chcę — powtarzał z uporem — nie chcę, choćbym miał zdechnąć, to się nie dam.

Podwórko było puste, mieszkania wyciśnięte z lokatorów, wszyscy poszli na sprawę. Niejeden się dziwił, że takim piorunem termin trząsł. Skrzypek pukał palcem w czoło, nachylone nad kolanami: Rubin akurat taki dzień na eksmisję wybrał, kiedy dom będzie pusty, że-

by nikt z lokatorów nie przeszkodził. Ot, bestja, niezadarmo pieniądze bierze, żeby taki łeb mieć, toby człowiek nie siedział nad błotem, tylko nad zastawionym stołem.

Na pytanie Skrzypkowej: dokąd? odmruknął: do sądu. Nie potrafił usiedzieć, a nuż co w sądzie się wydarzy, może sędzia eksmisję wróci, łudził się bez przekonania.

W przedpokoju sądu grodzkiego ruch jak na bazarze w dzień handlowy. Skrzypek od razu spotkał Ulicznego z Fiutem, Urbańskiego, który się ciskał, że to świństwo tak długo ludzi trzymać, bo jemu ze szpitala dali zwolnienie tylko na trzy godziny, a tu do sprawy jeszcze diabli wiedzą jak długo.

— Wyeksmitował mnie dziś Rubin — zakomunikował Skrzypek.

— O swołocz — stęknął Urbański.

— Kombinator, czekał aż wszyscy się z domu wyniosą i uderzył na pewniaka — zastanawiał się Fiut.

Skrzypek, podniecony uwagą i pewny już teraz, że nikt nie dowiedział się o jego rozmowie z administratorem, dołożył:

— Już nic teraz nie pomoże, nowy lokator siedzi w mojem pomieszkaniu!

— Jak?!

— Ano, już się wprowadził.

— Czekajmy, co z nami będzie.

— Niedoczekanie ich! — zaciął zęby Fiut.

— Cztery tygodnie kozy za to, że nie mogę

więcej płacić, to im mało, jeszcze mają mnie na bruk wyrzucić.

— Miałeś czas zmądrzeć — odpowiedział Uliczny.

Niema pieniędzy na adwokata, a najmorda byłby może co poradził. Kręciło się ich kilku, łaskawie - zaaferowani, dobrze wygoleni, miękkoskórzy, a klienci, uczepieni ich twarzy: „panie mecenasie“ wciąż trysk-trysk do uczonego ucha adwokackiego. Między nimi był napewno adwokat Rapowicza. — Za kilkadziesiąt złotych wynajął sobie kamienicznik takiego majchra, który dobrze kłuje, nożowca w sztywnym kołnierzyku i lakierach — syczał Uliczny między Fiuta i Sałamatę — kropli krwi nie puści, a krew całą wypije.

— Gdzie wszyscy sąsiedzi? — zaciekał się Skrzypek.

— Na podwórzu czekają, tam deski leżą, to się porozsiadali. Woźny zawoła, kiedy wypadnie czas.

Z sali sądowej wyjrzał Koperszyk:

— Już.

Przez okno w sieni zawołali z podwórka sąsiadów, wtłoczyli się. Salka mała. Jedna ćwierć odgrodzona barjerką. Za barjerką stół na podwyższeniu, pokryty zielonem suknem, wyprztyknięty ponad barjerkę stołem akt i małym krucyfiksem. Sędzia w czarnym sutym płaszczu i z komorniczym łańcuchem na piersiach, młody, bardzo gładko wtył zaczesany, drobny,

przystojny mężczyzna czytał z akt, trzepie, nie zrozumiesz co.

Ledwo się po ławkach porozmieszczali, ławki jak w miejskim ogrodzie, tyle że na odwrocie oparcia białą olejną farbą machnięte:

S. G. XXXVIII. Nr. 7.

Na każdej ławce inny numer. — Ktoby chciał taką ławkę ukraść — pomyślał Uliczny.

Za sędziowskim stołem, zboku, ziewał, zasłaniając sobie usta, protokolant.

Przed barjerką dwa wysokie pulpity. Na lewym napis czarny na kartonie:

POWÓD
OSKARŻYCIEL

na prawym:

POZWANY
OSKARŻONY

Przy oskarżycielskim pulpicie krzątał się, otwierając tekę, adwokat, tak samo jak sędzia ubrany, tylko bez łańcucha. Wąsik miał czarny, malutki, dużą zapudrowaną po goleniu twarz i włosy, tak samo jak sędzia zaczesane, błyszczące, czarne, sędzia — jasny szatyn.

Uliczny rozglądał się po salce, prawie wszystkie znajome twarze. Na pierwszej ławce, nie patrząc wstecz, siedzi Rapowicz.

Pierwsza sprawa. Ludwik Rapowicz, adwo-

kat Bieniasz, pozwana Leokadja Jamioł. Łódzia obciągnęła palto, idąc do pulpitu.

— Dlaczego pani nie płaci komornego?

— Bezrobotna jestem.

— Wysoki sędzie — przerwał adwokat — pozwana pracuje.

— Kiedy roboty nie mam — zirytowała się Łódzia.

— Wysoki sędzie — napiął się adwokat — stwierdzam, a mam na to dowody, że chodzi tu o podstępne uchylanie się od płacenia ustawowego komornego. W posesji, w której pozwana jest lokatorką, rozwinięta została od dłuższego czasu agitacja za niepłaceniem komornego, usiłująca zmusić właściciela domu do zrezygnowania z połowy należnego mu na mocy ustawy czynszu. — Adwokat mówił pełnemi ustami, całą twarzą, ręką rąbał powietrze przed sobą. — Aczkolwiek nie jestem w posiadaniu dokumentu, niemniej jednak zostało stwierdzone, że pozwana wraz z większością lokatorów wzmiankowanej posesji podpisała żądanie obniżenia komornego do 50 procent, co bynajmniej — skrzywił się ironicznie do Łodzi — nie zostało przewidziane przez ustawę. Wnosić więc można, iż pozwana, zarobkująca krawieczyzną, a nie bezrobotna, jak twierdzi, że zły woli od dłuższego czasu nie wpłacała należnego czynszu, by w ten zgola przeciwny dobrym obyczajom sposób zmusić właściciela domu do nienależnych lokatorowi ustępstw.

Stwierdzając w całej rozciągłości złą wolę pozwaną, proszę wysoki sąd o nakazanie eksmisji.

Lodzia z obrzydzeniem słuchała gładko-jadowitego gadania, aż oczy wytrzeszczyła. Sędzia słuchał między adwokata i Lodzię, zakotwiczył orzechowe żrenice pod ślicznymi brwiami, nieruchomy, z nieznacznymi drgnięciami karku, jakby usypiał i budził się.

— Za ile miesięcy pani jest winna?

— Za pół roku.

— Może pani teraz zapłacić wszystko?

— Wszystko? — oburzyła się Lodzia. Tego nie bywało, żeby przy eksmisji wszystko sąd kazał płacić odrazu, zawsze rozkładać pozwał na raty.

— Czego się pani dziwi — zgał Lodzię sędzia — buntować przeciw właścicielowi domu pani umie, a płacić pani nie chce. Zapłaci pani czy nie?

— Mogę za miesiąc, a resztę ratami.

— Jakimi ratami?

— Małemi.

— No, więc ile, proszę pani?

Lodzia zawahała się: — dziesięć złotych miesięcznie.

— Nie, to za mało, co miesiąc dwutygodniowe komorne.

— Nie poradzę, panie sędzio.

— Pani jest wolna. Sąd wyrok ogłosi dnia piątego bieżącego miesiąca.

Zaczerwieniona Lodzia wróciła między Leona i Urbańskiego.

Przy pulpicie zmienił Lodzię Kopersztyk:

— Winien jestem za trzy miesiące, na lichwiarski procent złodziejski pożyczylem i zapłacę, choć widzi pan sędzia, nie mam z czego.

— Więc polubownie?

Adwokat uklonił się sędziemu, fałdy togi, marszczonej na grzbiecie, złamały się atlasowo. Kopersztyk tłumaczył się na ławce szeptem przed Ulicznym:

— Sam pan widział, Lodzia ma eksmisję, jak nie zapłacę, to gdzie się podzieję?

— Dobrze, dobrze — nieuważnie odpowiedział Uliczny, patrząc na Fiuta, który nierówno przyglądał sobie włosy przed sędzią.

— Ile pan jest winien?

— Trzysta byłbym winien, ale za trzy miesiące posłałem gospodarzowi pocztą. Kwity mam na to.

— Nowe metody — sędziemu okrzepł głos — pan jest obowiązany płacić tyle, ile wynosi czynsz. Zapłaci pan?

— Wysoki sądzie — na pewny, otwarty głos adwokata wszyscy przerzucili się oczyma do oskarżycielskiego pulpitu — jestem w posiadaniu odpisu wyroku na pozwanego za podżeganie do niepłacenia komornego. Pozwany odbył karę miesięcznego aresztu. Wnoszę o eksmisję.

— Że ja miałem areszt, to pana adwokata

nic nie obchodzi. Proszę sąd o rozłożenie długu na raty.

— Nie, wszystko musi pan zapłacić odrazu. to znaczy w ciągu tygodnia.

— Z czego, wysoki sędzie? bezrobotny jestem — Fiut dobył z kieszeni zaświadczenie puppowskie, sędzia odchylił je ręką:

— Przecież na zaświadczeniu wyraźnie zaznaczone, że nie może służyć za dowód braku pracy.

— Stempel jest, panie sędzio, formalny.

Sędzia uciał:

— Płaci pan czy nie?

— Ratami mogę.

— Sąd wyrok ogłosi dnia piątego bieżącego miesiąca.

Fiut chwilę jeszcze stał przy pulpicie, jakby czekał na zmianę decyzji, obrócił głowę na adwokata, czeka, adwokat patrzył zmarszczonym czołem nad głową Fiuta na szyby okienne zapocone od deszczu. Fiut ciężko odchodzi.

Z Tygielszajnem poszło krócej. Prosi o rozłożenie na raty.

— Jakie raty?

— Po dziesięć złotych miesięcznie.

Adwokat uśmiechał się:

— Wysoki sędzie, pozwany chce rozłożyć na sześćdziesiąt miesięcy.

— Żarty pan sobie z sądu stroi — zdenerwował się sędzia.

— Nie żartuję, wysoki sędzie, ojciec bezrobotny, ja bezrobotny.

— To skąd pan te dziesięć złotych weźmie? — wziął sędzia pod światło propozycję Tygielszajna.

— Marynarkę sprzedam.

Adwokat rozżłościł się.

— Proszę o wniesienie odpowiedzi pozwanego do protokołu, strona przeciwna pozwala sobie na drwiny!

Zimną twarzą, z opuszczonemi kątami warg, wypiętych wściekłością, Tygielszajn spytał adwokata:

— Pan jeszcze nigdy z biedy ubrania nie sprzedawał?

Adwokatowi polatuje głowa jak od pstryknięcia w nos, nie zdążył odpowiedzieć.

— Sąd wyrok ogłosi piątego bieżącego miesiąca.

Sędzia otworzył kolejną teczkę akt, szeleszczą papiery i kroki. Uliczny odwrócił się: na palcach wszedł do pomieszczenia Rubin, nawet rękami wymachiwał, by podłoga pod nim nie zaskrzypiała, przysiadł się do Rapowicza. Otarł czoło chustką, przechylił się nad kamienicznikiem i szepce. Rapowicz uściśnął mu dłoń.

— Ile pan jest winien? — zabrał się sędzia do Porady.

— Nie pamiętam.

— Jak to możliwe? — sędzia aż piersią nasunął się na zielone sukno.

— A możliwe. Jak nie mam czem zapłacić, to nie liczę ile — zastanowił się, zmarszczył — no, chyba za rok.

— Upominał się gospodarz o komorne?

Porada się śmieje:

— Słyszał wysoki sąd o kamieniczniku, coby się nie upominał?

Sędzia podrzucił piersią, aż plecami uderzył o poręcz fotela:

— Proszę się przyzwocie wyrażać, sąd nie zna wyrazu: kamienicznik. Ma pan mówić: gospodarz albo właściciel domu.

— Jak się wysokiemu sądowi podoba.

— Proszę bez dowcipów!

— Jak wysoki sąd uważa.

Adwokat z ironicznem współczuciem pochyłał głowę i przymykał oczy przy każdej odpowiedzi Porady.

— Więc ostatecznie, ile pan jest winien gospodarzowi?

— Czterysta dwadzieścia złotych — podpowiedział adwokat.

— Pan adwokat najlepiej wie.

— Zapłaci pan całą zaległość? — tarł sędzia mechanicznie.

— Proszę mi rozłożyć na raty.

— Jakie?

— Miesięcznie... — wytrzymał Porada chwilę — z jakie pięć złotych. Na więcej mnie nie stać.

Sędzia strzepnął wargami:

— Na siedem lat chce pan sobie spłaty zrobić. A pan rozłożyłby swemu dłużnikowi dług na siedem lat?

— Jak komu, wysoki sędzie. Kamienicznikowi, znaczy chciałem powiedzieć gospodarzowi, tobym nie rozłożył — —

— Wysoki sędzie — adwokackie słowa stuknęły jak kula, uderzająca w kręgle — w zachowaniu pozwanego, w całym jego stosunku do wytoczonej mu sprawy widać jak najwyraźniej skutki demoralizacji, szerzonej w posesji, której właściciela interesy reprezentuję. Zimny cynizm, z jakim pozwany traktuje swe zobowiązania względem właściciela domu, a przecież społeczeństwo, zdrowe społeczeństwo żąda, aby wszelkie umowy były dotrzymywane, ten zimny cynizm świadczy o tem, że gdyby nawet właściciel domu był zgodził się na nieprawdopodobne warunki spłaty, proponowane przez pozwanego, to i tak pozwany nie byłby się wywiązał należycie ze swych przyrzeczeń. Nie możemy mieć żadnego zaufania ani do propozycji, ani do obietnic pozwanego. Proszę o eksmisję.

Kobieta, owinięta w kraciastą chustkę, wysoka, o bladej, rozlanej szeroko ku dołowi twarzy westchnęła tak głośno, że wszyscy się obejrzelikawie.

— Wysoki sędzie — upomniał się Porada — pan adwokat gospodarski pięknie mówi, a mnie się krzywdza stała. Ile razy ja musiałem mieszkanie sam odnawiać, stolarz jestem, to i podłogi

reperować, a mnie administrator remontu nie chciał zrobić. Niech wysoki sąd powie, czy mi się remont nie należał? Od wojny remontu nie było!

Fiut złapał Ulicznego za udo:

— Ładnie mu podjechał, co?

— Nie śpiesz się.

Sędzia przesunął się na siedzisku fotela:

— Zwracał się pan do właściciela domu w tej sprawie?

— Mówiłem, to mi odpowiadali, że jak w większych, niby droższych mieszkaniach remontu się nie robi, to czego my możemy chcieć.

— Kto: my?

— Lokatorzy małych mieszkań.

— Niech pan mówi sam za siebie.

— Wysoki sąd zechce zważyć — ostrożnie uderzył adwokat po tece — że pozwany wyszukuje nowe, a zupełnie nieistotne dla sprawy momenty, usiłując środek ciężkości przesunąć na remont, podczas gdy przed kilkoma minutami słyszeliśmy tu wszyscy, że komornego nie płacił jakoby z powodu niemożności płacenia. Ten podstęp jest zbyt przejrzysty — —

— Sam pan adwokat jest zbyt przejrzysty — odciął się Porada.

Sędzia przywołał go do porządku:

— Zapłaci pan w ciągu tego tygodnia zaległość?

— Tylko na raty mogę!

— Sąd ogłosi wyrok dnia piątego bieżącego miesiąca.

Adwokat zmęczył się już, osowiałym wzrokiem ciągnął po publice, porozumiewawczo uśmiechał się do Rapowicza z Rubinem. Przed sędziowską barjerką wywołana z kolejnej teczki akt stanęła Sura Klapka, Czarna Sura, ledwo peruką i garbem dostając do poziomu pulpitu.

Winna za sześć miesięcy, prosi o raty. Może zaraz zapłacić za miesiąc i co miesiąc za pół miesiąca komornego. Sędzia przystał, adwokat się zgodził. Czarna Sura smarcze długim płaskogrzbiętym nosem w brudną chusteczkę i zadowolona odchodzi do córek, siedzących na ostatniej ławce — co jaby biedna wdowa zrobiła? — mówi cicho do sąsiadów — tak to ja też nie wiem, skąd zapłacę, pieniądze, pieniądze, zato głowę mam już spokojniejszą. — Przyglądał się jej ironicznie dorastający chłopak z czapką szkoły technicznej ściśniętą na kolanach.

Urbański zaczął mleć swoje żale przed sędzią, nie daje mu nawet czasu na sakramentalne pytanie eksmisyjne o wysokość długu:

— Ja, proszę sądu, pracownik miejski jestem, posługaczem przy szpitalu i, proszę sądu, za trzy miesiące pensji nie mam zapłacone. Z czego mam gospodarza zapłacić, panie sędzio, kiedy mi żona i dziecko jeść wołają? Mówi ten gospodarz, że on też głodny — Urbański prychnął pogardliwie — to ja na mój rozum powiadam, je-

żeli on głodny ten gospodarz i ja głodny z rodziną, to kto więcej głodny, wysoki sędzie, takie ja mam pytanie? Czy ja mówię, że ja nie chcę płacić czy co? Niech mnie zapłaci, to i ja zapłacę. I takim prawem nie powinien się mnie gospodarz czepiać, niech pan sędzia sam sprawiedliwie rozsądzi — Urbański złapał oddech i trzepał dalej — niema sprawiedliwości na świecie, w szpitalu widzę, nie chcą chorych przyjmować, jak który pieniędzy nie ma, a i jeść dają coraz gorzej tym chorym, przecie sam widzę. Za jakie grzechy, panie sędzio? — sędzia nieskutecznie przerywał mu. — Zaco mnie gospodarz eksmisją grozi, że szesnaście lat w jednym domu mieszkam i komorne płaciłem! Tyle czasu mogłem, a teraz nie mogę. Nie moja wina, tylko świat już taki się zrobił kryzysowy —

— Zgadza się pan zapłacić zaległe komorne? — wstawił wreszcie sędzia.

— Zgadzam się.

Sędzia podnosi brwi: więc poco tyle gadania?

— Zaraz pan zapłaci?

— Abo ja zaraz mam? Zapłacę jak będę miał.

— Ale kiedy — niecierpliwił się sędzia — dziś, jutro, za miesiąc?

— Żebym ja wiedział kiedy! Za miesiąc zapłacę od razu po pierwszej pensji.

Adwokat podchwycił.

— Pozwany wyraźnie chce uniknąć dokładnej odpowiedzi. Wysoki sąd zauważył już za-

pewne przy poprzednich sprawach to unikanie przez pozwanych konkretnej odpowiedzi. Wysoki sąd posiada tak wielkie — adwokat zgiął się przed barjerką — doświadczenie w tego rodzaju sprawach. Toć jasną jest rzeczą, że pozwany zapłacić nie chce. Lojalnie przyznam, że może zapłacić nie jest w stanie, ale to wszak w obliczu prawa nie wchodzi w rachubę. Dobra wola nie jest przecie w stanie zastąpić uregulowania należności. Wnoszę wobec tego o eksmisję.

Sędzia zdecydował:

— Połowę zapłaci pan od razu, a resztę sąd rozłoży na dwanaście rat. Zgadza się pan?

Urbański aż przytupnął nogą:

— Zgadzam się. Tylko z czego ja zapłacę? Wysoki sąd chce, żebym wziął spluwę i na ciemną ulicę wyszedł?

Sędzia nie przejął się groźbą, nie pierwszą:

— Sąd wyrok ogłosi dnia piątego bieżącego miesiąca.

Kiedy sędzia otworzył akta, Sałamata wróżył sobie pocichu: — jeżeli Uliczny pierwszy, to wyeksmitują, a jak pierwszy ja — dobry znak.

Dobry znak wypadł Sałamacie. Uliczny został na ostatniego.

— Za ile miesięcy pan jest winien?

— Ja, wysoki sędzie — z godnością zaczął Sałamata — nic nie byłbym winien. Wykwalfikowany robotnik jestem.

— To dla sądu jest obojętne.

— Ale, wysoki sędzie, musi przecie w społeczeństwie być sprawiedliwość, jakby sprawiedliwości nie było, to co my ludzie mielibyśmy do wygrania? Ja, proszę wysokiego sądu, pracuję tylko trzy dni albo i te dwa dni w tygodniu, czy mi fabrykant zapłaci za cały tydzień? Nie zapłaci. I wedle tej możliwości ja też mogę zapłacić tylko jak mi z pensji wypada, niby tylko za trzy albo i dwa dni mieszkania. Rachunek już taki wychodzi. Sprawiedliwy.

— To niech pozwany mieszka tylko dwa albo trzy dni w wynajmowanym mieszkaniu, tyle ile płaci — zakpił adwokat.

Sędzia nie powstrzymał uśmiechu i bębniastoczoły protokółant pokazał dziąsła swoim papierzyskom.

— Jakby tak było, jak chce pan adwokat, to by nie był dom tylko hotel — obronił się Sałamata — ja o sprawiedliwości mówię. Za komorne płaciłem jak tylko mogłem, nazbierało się za parę miesięcy, ale teraz nie poradzę, wysoki sędzie.

— To nie jest istotne dla sprawy. Chce pan uregulować należność?

— Chcę, chcę, wysoki sędzie, tylko nie mogę. Dlatego do wysokiego sądu jako do trybunału sprawiedliwości się zwracam o uwagę na mój stan kryzysowy. Bo jak pracującej klasy sprawiedliwość nie obroni — —

Buknęło coś na ławach publiczności. Sędzia

poszukał oczami: kto, szukał protokółant, nawet adwokat półbokiem stanął i macał winowajcę.

Sałamata łamiącym się głosem brnął dalej:

— — kiedy fabrykant złamie umowę z robotnikami, to może naturalnie strajk wybuchnąć, ale sąd musi — —

— Proszę do rzeczy!

— Ja do rzeczy! — obraził się Sałamata — tylko powiem, że jak sąd pracującego człowieka nie obroni, to co robotnikowi po takim sądzie!

— Dość już tego! Zapłaci pan połowę należności odrazu, to drugą sąd panu rozłoży na raty.

— Wysoki sędzie — krzyknął rozpaczliwie Sałamata, aż publiczność się poruszyła — przecie powiadam, że trzy dni w tygodniu pracuję! Skąd wezmę?

— Pozwany argumentuje w ten sam cyniczny sposób, co i większość pozwanych w poprzednich sprawach — walił sprawnie adwokat po rozżalonym Sałamacie — jakoby właściciel domu obowiązany był trzymać się jakże zmiennych zarobków swoich lokatorów. A może z czynszów komornianych właściciel domu buduje nowe domy, dając w ten sposób i zamówienia dla przemysłu, i wiele nowych mieszkań ludności miasta! A może też, nie, nie będę wyliczał argumentów, tak dobrze znanych wysokiemu sądowi. Wnoszę o przyznanie eksmisji.

— Sąd ogłosi wyrok dnia piątego bieżącego miesiąca.

Nie udała się wróżba. Uliczny uwolnił dla Sałamaty miejsce, klepnął go w przelocie po ramieniu — tak, towarzyszu kochany — i poszedł przed barjerkę.

— Chcę odrazu zaznaczyć, wysoki sędzie, że pozwany odbył już karę aresztu z wyroku sądu starościńskiego — wybiegł adwokat przed pierwsze pytania sędziowskie — za podżeganie lokatorów do niepłacenia komornego — —

— A co to pański interes?

— Proszę zwracać się do mnie, nie do przeciwniej strony — osadził Ulicznego sędzia — i proszę liczyć się ze słowami. Upominał się gospodarz o komorne?

— Tak, ale ja jestem bezrobotny. Czytałem gazety, że niby bezrobotnych ma bronić ustawa przed eksmisjami. Ja wszystkie papiery mam w porządku, jak się tego wymaga. Nawet czytałem, magistrat wszystkich wzywał, co im eksmisja grozi, żeby przychodzili się radzić. Niby, widziało mi się, akcja magistracka przeciw kamienicznikom — —

— właścicielom domów — zaakcentował sędzia.

— właścicielom domów — powtórzył Uliczny — i poszedłem tam popatrzeć, jak to magistrat chce zmusić właścicieli domów, żeby nie wyrzucali bezrobotnych lokatorów. No i mam wszystkie papiery, proszę — wydobył z zana-drza.

— Owszem, wysoki sędzie — zgodził się ad-

wokat — zrozumiała jest rzeczą, że samorząd miejski próbuje ciężar wyszukania dachu nad głową dla mieszkańców, dachu tego pozbawionych, przerzucić na barki właścicieli domów, w czym nawet ustawa przychodzi mu z pomocą. Z drugiej jednakże strony, uwzględniając interes właściciela domu, który z oprocentowania inwestowanego w swoim czasie w nieruchomość kapitału żyje, interes jego, powiadam, wymaga, aby oprocentowanie to wpływało we właściwym czasie i w całości. Posiadanie własności nieruchomej nie jest i nie może być filantropją, i to wymuszona filantropją. Ale gdyby nawet! Wysoki sędzie! proszę wziąć pod uwagę, że lokatorzy dzielą się na dwie kategorie. Lojalnych i uciążliwych. Nie mówię o uciążliwości tego typu, jak hałaśliwe zachowanie po godzinie policyjnej, wysoki sąd zna wszak te wypadki, lecz o uciążliwości znacznie niebezpieczniejszej, o uciążliwości społecznej. Krótko: pozwany, nie sam zresztą, ale najczynniejszy zpośród lokatorów, odmawiających płacenia komornego, podburzał całą okolicę do czynów przeciwnych zarówno dobrym obyczajom jak i prawu. Właściciel domu ma prawo żądać usunięcia takiego lokatora, który przeciwko niemu, właścicielowi, występuje. Sąd starościński fakt uciążliwości społecznej pozwanego stwierdził niezbicie. A skoro pozwany czynnie, zarówno ustnie jak i pisemnie zapomocą rozpowszechniania ulotek, przeciw gospodarzowi wystąpił, ma gospodarz

moralne oparcie w swem poczuciu zagrożonej prawości, by żądać usunięcia jednostki, działającej na szkodę moralności publicznej, z lokalu, stanowiącego własność powoda. Wnoszę o przyznanie eksmisji.

Sędzia kazał załączyć do akt odpis wyroku sądu starościńskiego, przybitego pięćdziesięciogroszowym znaczkiem stemplowym. Uliczny, wyparty z kręgu sędziowskiej uwagi przez adwokata, wtargnął:

— Lojalny, nielojalny, mówi pan adwokat. Ano, każdy śpiewa tak jak umie. Ja tu słyszałem, jak ktoś do sądu dobrze powiedział o sprawiedliwości — Sałamata zasuwał się niespokojnie na ławce — jaka sprawiedliwość? Lokator swojego życia ustąpić nie chce! Wiadoma rzecz — nastroszył ryżawą czapierz wąsów — eksmisja dziś to jak człowieka do zimnej Wisły wrzucić. I nikt nie chce się dać. Gospodarz ma jeden interes, a lokator ma drugi.

— Ale podburzać nie wolno — twardo powiedział sędzia.

— Jak gospodarz mówi, że nie wolno obniżać komornego, to też jest podburzanie, wysoki sędzie. Tylko kiedy kamienicznicy podburzają, to im wolno, bo są w prawie, a lokatorom —

— Za dużo już tego dobrego, tu nie wiec — przerwał sędzia — sąd wyrok ogłosi dnia piątego bieżącego miesiąca.

Serja kwaśniackich spraw o eksmisję skończyła się. Kiedy Kwaśna wyszła, sądowa salka opu-

stoszała, zostało ledwie ze trzy osoby. A i te ruszyły. Ostatnia para, Rapowicz z Rubinem, dopadła adwokata przy balkonie poczekalni.

— Jak pan myśli, panie mecenasie, wszyscy? — dopytywał się Rapowicz. Adwokat potrząsnął trąbiastemi rękawami togi:

— Póki wyroku nie będzie, nic pewnego powiedzieć nie można, sam pan widział, że szanse mamy bardzo duże. A starościński wyrok przydał się, o, bardzo. Niespokojny dom rzeczywiście, proszę panów, do administracji.

Rapowicz i Rubin skinęli jednomyślnie. Adwokatowi się spieszyło. Zrzucając z ramion togę, przypuszczał, że do apelacji nie dojdzie:

— Dla tego prostego powodu, łaskawy panie, że koszty są dość znaczne jak na tego rodzaju lokatorów — pożegnał się — do sądu okręgowego jeszcze muszę.

Schodząc po brudnych schodach, na pomoście obrzydzeniem przejęła go olbrzymia blaszana spluwaczka, pełna żółtych niedopałków, Rapowicz obliczał przed uważnym Rubinem:

— Tak na oko przypuszczam, że sąd da termin do ostatecznej wyprowadzki miesięczny albo sześciotygodniowy. To trochę kasę podreperuje, nie, panie Rubin? Choć zaległe komorne djabli wezmą, ale z odstępnego zato, no, nie chcę za dobrze obliczać, parę tysięcy. Lokatorów dobrałoby się już odpowiednich, nie takich łapserdaków.

— Mam już amatorów.

Na pierwszym piętrze spluwaczka mała, też trójkątna i też pełna żółtych niedopałków. Przed tabliczką, uczeponą na filongu drzwi, Rapowicz przystanął. Przeczytał czarną emalję: „Biuro pisania próśb. Przepisywanie na maszynie. Czynne codzień prócz niedziel i świąt od godz. 8-ej do 16-ej“.

— Ciekaw jestem, ile ten pokątny doradca zapłacił za swoje mieszkanie —

— Złota kopalnia — zgodził się Rubin.

— Nie zwróciłem uwagi — dociekał Rapowicz — ale to biuro już musi długo egzystować, chyba od czasu kiedy sąd się tu wprowadził.

— Znam właściciela. On tu siedzi z dzieś się lat.

— Powiedz pan, jaki to magnes — filozofował Rapowicz — gdyby od takiego biura gospodarz zażądał za dwa pokoje z kuchnią z dzieś się tysięcy złotych? Tylko że niktby tyle nie dał w dzisiejszych czasach, napewno nie —

— Marny domek — uznali obydwaj, wyszedłszy na podwórko — tylko front i kawałek bocznej oficyny. — Ocenianie cudzych domów, obliczanie prawdopodobnego dochodu było przyzwyczajeniem, urozmaicającym każdą drogę.

W bramie stali jeszcze kwaśniacy. Tego się Rapowicz nie spodziewał. Rubin wysunął się przed niego. Lokatorzy pękli szczeliną akurat natyle, aby administrator musiał się przeciskać. Szczelina rozstępu zamknęła się przed kamie-

nicznikiem. Poczuł ucisk w dołku i cicho powiedział: przepraszam. Nad ramieniem Łodzi widział na ulicy Rubina, który czekał, sądząc, że Rapowicz zatrzymał się dobrowolnie.

— Przepraszam — powtórzył cicho.

— Poczekaj pan z nami chwileczkę!

— O co państwu chodzi?

— Że pan razem ze swoim sądem bracia jesteście — upominał go Sałamata — jak wszyscy kapitaliści!

Rapowicz uspokoił się, lokatorzy nie wygrazali, pouragają i pójda.

— Przecie sam sąd eksmisje daje, do sądu możecie mieć państwo pretensję. Każdy musi dbać o siebie. Mnie też nikt nie da zadarmo.

— Nie pieprz pan, już my to na pamięć umiemy! Sędzia nas nauczył — cierpko wtrącił Uliczny — lepiej daj pan wogóle spokój!

— grożą! — szarpnęła Rapowicza wątroba — krzyknąć po Rubina na pomoc, na świadka? — i nie krzyknął.

— To się źle skończy — zapowiedział Sałamata.

Urbański podsunął Rapowiczowi pięść pod oczy, aż się przymknęły, koścista, łopaciasta, w węzełkach żył i kępkach rzadkich włosów: — powąchaj!

Rapowicz krzyknął: — Rubin! — w tej samej chwili, tego Rapowicz już nie widział, Fiut płaskim uderzeniem dłoni wbił mu kapelusz na twarz, a Porada dał kopniaka niżej krzyża. Ra-

powicz potoczył się, uderzył o brzuch administratora. Nim się uporali z kapeluszem i nerwowym wstrząsem kamieniczniczej wątroby, kwaśniacy rozeszli się.

— Widzi pan jaki to bandycki element — uspokajał Rapowicza administrator.

— Zawołać dorożkę? taksówkę?

— Nie, nie, przejdę się, odetchnę — rozglądał się po ulicy, lokatorów już zwiało.

Administrator przystosował krok do powolności gospodarza, szurali kaloszami po cienkim błotku, powlekającym spękane flizy chodnika. Deszcz przestał padać, ale wisiała w powietrzu wilgoć dotykalna jak sukno, gotowa każdej chwili chlapnąć gościem. Na bezludnym odcinku ulicy było czem bezkłopotnie odetchnąć, choć pogodę czuć było katarami, grypą i wskazaniem leżeniem w łóżku po szklance naparu z suszonych malin.

— Nie chcę być złym prorokiem — mówił Rubin, szyja mu się z trudem wykręcała — my z tą eksmisją będziemy mieli zmartwienie. Trudna rzecz. Trzeba mieć zdrowie do takich bandytów —

— Nie słucham, nie słucham — zasłonił Rapowicz uszy, ale dłońmi natrafił niezręcznie na rondo kapelusza — to pańska sprawa!

— No tak, ale ciężka sprawa. Oni się będą sprzeciwiać, widać odrazu.

Bezczelność — myślał Rapowicz — jeszcze takie kłopoty! Od czego ma się administrato-

ra? — Powiedział głośno: — W tych stronach wszędzie tak samo. Byłem parę dni temu w „Stowarzyszeniu“, opowiadają straszne rzeczy, bunt lokatorów i bunt. Aż właściciele boją się przychodzić do swoich domów.

— To samo słyszałem w związku administratorów.

— Gorsze od epidemji — —

— Całe szczęście, że starostwo się zajmuje. Mam plan na eksmisję. Tylko dostajemy wyroki, zaraz lecę do komisarjatu i zamawiam na ten dzień opiekę. Oni już tam wiedzą, tych dwóch, no Ulicznego i Fiuta trzymali przecie. Komisarzowi samemu na opinji zależy, że on sobie daje radę z buntami, myśli pan że nie? jeszcze jak! Opowiedzieć mu wszystkie szczegóły, to on i dziesięciu policjantów na ten dzień w podwórzu postawi.

— Niech pan robi, co potrzeba, nic nie chcę o tem słyszeć, dość już zdrowia straciłem przy tym domu — odezwał się Rapowicz i łagodnie dodał: — co się znów wynajęcia tyczy, wydrukujecie ogłoszenia w gazetach, że od gospodarza siedem lokali jedno i dwupokojowych z kuchniami do wynajęcia.

— Remontu będą chcieli.

— Remont to grosze. I kto mi każe robić kapitalny? Wystarczy odnowić.

— Wystarczy.

Ulica zwięzła się, ruch wzmógł odrazu, im bliżej bazaru, tem gościem pchali się ludzie.

Z mieszkalnych sklepików, zatłoczonych rzemieślniczymi warsztatami i drobnym handlem, pootwieranych mimo jesienną flagę, wełniło się parą i wrzawą. Na wypiętej placykiem jezdni stragany pod nakryciem worków, kawałków plandeki i dykty sprzedawały warzywa, tanie słodyczne, gorące dania z opatrzonych ciepło i nakrytych kociołków. Kręciły się ruletki cukierkowe, czekoladowe loteryjki wywoływały wygrane numery i sucho w grze sypały się kości z kubków.

Za bazarem pół jezdni zapchane ciekawymi. Z każdego rękawa wyłaziła pięciopalczysta dłoń, gotowa prasać po kapeluszu, ale Rapowicz przełamał nerwy. Na samej krawędzi chodnika stała niestara jeszcze kobieta w chustce narzuconej na ramiona, w brązowej spódnicy, w wysokich botach, mocno błyszczących, jak polanych wodą.

— I czego się pani mnie czepiasz? — wymyślał jej podrażniony przechodzień.

— Abo pan powiadasz, że ja się rozkładam na trotuarze.

— Powiedziałem, bo to prawda. — Złość mieszała się w nim z rozbawieniem.

— Wstydz się pan, już dorosły, a nie wie, jak się kobieta rozkłada, o, tak się to robi, kiedy pan nie wie — odchyliła się naraz wtył, nie zmieniając pozycji rozstawionych nóg. Wypiętym brzuchem podała piersi wstecz, jakby padając na poduszkę, i odstawiła uchami wparte

w boki ręce. Padanie torsu urwała tuż przed utratą równowagi. — Tak się rozkłada — zmrużyła oko, podczernione sino nad plastrami różu na policzkach.

— Ma pani rację — pragnął się odczepić.

— Nie, nie, jeszcze pokażę, bo pan zapomni — i znów powtórzyła swoją serję z padaniem, przerwanem w ostatnin., do końca wytrzymanym momencie.

— A idźżeż pani do kogo innego z tem rozkładaniem, ja na dziś nie amator. — Za rękaw pociągnęła go dziewczyna w kapeluszu:

— Pluń jej w gały, w biały dzień zaczepia, widzi że sam nie jesteś!

— O, jaka ważna, hrabini! — zaszydziła kobieta w chustce i poszła wślad za wycofującą się parą.

— Wesole dziewczę — zauważył Rubin.

— Tak, tak, tak — przejechał Rapowicz po widzianem — przypomniałem sobie. Oprócz ogłoszenia w gazetach przygotowuje pan też kartkę do naklejenia na bramie. Wyliczy pan wszystkie lokale pokolei, za numerami, pokój z kuchnią na parterze, na pierwszym piętrze, dwa pokoje z kuchnią i tede. Zupełnie jak przed wojną — zakończył lirycznie.

Na rogu twarzą do nich stała ta sama prostytutka w chustce. Ruszyła naprzeciw.

— Pójdiesz, kotku? — zapytała, ocierając się w przelocie ramieniem, wypukłem pod chu-

stką, o rękę Rapowicza. Zmieszał się i przyspieszył kroku.

— Odczep się, ździero — odwrócił się do niej Rubin.

— Jabym z tobą i za dziesięć złotych nie poszła, łobuzie! — pokrzykiwała za nimi.

— Jakie ordynarne strony — narzekał Rubin, zadowolony ze zmieszania Rapowicza — w biały dzień nie dają spokoju.

— To samo mówiła dziewczyna do swojego chłopaka — zdziwił się Rapowicz i uczeplił ogłoszenia:

— Na bramie pan naklei duże, żeby odrazu było widoczne. Fojstygierowi niech pan nie zapomni powiedzieć, że jak się nie zabierze do płacenia, to go do sądu podam. Raz na zawsze doprowadzę ten dom do porządku.

Przy tramwajowym przystanku pożegnali się. Patrząc na odsuwające się plecy administratora, poczuł naraz Rapowicz samotność, zrobiło mu się tkliwie i potno, jeszcze raz spadła w pamięci czyjaś dłoń na kapelusz, aż ścisnęło skronie — kopniak gdzieś się zapodział. Chciał Rapowicz kogo znajomego spotkać.

— Jakiż świat jest twardy.

Wsiadając do tramwaju, mocno ujął za boczną poręczkę: sznurek smołowany, ściśle okręcony dokoła metalowej sztabki. Między przestawieniem nogi ze stopnia na pomost zacisnął szczerzej rękę na poręczce. Była szorstka i współczująca.

VIII.

Od znajomego woźnicy pożyczył Kuropatwa furki. Ruina już prawie, buro-popielatym pyłem usmarowana, wyschłem błotem. Zaprzęgli się w nią, przymajstrowawszy parę sznurów, Uliczny, Skrzypek, Kuropatwa, Porada. Tygielszajna nie było, zdarza się szczęście w nie-szczęściu, stary Tygielszajn umarł, zadusiło go astmą na dwa dni przed eksmisją; ciała nie zdążyła jeszcze rodzina pochować, bo pieniędzy nie miała na pogrzeb — zarząd cmentarza nie chciał grobu dać zadarmo — więc Tygielszajnowi narazie zostawiono w mieszkaniu z trupem. Zatańczyli furkę na podwórze. Pod oknem Sobotkowej kuchni przechadzał się wciąż posterunkowy z paskiem pod brodą, od bramy wzdłuż rynsztoka do sieni i zpowrotem, granatowe wahało.

Na skrzyżowaniu Węglowej i Kwaśnej, gdzie nigdy nie regulowano ruchu, stał od dwóch dni, od chwili eksmisji drugi posterunkowy z białym mankietem na prawej ręce i pałką normował słaby przepływ wozów.

Eksmitowani poustawiali graty przy rzeczach Skrzypków, przy ławeczce rapowiczowskiej pod akacją. Każde gospodarstwo oddzielnie, Porada urządził nawet coś w rodzaju „dachu nad głową“. Pod warsztatem stolarskim rozłożył na

deskach siennik, na warsztacie było ustawione łóżko, na poręczach łóżka dwie deski oparte tworzyły przykrycie przed deszczem.

— Na dwa piętra prycze — podrwiwał — jak w wojsku. Jedno tylko, karabinów niema i ostrej amunicji — przekrzywił głowę na prawe ramię i składał się rękoma do strzału. Palce lewej ręki, kciuk i wskazujący twardo rozstawione i zawinięta pozostała trójka, dygotały w napięciu, jakby ciążył na nich naprawdę swą wagą stali i drzewa długolufy karabin.

— Pudło — stwierdził Uliczny, kiedy Porada opuścił ręce po strzale.

— Wróci wprawa — przyobiegał Porada.

Dwupiętrowa konstrukcja Porady z miejsca znalazła naśladowców — górne łóżko było przecie dachem dla dolnego.

— Wy jak „bieżeńcy“ wojenni — powiedział jakiś gość, który wychodził od Raptusa.

— A co, może to nie wojna? — zatoczył Porada ręką koło.

W ciągu dwóch dni gratów na podwórzu ubyło. Handlarze starzyzny zleźli się i targowali nazabój. Gorzej, bo umówili się między sobą i jak postawili cenę, to nie chcieli już ani grosza dołożyć. Monopol sobie taki prywatny. A kiedy rozeźlony Urbański, że zadarmo prawie zabiorą mu szafkę, której musiał się pozbyć, wołał handlarzy innych z okolicy, nie chcieli przyjść, wszyscy zwiedzieli się. Musieli eksmitowani pójść i na to złodziejstwo. Porada szukał kupca

na warsztat, nikt nie kupował, znajomi stolarze mówili:

— odczep się, zaco kupię? chyba tylko jedno, wstaw warsztat do mnie, narazie niech postoi, jak nie masz gdzie go trzymać —

Fiut sprzedał kanapę i tremo. Zazdrościli mu, ale bez złości, wynajął sobie pokój przy rodzinie z używalnością kuchni, niedaleko Źródlanej, krępował się tem, że jakkolwiekbydź, ale jeszcze jest zabezpieczony. Fiutowa już wypłakała swoje — utratę własnego gospodarstwa.

Rozchwierutaną furkę zaciągnęli, Porada i Sałamata przy dyszlach, Uliczny i Skrzypek, ledwo łapiący oddech, nazewnątrz, na przyprzążkę, ustawili ją koło gratów.

Postanowienie było: nie pomogło pójście raz i drugi do magistratu, nie przydzielił magistrat pomieszczenia w barakach dla bezdomnych, to go zmusić. Załadują eksmitowani dobytek na furę i zawiozą wszystko na plac przed magistratem, tam się rozłożą. Niech magistrat robi co chce, oni nie dadzą się zamrozić na dworze.

Wszystkie graty nie zmieszczą się na furce. To jedno. Sił swoich też szkoda, żeby ciężki ładunek ciągnąć końskim sposobem taki kawał drogi. Część rzeczy uchwalili zostawić narazie na podwórku. Nocować przy nich mieli Urbańscy i Sałamatawa. Urbańscy, bo sam Urbański musiał na czas codzień do szpitala, a Sałamatawa wciąż jeszcze kulą — nie będą baby ciągnąć na wozie.

Ładowali szparko na wóz lżejsze sprzęty, łózka, sienniki. Stół ustawili na wierzchu.

— Porozbija się wszystko naszczęt — martwiła się Sałamatowa — trzeba było słomy posłać.

— A jak na deszczu gnije, to pani lepiej? — ofuknęła ją Zośka. Mała Mańka, trzymając się spódnicy matki, powtórzyła nachmurzona:

— ...pani lepiej?

Posterunkowy obserwował przeprowadzkę, nie wtrącając się, ale gdy tylko do bramy napędziło ciekawych, porozganiał ich odrazu. Obcym wejście do rapowiczowskiej posesji bez interesu było wzbronione. Przepędzeni przenieśli się na przeciwną stronę ulicy i z chodnika w przerwach ruchu, kiedy przejeżdżające wozy nie przesłaniały wejścia do bramy, kupą zaglądali w zadżumione podwórze.

Sałamata otworzył bramę. Z trzaskiem, dzwoniąc żelastwem łózek i postępując skrzypiącem drzewem, pchana odtyłu przez kobiety, a zaprzęzona w czterech mężczyzn, napierających piersią na szleje, sporządzone ze sznurów do wieszania bielizny, wyjechała fura na ulicę.

Z krowiarni wybiegł za karawaną Kazik Uliczny z kawałem tektury, wciśniętym w rozszczepiony na końcu patyk. Dogonił, zaprząg się zatrzymał. Kazik wlaź na furkę, do stołowej nogi przywiązał patyk, że napis na obu stronach tektury każdy przechodzień czy pasażer tramwajowy mógł przeczytać. Napisy były wielkie-

mi literami wymalowane niebieskim atramentem, każda litera najmniej ze trzydzieści centymetrów wysokości:

EKSMITOWANI

W rząd wozów, ciągnących do śródmieścia, włączyła się furka z Kwaśnej 27. Za furką z ręką na bocznych deskach szły kobiety z pouczeniem dziećmi. Niektórzy przechodnie zawracali z drogi, dopytując się:

— Kiedy eksmitowali?

— Taka duża rodzina?

— Z sześciu mieszkań odrazu!

— Ładne czasy nastały.

— Dokąd się przeprowadzają?

— Mówią, pod magistrat idą.

Im bliżej śródmieścia, tem bardziej rozdzierały się zaskoczeniem twarze. Przejeżdżające tramwaje przerzucały się pasażerami na jeden bok, jak na widok maszerującego wojska z orkiestrą czy dużego pogrzebu. Jakiś pan w fokowym kołnierzu przyłączył się do kwaśniaków, wypytywał Łodzie z notesikiem w rękę.

— Poco pan to zapisuje?

— Dziennikarz jestem, z gazety — próbował prosto objaśnić.

— Czytamy gazetę, wiemy, jak to się pisze, pół kilo żółci, pół kilo cukru dla magistratu, a my co mamy z tego — burknęła Zośka.

— Miasto nie ma funduszków — tłumaczył.

— Nie ma! — Lodzia złapała go za rękaw, zachnął się — spójrz pan, nie ma?

Pokazała na asfalt jezdni śródmiejskiej, na kolumny ministerjalnego pałacu, malejące wgłąb szerokiej ulicy, przeciętej klinem skweru, na schludnie tynkowane domy, wylepione sztukaterją, na szyby witryn sklepowych ogromnych jak bezwietrzne sadzawki. Zbierało się Łodzi na płacz. Dziennikarz pozostał wtyle.

Skrzypek uparł się, że ciągnąć będzie do końca, furka nie urwie szleję ramion, ale zatkało mu wkońcu sercem gardło. Zatrzymali się i w szleję przy dyszlu włożył się Kazik.

Uliczny fotograf, podrzucający do oka aparacik z wystającą rurką obiektywu na przejście elegantszego płaszczyka, kołnierza czy kapelusika, złapał kwaśniaków w wizjer. Naco mu się to przyda — myślał Porada — chyba do gazety sprzeda. Gazety łase są na taki towar, ale nie zanadto.

Kiedy razem z pojazdami zatrzymywali się przy tramwajowych przystankach, publika odrabiała specjalny taniec. Uliczny uśmiechał się: odrazu część odsuwała się pod mury, udając że czyta afisze, albo ogląda wystawione przedmioty w sklepach, a reszta przysuwała się bliżej, pytała. Pytający skupiali się, przyciągali przechodniów nowych, dopiero wtedy ci z pod muru dołączali się, ale z tyłu, żeby ich nie zaczepić, jakgdyby kwaśniacy prosili o jałmużnę, a oni bali się, że i na nich kolej przyjdzie.

Na wymach policjanckich rękawów tramwaje ruszały i podrywały się samochody. Porada furmanił:

— Wio, koniki, wio szkapy dychawiczne, już niedaleko do stajni.

Pozostała trójka dogadywała mu, jak się dało.

— Sam ma nosaciznę, patrzcie, jak z nosa mu się leje.

— To od przymrozka sopel na wąsach — usprawiedliwiał się furman.

— Ochwacona z niego szkapa, bardzo słabo ciągnie.

— Z takimi chabetami jak wy, to i najlepszy stangret nie poradzi —

Do żartów wtrącił się idący z nimi od kilku minut zażywny facet w futrze i melonie:

— Konie widać mało owsa dostają, bardzo chude są — przymilił się, wpadając w ton.

— Zatkaj, bydlaku, paszczę! — huknął Uliczny.

— Na zbity łeb, karakuło! — szarpnął się Sałamata.

— Cham wypasiony! — oburzyła się Lodzia.

— Kto? — Zośka, pchając furkę z tyłu, nie dosłyszała.

— A ten grubas, słodkie oczy robi, psia jego mać, przymigdała się.

Po asfalcie furka toczyła się równo, szleje ulżyły. Musieli przy zajeżdżaniu na plac uważać na samochody.

Pod piętrowemi połaciami okien reprezentacyjnej sali magistrackiej, wyszczerzonej występem uroczystego balkonu na kolumny długoskrzydłego naprzeciw teatru, na głuchy blask asfaltu i grudą ścięte skwery, opatrzone na zimę, zatrzymali furkę. Z granatowej limuzyny, wsuniętej w półkole podjazdu, w okrągłym zdziwieniu uniósł się półbokiem leżący na siedzeniu właściciel bródki-szczoteczki pod rozlanym nosem. Motor szarpnął, usadził leżącego, który chwycił dłonią w szarej rękawiczce za trzymak przy szybie, wiatrem rozpęd otarł spoconych kwaśniaków.

Nasamprzód zdjęli stół, do którego nogi przywiązana była tektura z napisami, ułożyli go blatem na asfalcie, nogami dogóry, tektura chybotała się, jeden napis patrzył na magistracki dziedziniec, drugi frontem do tramwajowych torów, dwóch przystanków tramwajowych, tramwajowej poczekalni, do pierwszopiętrowych kolumn opery, szeregu taksówek na postoju. Walili graty na kupę jak najprędzej, żeby nikt nie przeszkodził. Furkę przysunęli do samego chodnika. Nie rozglądali się naboki, nie odpowiadali na pytania przechodniów, ścinających się skrzepem obok, skrzep pęczniał, od przystanków pociągnęli ciekawi. Dyżurny posterunkowy przepchał się, nie zauważył tektury, ostro natarł:

- Nie wolno tu stać! Zabierać się stąd!
- A dokąd? — odkrzyknęli.

— Nic mnie nie obchodzi. Zabierać się!

— Nas też nic nie obchodzi — urwał ze złością Uliczny.

— Czego pan się czepiasz — oburzył się Porada — my z panem interesów nie mamy, tylko z magistratem!

— No, no! bez krzyku — bronił swego prestiżu policjant — tu stać nie wolno!

— Nam wszędzie wolno, my bezdomni — zaśmiała się Lodzia.

— A jak pan władza krzywo się na nasze graty patrzy, to niech je sam sobie przeniesie — docięła Zośka — my już sił nie mamy.

Posterunkowy wycofał się, otworzył drzwiczki małej szafki w murze przy głównej bramie i, zasłaniając ręką od szumu ulicznego jedno, przyłożył drugie ucho do telefonicznej słuchawki.

Kwaśniacy porozsiadali się na brzegu chodnika, dzieci podniecone niezwykłym otoczeniem biegały, siadały, zrywały się z czerwieniącymi od chłodu nosami.

— Czytałem dziś w gazecie — opowiadał nad Sałamatą ciężki czarny wąsal — już na jakiej ulicy, nie pamiętam, awantury były z gospodarzem o komorne. Wciąż aresztowali lokatorów —

— hm — przychrząknęła Lodzia.

Wąsal spojrzał wdół, zobaczył tylko ogonek, sterczący z siwego beretu: — jak wczoraj przyszła policja aresztować, to jedna lokatorka,

co jej groziła eksmisja, powiedziała, że nie wytrzyma. Sąsiedzi nie wierzyli. Ona w nocy wzięła i powiesiła się, czterech dzieci matka — —

— Ja panu powiem — wstał Porada — i nie tylko panu, wszystkim tu razem i tym z magistratu też: są tacy, co nie wytrzymają takiego parszywego życia, ale my się nie damy. My przez samobój nie będziem nikomu wygody robić, ani magistratowi, ani kamienicznikowi żadnemu.

— Racja, racja — potwierdził wąsał — samobójstwo to grzech — — i urwał na zgrzyt śmiechu.

Śmiał się Uliczny: — jaki grzech? Dla kogo grzech? Co to znaczy grzech? My żyjemy nie dla panaboga, tylko dla siebie.

Kuropatwowa nie wytrzymała: — Pan dobrze mówi, grzech boski, nie wolno bluźnić, za bluźnierstwo jeszcze gorzej się ludziom życie układa!

— Pani Kuropatwowa taka pobożna i co jej z tego przyszło? Nie wyeksmitowali może?

Wtrąciła się kobieta lat ze czterdziestu, czerstwa na twarzy krótko liźniętej w policzki podciętemi włosami: — To już jest życie, proszę pana.

— Ahaa — przeciągnął Uliczny — życie. Całkiem insza historia. Co mi kościół dał? — pokazał na odgrodzony żelaznemi sztachetkami fronton przymagistrackiego kościoła, rzucony w górę krzyżem — metrykę, pani Kuropatwowa.

A za metrykę i za ten chrzest od grzechów też musieli rodziciele zapłacić. A potem już tylko płacić. Może nie?

Kuropatwowa przeżegnała się spiesźnie i brunatne wargi, wpion pocięte starczemi zmarszczkami, szeptały modlitwę ze złością.

— Straszne, że dają ludziom tak cierpieć — odezwiała się dama w połyskach brunatnego futra.

— Możeby się złożyć po parę groszy? — zaproponował wąsał, słuchający z wytrwałą ciekawością.

— Nie popieram filantropji, ale w takim wypadku — — dama złożyła pięćdziesięciogroszówkę na dłoni wąsała i oddaliła się z godnością.

Portmonetka, dobyta przez wąsała, przerzedziła ciekawych.

— Nie jesteśmy żebracy! — jednym głosem pokryli się Łodzia i Uliczny. — My żądamy od magistratu pomocy, a nie jałmużny od ludzi! — kończył Uliczny.

Wąsała to jednak nie odstraszyło, został z monetą na otwartej dłoni.

Nad kwaśniakami energicznie stanął urzędnik z opieki społecznej:

— Co to za kawały? — tupnął — co wy sobie myślicie? Już wam raz powiedziałem, że magistrat nie ma wolnych mieszkań do przydziału.

— Krzyczeć, pętać, na nas będziecie! — wstał Uliczny, zgarbił się, z zaciśniętymi pię-

ściami — już był tu policaj, też tak samo krzy-
czał! Ty gnido! Myślisz, że my się krzyku boi-
my?! Za czyje pieniądze krzyczysz, jak nie za
nasze! My ci płacimy, rozumiesz? A jak nie my,
to nasze sąsiady, cała robotnicza klasa, rozu-
miesz, pętakul! Naczelnika, idź, zawołaj, my się
stąd nie ruszamy, póki mieszkania nie dostaniemy!

Urzędnikowi skoczyły plamy czerwone na
policzki:

— Ja sam pracujący jestem — —

— To nie zapominaj pan o tem.

— Wybierzcie państwo delegację.

Salamata przechylił się do Porady nad kola-
nami Zośki:

— No, panie Porada, trzeba się ruszyć?

Ale Uliczny go wyprzedził:

— Powiedz pan tam swoim szefom, że my
nie mamy o czym gadać. Niech dadzą mieszka-
nie i koniec. Jakie tu delegacje? Jużemy się
nagadali.

Wstrząsem jezdni, biciem w dzwon alarmo-
wy wypadło z dziedzińca auto straży ogniowej,
strażacy w biegu nakładali brezentowe kurty.
W sekundę po nim, w kłębach parczanych wę-
ży, w kratkach zsuniętych drabin — drugie.

Kiedy kwaśniacy odwrócili się, jeszcze skule-
ni od warkotu motorów nad głową, urzędnika
już nie było.

Wśród gapiów zauważył Uliczny znajomą
twarz, zwięzłą, krótkobrewą cyklistówkę. Agent
ukłonił mu się z uśmiechem zażyłej znajomości.

Uliczny odął wargi, czapierzaste ryżawe wąsy
pomknęły w górę, patrzył na cyklistówkę, jak-
by była sztukaterją magistrackiej kolumny.
Agent cyklistówkę nasunął mocniej na czoło
i pogardliwie drygnął ramieniem: jak nie, to
nie.

— Już i pieski nas obwąchują — puścił
Uliczny przed siebie.

— Który? — nachylili się do niego kwa-
śniacy.

— A zgadnijcie, łatwo poznać.

Macali stojących za nimi wypatrującem
okiem — wąsał chyba nie, student w białej
czapce za głupio wygląda, mleczak jeszcze, choć
to nie świadczy, ale też chyba nie, pejsaty cha-
sydek z rzadkiem owłosieniem na twarzy chy-
ba nie, facet we wciętem palcie, w białych ręk-
awiczkach za elegancki i za dobrze wypasiony,
kobiety nie, choć bywa; może ten długi jak la-
tarnia elektryczna, z baczkami, może ten w cy-
klistówce, który naraz podniósł kołnierz palta
i odszedł?

Ten! zrozumiał, że jego szukają kwaśniackie
oczy.

Z Opieki przyszedł woźny.

— Skąd eksmitowani?

— Kwaśna 27 — burknęła Lodzia.

Szczeciną niegolonej od kilku dni brody woź-
ny zawrócił jeszcze.

— To wszystkie rzeczy są państwa? kazali
się zapytać.

— Nie, nie — odpowiedział Sałamata ponuro — mamy jeszcze trochę na podwórku na Kwaśnej — —

Kwaśniacy medytowali: udało się czy nie?

— Może coś z tego będzie — pocierał Sałamata zgrabią ręce. — Przecie nie przysyłałiby woźnego popróznicy.

— Ja też powiadam — odwrócił Porada dłoń i postukał w nią twardym paluchem — tu mi mieszkanie wyrośnie.

Dzieciarnia plątała się pomęczona.

Z dziedzińca magistrackiego zadzwoniły ha-cele końskich podków. Krótko trzymając za uzdę przy pysku, prowadził strażak bułanego wałacha, pobrzękującego narzuconą na grzbiet uprzężą. Za wałachem szło dwóch policjantów.

— Konia do aresztu prowadzą — zakpił Sałamata.

Ale policjanci szli wprost na kwaśniaków.

— Załadować rzeczy!

— Delegacja, proszę państwa szanownych — przedstawił Uliczny policjanta kwaśniakom — delegacja opieki społecznej. A dokąd to mamy jechać? — zapytał granatowych.

— Zobaczysz pan — uciał starszy.

— Nie baw się! Na Kwaśną wracacie! — objaśnił młodszy.

— Ta-ak! To ładujcie sobie sami! My palcem nie kiwniem. Widzisz, Sałamata, poco woźnego z Opieki posyłali? Żeby się adresu dowiedzieć! Jeszcze konia dają! Z wygodami!

Strażak wsadził uzdę wałacha starszemu do ręki.

— Ja czasu nie mam. I to nie mój interes, kazali tylko konia wyprowadzić. Magistracik — cmoknął kwaśniakom i, oglądając się na nich, wrócił do stajni.

Policjanci nie namawiali. Młodszy zaprzęgał bułanka, leniwie wijącego wyczesanym ogonem, starszy walił graty na furkę.

— Ostrożnie — syczała Łodzia — łózka połamiecie! Nie odkupicie nam nowych.

Skrzypkowa uśmiechała się półgębkiem: ostrożnie z czym? Już tym gratom nawet najgorsze nie zaszkodzi, ludzie, ludzie, co za świat — —

Granatowy złapał za stolik, do którego przywiązana była tektura, szarpnął, patyk złamał się i tektura zwisała z napisem skoziolkowanym, jak śnięta ryba brzuchem dogóry w wodzie.

INVMOTIWSK

Kazik przyskoczył rozwścieczony, powieki latały mu na suchych, palących oczach.

— Czegoś pan to złamał?

Policjant odepchnął go z drogi. Dźwignął stół, który zaskrzypiał wszystkimi obluzowanymi wrębami, pacnął go na furkę; tektura oderwała się od patyka i spadła na asfalt.

Zośka krzyknęła: — dziecko mi biją!

— Biją!

— Biją!!
— Biją!!!

Starszy, zakładający bułankowi wędzidło do opornego, zaciskającego zęby, pyska, puścił wędzidło — zwiśło na rzemieniu, podzwaniając — wyrwał gwizdek z kieszeni i świsnął raz i drugi na pomoc.

Z sąsiedniego budynku przyklusowało dwóch i dyżurny z pod głównej bramy magistrackiej. Ciekawi zostali razdwa wyproszeni na drugi chodnik, wędzidło wlaźło wreszcie między zęby wałacha, graty wszystkie na furkę, we dwoje złożone lejce klasnęły na tegim zadzie bułanka — strażak nie przyniósł bata — i furka ostro poszła po asfalcie, za nią porozpychani kwaśniacy.

— Mamy nowe mieszkanie na starem podwórzu — wziął Uliczny Sałamatę pod pachę. Na drugiej ręce niósł Mańkę.

Sałamata podniósł raptownie głowę:

— Ścierwo magistrackie! Uch, jabym ich!

Mieli kwaśniacy tę przynajmniej satysfakcję, że nie starczyło na furce miejsca dla policjanta, szedł piechotą, popędzając wałacha. Powsadzali dzieciarnię na wóz, policjantowi poruszała się grdyka, ale przemilczał. Tekturę wpakował Kazik małej Mańce w łapy, pomagały małe Skrzyпки, żeby się nie wyginała. Ale napis dla ulicy widoczny był już tylko jeden, drugi przyciskał się Mańce do piersi. Z za tektury mogła Mańka patrzeć jedynie naboki.

Z trudem nadążali kwaśniacy za furką. Wypoczęty wałach pracował nogami jak maszyna, a i starszy granatowy dobrze umiał nogi wyciągać. W straży tylnej kwaśniaków szedł granatowy młodszy.

Przysunęły się znajome ulice. Na Kwaśnej odprowadzał już eksmitowanych tłum. Szedł za granatowym młodszy, bo ten nie pozwalał zbijać się przy samej furce.

— To jak przekleństwo, wciąż w te same wrota — uniósł się Sałamata.

Przyskoczył Fiut. Ściskali sobie ręce.

— I co? I co?

— Ano, widzisz co. Pod eskortą zpowrotem — plunął Uliczny twardo pod nogi. Ślina trzaśła w obręcz koła, uniosła się jak żywa, popęzła po żelazie i znikła.

— Ja się już przeniosłem z łachami na nowe, pomogę wam co tylko potrzeba.

Brama otworzyła się, przepuściła furkę, zamknęła zpowrotem, w wejściu stanął granatowy i nie wpuszczał do podwórza obcych:

— Nic ciekawego, przechodzić dalej.

A po kilku minutach wyjechała pusta już furka, powoził starszy granatowy, jechał z nią do właściciela, żeby kwaśniakom nie wpadło znów na myśl wyładować się przed magistratem.

Na ławeczce pod nagą, stwardniałą akacją odbyła się narada.

Skrzypek nie mógł wciąż darować administratorowi jego łajdactwa. Zapomniał już, skąd

wzięła się niedotrzymana obietnica Rubina. Piekła tylko krzywdą: obiecał a nie dał. Gniew wyrwał go z przygniecionej biedą małowówności:

— Dość już mam. Was pierwszy raz eksmitują. Mnie dwa razy wyrzucili. Jest cegielnia, nocują tam włóczęgi bezdomne, to i my możemy nocować. Zawsze dach, choć wieje ze wszystkich stron. A tam, jak tylko się da, wykopie ziemiankę przy cmentarnym murze. Twarda już ziemia, ale jeszcze można.

Kiwali głowami, ładny los na zimę, żeby to choć latem wypadło.

— Trzymaliśmy się tak długo kupy, będziemy i dalej się trzymać — powiedział Porada — rada jak rada, przydałaby się lepsza, ja, prawdę mówiąc, żadnej nie widzę. Pędzą nas jak psy. Chodźmy obejrzyć cegielnię i cmentarz. Może jeszcze się co znajdzie.

Hurmem poszli. Posterunkowy w bramie drgnął, jakby chciał za nimi, przypuszczał że się nowy kant szykuje, Kwaśna 27 wyrobiła już sobie opinię w komisarjacie. Ale został, wyznaczono go tylko do pilnowania domu.

Śmietniska stwardniały, zbutwiałe papiery podmarzły i chrzęściły pod nogami jak kapuściane liście. Gliniankę przy cegielni ścieło cieniutką skorupą lodu, który pod kurzem, naniezionym przez wiatr ze śmietnisk, poszarzał, sczerśniał i niebezpiecznie udawał twardy, pewny grunt. Mur cegielni, czerwony przed laty,

tak samo od śmietniskowych kurzów brudno ściemniał wraz z kominem, wypiętym ogromnym bezgałęźnym pnem.

W parkanie, otaczającym cegielnię, wybite były od dołu dwie deski. U góry trzymające się jeszcze na gwoździach dawały się odchylić. Tem przejściem przedostawali się nocni lokatorzy dowewnątrz.

— Gdyby ziemianki kopać — zauważył Uliczny — desekby nie zabrakło. Cały ten parkan, psiakrew, porąbać.

— O, jakby z deskami, to nie potrzeba ziemianek kopać — zerwał się Porada — wtedy zwyczajnie barak postawić i koniec.

— Myśl! Fajna myśl! — trzepnął stolarza Uliczny po plecach.

Humory zelżały.

— Bardzo mi jest dziwno — zastanawiała się Lodzia — dlaczego jeszcze nie rozkradli ludziska tych desek z parkanu. Przecie to nie pierwsza głodna zima.

— Może pilnują cegielni? — mruknął Porada.

— A jeżeli nawet pilnują, to czego się boicie? — skoczył Fiut. — Wziąć takiego dozorcę za hals w nocy i trzymać go za zęby tak długo, póki się baraku nie postawi. Jeść mu dawać, złożyć się na żarcie dla niego, sam pierwszy obiad mu przyniosę. Potem niech idzie, opowiada. Jak barak będzie stał, to go już nie rozwałą. Co im zresztą przyjdzie, właścicielom, z po-

rzniętych desek? Przecie parkanu z nich zwrotem nie skleją.

Porada popukał palcem w deskę jedną, drugą, podłubał paznogciem przy sękach.

— Nieświetne drzewo.

— Ten odrazu chciałby mahoń, stolarskie nasienie, zrobi się przecie z tego, co jest — perswadował Sałamata.

Przed uchyleniem desek Skrzypek zatrzymał jeszcze kwaśniaków:

— Tam się magistracki dom buduje, za cegielnią paręset kroków — łukiem przedramienia pokazał na południe, jednostajnie zachmurzone — też jest parkan.

— Leć, Porada, obejrz — zaśmiała się Zośka — które drzewo lepsze, masz wybór, może tam odrazu bejcowany dąb stoi?

Porada szturchnął ją wbok: — nie nabijaj się, kumo!

Pojedyńczo przeleźli za parkan. Cegielnia stała nieczynna już trzeci rok. Parę tysięcy cegieł wietrzało pod daszkiem na słupach, w przewiewie. Żelazne na rolnach drzwi do piecowni były zasunięte i związane wielką kłódką.

Obeszli cegielnię dokoła, znaleźli wejście dopiero odtyłu, gdzie drzwi były wyrwane z zawias i zwyczajnie przystawione do ściany.

— Ro-bot-ni-cy — ironizował Uliczny — zwyczajnego zamka nie umieli otworzyć, mnie trzeba tu było zawołać.

Wewnątrz ciemno było, szyby okienek szczer-

niały tak samo jak podłoga. Po kątach wielkiego pomieszczenia kroki bębniły głębokim echem, znaleźli kwaśniacy potrosze słomy i gałganów — legowiska dotychczasowych nocowników — i kupki zwęglonego drzewa na popiele, widać ognisko rozpalano w nocy.

— Nie chcę tu — zapłakała Skrzypkowa — to gorsze od piwnicy — łyzy zatrzymały się jej nikłym blaskiem pod nozdrzami i urwały się.

Zośka mierzyła wzrokiem okopcony sufit, odległość ścian od siebie, pojemność pomieszczenia.

— Nie ogrzać tego. Wymarzniem.

Zgodzili się. Od ceglanych murów ciągnęło zimną, niemieszkalną wilgocią.

— Więc?

— Walić parkan?

— Narzędzi niema.

Porada z Kazikiem Ulicznym poszli po narzędzia, Fiut postarać się o gwoździe. W ciągu nocy zwalić parkan od strony południowej, od cmentarza nikt tamtędy nie przechodził zimą, więc nie zauważy.

Szli wzdłuż parkanu Uliczny z Zośką, Kuropatwowie, Skrzypkowie, Łodzia, Sałamata, liczyli słupy i poprzeczki, do których przybite były deski. Gwoździe w większości pozakrzywiane, ale można je będzie na kamieniu wyprostować. Słupy wyższe od wyciągniętej ręki Ulicznego, chyba ponad dwa metry. Niska chałupa wypadnie.

Znalezionym w kącie cegielni żelaznym drągiem Uliczny podważył jedną deskę parkanu przy górnej poprzeczce, naparł ramieniem, deska skrzypnęła, gwóźdź poddał się, Sałamata pchnął mocniej, górny koniec deski był już wolny, chwiała się jak sprężyna wkopana w ziemię. Drągiem złupał Uliczny stwardniały grunt. Sałamacie pomógł Skrzypek, zasapał się, deska puściła, prasła, aż obejrzeni się dokoła, czy kto nie usłyszał.

Odpowiedziało upadkowi deski krakanie wron z cmentarza.

Sałamata znalazł koło murowanej szopy zardzewiałą łopatę o złamanej do połowy rękojeści. Na upartego nadawała się. Zaczął okopywać dalsze deski, odzewnątrz, wylazłszy na pole przez wyrwę utworzoną w parkanie. Uliczny podważył następną deskę, Lodzia z Kuropatwową nacisnęły, wypiąwszy się grzbietami, i z krakaniem, szumem skrzydeł postraszonych wron deska wywaliła się.

— Zaraz, ja tylko polecę do Feliksa — zamamrotał Kuropatwa — przyniosę drag żelazny do rozbijania lodu i łopatę.

— Nie — wsadził mu Uliczny swój drag w rękę — ja pójdę, jeszcze paru ludzi sprowadzę, cały parkan w godzinę położym. Jeszcze dziś zaczniemy budować —

Otrzeputując ręce z grudek przylepionej ziemi, zamienił się Sałamata z Kuropatwą narzędzia-
vi.

— Ja zwyczajniejszy jestem żelaza, weźcie wy łopatę.

Za Ulicznym pociągnęła na Kwaśną Skrzypkowa — dzieci zostały same.

— A obejrzcie się za moją Mańką — krzyknęła wśląd za nią Zośka.

Uchwycili w piątkę dryg. Kuropatwa deskę od dołu podkopał i przykucnięty przesuwiał się dalej, dłubiąc niewygodnie osadzoną w rękach łopatą na przykrótkiej rękojeści. Sałamata odrywał zgóry deskę od poprzeczki, przewyciężając opór pozaginanych zardzewiałych gwóźdź, z trudem, piskiem wychodzących z drzewa. Zośka, Lodzia, Kuropatwowa tarmosiły deskę, jak psy gnat, póki się nie wywróciła. Wrony krakały coraz słabiej, uznając nowy stan rzeczy. Tyle lat nie było nikogo w cegielni. Teraz znów ludzie się kręcą.

Przybiegli, chrzęszcząc po grudzie, Kazik z małym Urbańskim, któremu pod pachą trzaśkały w skrzynce Poradowe narzędzia. Kazik gniótł piłę i pęk sznurów do wieszania bielizny.

— Przyjdą zaraz!

We dwóch wybrali sobie oddzielną, swoją deskę. Kazik oparł się o nią rękoma, głowę w ramiona wtulił, a mały Urbański wlaź na grzbiet jak na stopień, czepiając się dłońmi kostropatej powierzchni parkanu. Ledwo udało mu się wcisnąć sznur między sąsiednie deski, dobrze, że nie były do siebie dopasowane, i zawiązawszy go w mocny węzeł, przerzucił sznur nazew-

nątrz, na stronę pola, w kierunku upadku parkanu.

Pociągnęli, wparłszy się nogami w ziemię, za sznur.

— Twardo trzyma, cholera.

Szarpnęli. Zaskrzypiały gwoździe, ale nie puścili. Do chłopców dołączył się Skrzypek.

— Samym sznurem nie puści — zauważył.

— Musi. Ojciec tak mówił — zaperzył się Kazik. Zauważył Kuropatwę, majstrującego łopatą, i zmiękł:

— Racja.

Zmierzchało się, nad cegielnią miejskie światła rozwidniły się jaśniejszym niebem, choć tak samo ciężkiem.

Wrócił Fiut z Poradą. W parę minut po nich — Uliczny, Kwacz i Febra - Kowalski. Skrzypek mimo zmroku poznał ich odrazu, pomagali wstawić jego rzeczy po pierwszej eksmisji. Przynieśli dwa oskardy i dwie łopaty.

Rozbierali parkan systematycznie. Co czwartą deskę wyważali, a na pozostałe trzy, podkopane przez Kuropatwę i chłopców — doszło do kłótni, bo chłopcy nie chcieli staremu dać dobrych łopat, przyniesionych przez Ulicznego — zarzucano pętlicę sznura i wrywano je siłą.

Ostatnie deski od południowej strony leżały w całkowitej ciemności. Ledwo na kilka kroków widzieli się kwaśniacy.

— Myślałem, że księżyc będzie — powiedział z żalem Uliczny.

— Jutro się robi — łapał Sałamata oddech.

— Deski na kupę!

Kładli je po cztery, jedną na drugiej, i przenosili na zachodni skraj cegielni, układali w stos przy nienaruszonym boku parkanu. Kwacz rozharatał sobie rękę o gwoździe. Krzyknął, umilkli. Było tak cicho, że Zośka o pięć kroków słyszała, jak biły zegarowo krople krwi o ziemię. Owinał napięstek chustką i przeniósł dalej.

— Ludzie, najważniejsze są słupy — zawołał Porada — bez nich ani rusz. I nie wolno ich połamać, wykopać trzeba, pójdą na zrab.

— Ciemno już zupełnie — —

— A jak w nocy je kto pokradnie?

— Jeżeli słupy ukradnie, to i deski też.

— Nie można zostawić tak na noc — —

— Zostaniemy pilnować — —

— Poco wszyscy, starczy dwóch.

— Na zmianę warta, jak w wojsku.

— Co ile godzin zmiana?

— Kobiety też?

— Zmiana co trzy godziny — —

— Co dwie!

— Kobiety nie, niech idą do dzieci.

— Dozorca przyjdzie na noc, wtedy co?

— Kto widział dozorcę?

Gwar urwał się, dozorczy nikt nie widział, może ubrdali sobie. Słupy i poprzeczki obdarte go z desek parkanu, jasne w miejscach, gdzie

do nich deski przylegały, poświtywały wielką krata o brzegach, w mocowanych w noc.

Turkot wozów dochodził dalekim szeptem, tiumionym przez rozległość śmietnisk. Kulili się na chłodzie.

— Dość zabawy. Przyjdzie dozorca, wziąć go za mordę, związać i trzymać tak długo, póki się z budowaniem nie skończy.

— Gdzie trzymać?

— W cegielni można.

— Odprowadzić, zatkawszy gębę.

— A jeżeli sam się zgodzi?

— Na co?

— No, cicho siedzieć — —

— At tam.

— A jeżeli wogóle nie przyjdzie?

Śmiech.

— Śmiejcie się, konie boże — zgorączkował się Fiut — gadał ktoś: warta. A ilu wartowników? Przyjdzie stróż, najmniej na samego stróża — dwóch i do pilnowania też ze dwóch.

— Na dwie zmiany — odezwał się głos. Fiut nie odróżnił czyj, Ulicznego napewno nie.

— Ja zostanę też — zapewnił.

— Leon też przyjdzie.

— Mój fater też — zadeklarował mały Urbański.

— I żeby się pilnowaczom nie cknęło, niech wykopują po ciemności słupy — rzucił Uliczny.

— Ohoho, ohoho — ryknęli zgodnie, aż rozbudzone wrony ze strachem załopotwały skrzy-

dłami na niewidocznych drzewach cmentarza.

Chłopcy liczyli się jako mężczyźni.

Pierwsza zmiana: Fiut, Porada, Uliczny, mały Urbański.

Druga: Sałamata, Kazik Uliczny, Kuropatwa i Urbański, który dopiero miał nadejść.

Kobiety odeszły z drugą zmianą, Skrzypkiem i bezrobotnymi. Zakrył ich parkan, głosy i szarpki po grudzie stąpania ścichły.

— A uważajcie na gliniankę! — krzyknął za nimi Porada.

— U-wa-za-my — zniosło wiatrem, jak spłacheć mgły, kobiecą odpowiedź.

Pierwsza zmiana podzieliła między siebie funkcje. Fiut i Uliczny okopywali słupy. Porada i mały Urbański mieli chodzić koło parkanu od miejskiej strony, wartować czy aby nie idzie bajkowy stróż, o którym nie wiadomo, czy egzystuje, czy też wymyślili go sobie kwaśniacy ze strachu. Zmarzną wartownicy, zamienią się z kopaczami. O trzeciej nad ranem, stanęła umowa, przyjdzie druga zmiana, a pierwsza rozpali sobie ogieniek w cegielni i tam się prześpi. Wartownicy nie mieli odrazu łapać stróża, mały Urbański nie dałby rady, choć ciskał się, że tak bykiem uderzyć jak on nikt ze starych nie potrafi. Jeden miał obserwować, a drugi dać znać kopaczom. I stróża wziąć we czwórkę.

— Chodźcie cicho, żeby stróż was nie usły-

szał, bo cała zabawa wtedy przez was na nic — upominał wartowników Fiut.

— Pilnuj własnego nosa, myśmy otrzaskane goście — nadymał się Porada.

Choć noc była bezksiężycowa, przyzwyczajone oko odróżniało zbliżającą się twarz. Fiut zpodobiał się Ulicznemu. Gęsty cień jak drukarska farba zasmarował czarno wszystkie wgłębienia twarzy. Dołu twarzy nie było, nakrytego czarną krechą wąsów. Tylko kości policzkowe i krąg wązka spoconego nosa leżały jaśniejszemi plamami. Poczuvszy wzrok, Uliczny odprężył ramiona, oparł na głowicy oskarda.

— Dali nam pieprzu.

— Aleśmy się nie dali — pośpieszył Fiut. — Wiesz, dziwnie mi jakoś jest. Te trzy ostatnie miesiące, com przeżył, to jakby ci powiedzieć, taka gorączka, jakiej jeszcze w życiu nie miałem.

— Nazywa się: szkoła w życiu.

— Nienajgorsza — uśmiechnął się słabo Fiut — jakby świat, co leżał, wstał odrazu na nogi i poszedł przed siebie — —

— Z każdą walką tak samo, jeśli się chce uczciwie do końca.

— Jakbym myśleć się nauczył — podjął Fiut — choć życie było i przedtem akurat takie same. Nie eksmitowali jeszcze nas, to eksmitowali innych. Dziw że tak oczy się otwierają trudno.

— Jeśli się z oczami nie ucieka, to nietrudno. Bywa, i większość jest taka, że mu oczy gwałtem trzeba palcami rozdzierać. Widzi, a oczy wbok odwraca, choć niezły chłop. Ale zmańdrzeje.

— Powiedz, Kalikst, dlaczego tak jest. Robotnikowi każdemu jednakowo źle, a jeden rozumie, inny, choćbyś mu cały dzień tłumaczył, nie chce.

— Bo trzeba dwa dni tłumaczyć.

— Nie żartuj!

— Nie żartuję. Pchają ze wszystkich stron człowiekowi śmiecie do łba. Idzie dziecko robotnicze do szkoły, tam je trują, idzie do fabryki czy warsztatu, są już machery rozmaite i gadają i gadają, aby mu tylko we łbie przekręcić. Własnej krzywdy człowiek taki odstąpi, bo mu powiedzą, że walki nie wygra, albo że to nienarodowo, albo niech czeka lepszych czasów, kiedy cała robotnicza klasa w związki będzie spisana, albo cholera jeszcze wie co, mało jest takich wszów na robotniczej skórze? I jak tylko się ludzie łączą, bo ich krzywda gniece, zaraz dziesięciu specjalistów, fachowcy, pieska ich niebieska, jak doktorzy nad nieboszczykiem stają, i kraczą, i kombinują, i spekulują tak długo, aż oszachrują tego robociarza zeszczętem. Sta-je potem głupi, a oni mu dziękować sobie każą, że go sprzedali. Sprzedadzą go raz i drugi, na trzeci on im w ślepią ich parszywe spojrzeć już nie chce.

— A Sałamata, co? — szybko spytał Fiut.

— Sałamata dobry chłop, bez gadania. Wiesz, jak to u nich: pan mecenas przyszedł na dzielnicę — przedrzeźniał Uliczny. — Pan doktor, pan profesor przyszedł! Kiedy oni mówią, uczone znać się, ty chamie, stul pysk i słuchaj mądrego gadania. Mądre bo mądre, że pod niem oszukaństwa już nie widać.

— Wszędzie to samo — zgodził się szybko Fiut.

— Wszędzie, jeżeli się oczu nie ma dobrych, jeśli się nie widzi tego na wszystkie boki oszukiwania. Ale jeśli się już komu oczy otworzą, no, bracie, łatwo nie weźmie taki specjalista na kant. On gada mądrze, a ty palcem próbujesz: towar czy szmata... Będą z Sałamaty ludzie.

Fiut dobył papierosów, już pocierał zapalną o pudełko, Uliczny złapał go za rękę:

— Uważaj, jeszcze stróż nadejdzie, światło zobaczy.

Zapalili pod połą Fiutowej marynarki, papierosy trzymali w stulonej garści, różowo-rozświetlonej przy zaciąganiu się, usiedli wygodnie na kupie desek.

— Cichaj — szepnął Uliczny — idzie ktoś.

Natężyli słuch, kroki blade było słyszeć, ale niewiedomo z której strony. Wartownicy? Już czerniał cień, sunący od magistrackiego domu. Przy wyrwie w parkanie zatrzymał się zaskoczony. Stał chwilę i ruszył wzdłuż słupów, uderzając o nie dłonią, jakby licząc. Uliczny

trzymał Fiuta za ramię, czekali aż się zbliży. Stróż czy włóczęga, cegielniany nocownik? Cień zahaczył kolanem o wystającą ze stołu deskę, zaklął i przystanął, rozcierając obolałą kość. Wzięli go bez trudu, jednym skokiem.

— Czego chcecie? — wyjąkał.

Wysoki, bardzo zgarbiony, w naciągniętym na uszy kołnierzu dyszał strachem.

Zaprowadzili go do cegielni, dopiero Fiut zaświecił zapalną.

— Tyś kto?

W siwym zaroście usta otwierały się czarna bezzębną dziurą.

— Nocuję — —

— Stróża się nie boisz?

— Jakiego stróża? Tu nikt nie pilnuje — —

— Dużo tu nocowników?

— Jak czasem. Jak się zimno zrobiło, mało. Wczoraj ja i jedna dziewczyna. Latem dużo. Zimno jest, choćby nawet ogień rozpalić.

Nie pytał o parkan. Co pytać, kiedy ludzie drzewa na opał potrzebują.

Puścili go.

— No to idź spać, ale pamiętaj, pary nie puść, bo byś już więcej tu nie wrócił — groził Fiut.

— Co mam gadać, moje drzewo?

Z pod kożuszka wyciągnął paczkę wygniecionych gazet, słyszeli, jak w ciemności szumiał nimi, rozkładając je w kącie na gałganach.

— I dziewczynie zapowiedz, jakby przyszła,

a mybyśmy jej nie widzieli, każdemu, żeby gębę na zatrask!

Stary odmruknął niezrozumiale, układając się na gazetach.

Ściągnęli wartowników z posterunku koło gli-nianki. Kiedy niema stróża — nocownicy chyba najlepiej wiedzą — wszyscy do wykopywania słupów. Szło im dość sporo. Po dwóch przy słupie. Jeden oskardem rozbijał podmarzłą od wierzchu ziemię, drugi wygarniał rozbite gru-dy nabok. Słupy były mocne, niespróchniałe. Kiedy nad dołem pochylił się pierwszy i Fiut uderzył po osmołowanym jego końcu żeleźcem łopaty, oddźwięczał zdrowo.

— Wszystkie słupy wykopiem, nim druga zmiana przyjdzie — żartem ubolewał Fiut.

— Nie martw się pan — odkrzyknął mały Urbański — jeszcze tyli kawał parkanu stoi, że i na dwie noce wystarczy.

— Nam tyle nie trzeba, zostawim dla innych eksmitowanych.

Spocili się z roboty. Słupy wykleszczone z do-lów, poodrywane poprzeczne łaty rozłożyły się pobojuwiskiem. Mały Urbański miał rację, dla drugiej zmiany nic już do roboty nie pozostało, chyba słupy na kupę poukładać. Przed świtem zacząć budowy nie można, nawet placyku przy cmentarzu wymierzyć.

Wietrzny szum ciągnął po gołych gałęziach cmentarnych drzew, chłodził zgrzane ciało i przemoczzone w pachach ubranie. Bez skrepo-

wania rozsiadłszy się na deskach, palili, poczę-stował Fiut, potem na zmianę mały Urbański. Papierosy czerwoną otoczkę kładły na twarze, ściągała się i rozpływała na wypukłościach, brązowo-czarnym cieniem zalewając wgłębie-nia czaszek.

— Zdałoby się co wypić gorącego — we-stchnął Porada.

— Moja kobieta — zapewnił Fiut — jak tyl-ko widno się robi, czajnik kawy obiecała przy-nieść.

— Dobrze i to.

Wyczekiwali zmiany, powinna już była przyjść:

— Pospali się, lajdaki.

— Jedno mi się śmieje, co ta magistracka opieka powie na nowe schronisko dla bezdom-nych — zaczął Porada — szkoda wielka, że się nie ruszyło magistrackiego parkanu. Byłby do-bry szpas — —

— Można go jeszcze rozwalić — wtrącił ma-ły Urbański. — Jakby co, to z Kazikiem chło-paków zwołamy, cały parkan staszczy, że śla-du z niego nie zostanie.

— Jak się zaczęło od cegielni, skończym z ce-gielnią — odpowiedział Uliczny — a swoją dro-gą magistratowi nauka się należy żelazna, żeby popamiętał.

— W dupie mam magistrat — uciął Pora-da — ścierwa najgorszego gatunku.

— Podatkowe hycle!

— Dla bogaczy niema hycli —
— Co ich pracująca klasa obchodzi.
— Tyle co pies napłakał.
— Jeszcze napłaczą.
— Tymczasem sami musim sobie radzić —
podstawił Uliczny głowę szumowi w gałęziach
— i przeć na magistrat.

— Pomoc magistracka dla eksmitowanych,
widzę ja ją! możecie czekać! — upierał się Fiut.

— I co z tego? Musi magistrat dać pomoc,
choćby wszystkie szyby mu powybijają! Ale,
wiesz, co magistrat zrobił, kiedy się nabrało nie-
dawno nowych parę tysięcy bezdomnych? Wsa-
dził do każdej izby w schroniskach, gdzie ledwo
i tak się po rodzinie mieściło, jeszcze po jednej
albo i po dwie rodziny.

— Wiadomo przecie — zniecierpliwił się
Porada.

— Ty wiesz, on nie wie — fuknął na niego
Uliczny — wszystkie graty skonfiskowali tym
bezdomnym, nazywa się, że na skład magistrac-
ki graty zabrali. Żeby miejsce zrobić dla no-
wych lokatorów. Nawet rzeczy swoich nie wol-
no bezdomnym mieć. Tylko że ja nie o takiej
kpinowatej, łajdackiej pomocy mówię, pomocy
nam potrzeba jak należy, a podobroci oni nigdy
nie dadzą.

— Chłopaki — dał i swoje mały Urbański —
nocują zimą po stajniach w gnoju, furmani po-
zwalają.

Ze śmietnisk zagwizdało przeciąglą nutą,

równą jak drut między telegraficznymi słupa-
mi.

— Kazik śwista — porwał się.

Głośniały kroki drugiej zmiany. Pierwsza dzi-
wiła się: jeszcze ktoś z nimi idzie. Przyszedł Le-
on. Coraz bardziej Fiutowi podobał się Leon:
porządny gość, tak samo jak on wynajął kąt
u ludzi, a sąsiadom pomaga, jakby sam miał
z nimi razem budować.

— Widzicie — złożył sprawozdanie Por-
ada — że nic nie widzicie, bo jest ciemno. Ale to
nie szkodzi, bośmy już parkan rozebrali. Dla
was zostało to lewe skrzydelko, bierzcie się do
narzędzi, a żwawo, bo u nas się na akord robi.
My zato spać do cegielni idziemy. Zrozumiano?
A skoro świt, pobudźcie nas, adres znacie, to
wam pokażem, co umie pierwsza zmiana. Jasne?

— Ja zostaję z nimi — oświadczył mały Ur-
bański — dla mnie noc nie przespać to fiu.

Chmurzyste niebo nieznacznie przetań wiatr.
Pod głuche uderzenia oskardów i szuranie łopat
drugiej zmiany Uliczny, Fiut i Porada poszli
do cegielni. Wydawało się w murach cieplej,
bo przynajmniej wiatr nie podwiewał. Łazili
po kątach, szukając kupek słomy, pozostawionej
przez dawnych nocowników.

— Gorzej jak na wojnie — sarkał Uliczny.

Na chudej podściółce, zawszawionej bo nie-
długo gryźć zaczęła, ułożyli się bokiem, jeden
przy drugim, grzejąc brzuchem plecy sąsiadowi,
najlepiej wypadło Poradzie, leżał pośrodku.

Podciągnęli kolana i z pięścią pod głową czekali teraz na sen, który nie przychodził jak przedtem druga zmiana.

Z kąta przy piecu nierówno chrapał cegielniany mieszkaniec nocny, darty niekiedy kaszlem. Wtedy siadał na szeleszczących gazetach, spluwał, pojękiwał i, znów szeleszcząc, kładł się.

Spali drzemotą, przerywaną niewygodnym ułożeniem ciała, brakiem nawyku, chłodem, studzącym Ulicznemu piersi, Fiutowi plecy, drętwieniem unieruchomionych we wspólnym układzie nóg. Gdy budził się jeden, półbudzili się we trzech. Zmieniali bok, potem trząsł się Fiut i Uliczny, jeden stygnącym brzuchem, nagrzanym o Poradę, drugi plecami. Stukot przy parkanie nie przeszkadzał tak samo jak kaszel i chrap nocownika.

Na rozjaśnienie się zbrukanych szybek Uliczny podźwignął się, usiadł, wyciągnawszy przed siebie zołwiałe nogi. Z żołnierskiego jeszcze przyzwyczajenia zsuł buty i wytarte dziurami skarpetki — Zośka nie nadążała z cerowaniem, zresztą cera źle się trzyma w tem miejscu, gdzie noga trze, zaraz się nowa dziura wystrzyże — poruszał palcami, żeby krew odeszła, obuł się zpowrotem i oparty pięściami o kłującą słomę podściółki krzyknął:

— Wstać!

Nocownik skoczył ze swego posłania na kolana nieprzytomny ze snu i pytał gwałtownie:

— Co się stało? Wyrzucają?

— Śpijcie, ojciec, to nie do was — uspokoił go Uliczny.

Fiut i Porada przeciągali się, rozczesywali palcami zmierzwione włosy, sztywno poruszając głowami.

Świt przejął dreszczem. Przez noc ociepliło się, ciągnęły po śmietniku rozmiękle bibuły mgły, zamazując dalekie kontury magistrackiego budynku, oddaliły nawet cmentarz kilkorgiem białawych pasem wzdłuż murka i dolnych konarów drzew.

Druga zmiana rozebrała już część prawobocznego parkanu, wykopała nawet słupy.

Poziewając, dołączyli. Ścierając z powiek sen wraz z nocną ropą, Porada objął komendę.

Nasamprzód wytłumaczył, żeby nie mieli pretensyj, jeśli co źle wyjdzie:

— Stolarz jestem, nie cieśla, na ciesiołce się nie znam, ale jakoś tam się wytapuli. Szafę umiem zrobić, to i chałupę postawię. A teraz chłopaki, sznury od bielizny wziąć i za mną, towarzystwo!

Obeszli całą okolicę.

Przy cmentarzu jednakże było najlepiej. Od murka do cegielni opadał lekko pagórek, murek cmentarza chronił sobą i drzewami od wiatru, sam wyglądał na południowe słońce. — Że spad jest, nie szkodzi — mówił Porada — z cegły się filarki robi, nie będzie woda podłogi zalewać, cała ku cegielni spłynie, do strużki.

— A ściana deskowa nie zbutwieje, przy murku stojąc? — kombinował Kuropatwa.

— Stary ma łeb — uznał Porada — postawi się chałupę od murka tak na jaki metr. Smoły się skąd wytrząśnie i ścianę od murka strony osmoli. Zrozumiano?

O metr od cmentarza wbił Porada kołek. Kazik Uliczny przywiązał sznur, czekał aż majster obliczy. Drugi kołek o dwanaście metrów dalej wzdłuż murka. To długość baraku. Na szerokość trzy i pół metra.

Śalamata obcęgami wyrywał gwoździe z desek, Fiut naprostowywał je młotkiem na kamieniu. Dwóch kilo dużych gwoździ, które przyniósł, tak czy owak nie mogło starczyć.

Śalamata z zakłopotaniem zwierzył się Fiutowi:

— Boję się, żeby draka nie wyszła — —

— Czego? — zatrzymał Fiut młotek na gwoździu.

— Powiem wam, wstąpiłem wczoraj wieczór na dzielnicę naszą partyjną, opowiedziałem co i jak, przyjdą tu zrana.

— I co poradzili?

— Żeby mogli poradzić! Uliczny im naurąga, Porada — —

— Jak nie pomogą, to i ja naurągam.

Śalamata ścisnął obcęgami gwoźdź pod łepkę, aż krzywas zazgrzytał.

Na wyznaczonych przez Poradę wzdłuż sznurów miejscach kopali mężczyźni doły. Chmu-

rzyska pozwijały się, z za magistrackiego budynku i opadłych mgieł odbiło się wgórę marchwianorude słońce. Nie grzało, a jednak kwaśniacy ruszyli się raźniej.

Z imbrykiem kawy jeszcze gorącej i dwoma bochenkami chleba przyszła Fiutowa. Za nią Skrzypek. Przegryzając chlebem, pokolei pili z jedyne go blaszanego kubka.

W wykopane doły w mocowali słupy, złączone kiepsko zrąbaną fugą. Stały czworobokiem, trochę niższe na przedzie, wyższe przy murku, dach dał Porada spadzisty, inaczejby woda podczas deszczu nie spływała, a przy odwilży kapałoby do środka.

Porada przepiłował parę desek napół, zmajstrowali prowizoryczne rusztowanie, ławę wysoką na półtora metra, którą można było przesuwąć z miejsca na miejsce. Włazłszy na ławę, Porada z Fiutem zbili jedną boczną ramę. Śalamata i Uliczny wzięli się od razu do przybijania desek. Boczna ściana w oczach podnosiła się dogóry.

— Jak tak pójdzie, na wieczór będziemy gotowi do przeprowadzki — obliczał Śalamata.

— Szpary między deskami jak byki, palec można wsadzić — z goryczą odpowiedział Uliczny.

— Te, Kalikst, nie martw się — stojąc na ławie, krzyknął zgóry Porada — jeszcze jedną paczkę desek przybić nawierzch, te idą wpo-

przek, a nowe muszą iść wzdłuż, do ziemi prostopadle, to i szpary zakryją.

Po ósmej, kiedy przyszły kobiety z dzieciarnią, Leon odszedł:

— Umyć się muszę i do roboty, dziś ruch, sobota.

— Takiej tandety jeszcze jak żyję nie widziałem — mówił Porada, wpędzając gwoźdź w drzewo — jeden silniejszy wiatery i całą budę położy. Popodpieraćby ją na wszelki wypadek słupami ze wszystkich stron — pogardliwie walił młotkiem, potrząsając głową.

— Niech cię cholera ściśnie, kiedy krakać ci się zachciało, to na gałąź wleź, masz niedaleko — pokazał mu Fiut wronie gniazdo.

Kobiety próbowały chłopaków poodpędzać od budowy, żeby pomogli pomalutku rzeczy z podwórka poprzemnieść pod cmentarz. Chłopcy uparli się. Nie! Niech Kuropatwa i Skrzypek pójdą, niech ojciec pójdzie albo Fiut — oni za nic.

Machnęły ręką, muszą same poradzić, postanowiły pożyczyć wózek dwukołowy od warzywnika, przewiozą.

Kończyło się szalowanie tylnej ściany baraku. Spieszyli się, jakgdyby ten bezśnieżny koniec listopada pękał już zawieją nad śmietnikiem.

Desek na dach nie skracali. Przydługie utworzą okap i woda ściekać będzie nie po ścianach, ale chlupać o kilkadziesiąt centymetrów dalej.

Porada przybił pierwszą dachową deskę, stojąc na ławie. Drugą, tak samo stojąc. Do trzeciej ręce nie dosięgły. Musiał już wleźć na górę. Jak się ściana nie zawali, to i honor stolarski też nie. Uliczny i Fiut podsadzili sąsiada. Bokiem, napłask, ostrożnie położył się na przybitych dwóch deskach dachu. Skrzypnęły, wygięły się, ale wytrzymały. Usiadł.

Fiut z Ulicznym złapali ławę, przenieśli ją na drugi bok baraku. Uliczny wlaź na ławę, przybił pierwszą deskę od prawego, drugą i zeskończył. Na splecionych dłoniach Ulicznego Fiut wsparł się nogą, chłopcy wgnietli mu palce w tydki, pchając dogóry. Usiadł na wąskim brzętku dachu, którego jeszcze nie było, który między nim i Poradą rozciągał się dziesięciometrową dziurą.

Młotki zadudniły po deskach. Prostowane gwoździe łatwo się krzywiły, opóźniały robotę. Ostro ściętym końcem młotka gwoźdź — won, w wybity ślad — nowy. Po sześć gwoździ dali narazie w każdą deskę, dwa na każdą poprzeczną belkę. Później — zdecydowali — przymocują na fest, ostatecznie.

Dziura między Poradą i Fiutem zmniejszała się. Próbowali chodzić po ułożonych połaciach dachu. Trzymał się, choć falował pod nogami, poddawał się.

— Nie szkodzi — zapewniał Porada — przybijemy jeszcze jedną warstwę desek, i szpary się nakryją, i będzie mocniejszy.

— Ależ buda, jak dla psów! — westchnął Sałamata zdołu i wlaź między ścianę, oszaloną tylko do połowy, a murek cmentarny. Przybijał tam już Urbański. Niewygodnie było pracować, bo młotek, odrzucany przed uderzeniem wtył, wciąż natrafiał na murek, szczybił cegłę.

— Mógł majster zafajdany skalkulować, trochę dalej, choć o krok od cmentarza stawiać — bąknął Urbański.

— Przepadło — odmruknął Sałamata i w przerwy między swoje stuknięcia młotkiem gwizdował „na barykady”. Ledwo skończył, zaczął Porada: „wyklęty”. Chłopcy i Uliczny pomagali, wychodziło nie za głośno, stukot przeszkadzał. Fiut zarumienił się. Słyszał nieraz, mógłby też pogwizdać. Przyłączył się, kiedy wrócił początek.

— Tak się głód wygwizduje — objaśnił Porada.

— Trzebaby dwadzieścia cztery godzin gwizdać — odpowiedział Sałamata, głos mu przysłuszył murek.

Do południa obszyli trzy ściany i dach pojedynczą deską.

— Okna?

— Szyb niema.

— Tato, w cegielni z okien wyjąć.

— Można.

— A futryny okienne?

— Całe okno z szybami z cegielni wyjąć.

— Na takie pomieszczenie mało jednego okna.

— Mało jednego, powiadasz? W cegielni więcej jest, wyjmiesz dwa.

— A drzwi?

— Z drzwiami, widzicie, to już kram większy.

— Zbić z desek.

— To nie będą szczelne.

— Jakby toto wogóle było szczelne!

— Nie podoba się chlewek?

— Gdzieby drzwi buchnąć?

Zastanawiali się, drzwi pod ręką nie było żadnych.

— Mam! — pstryknął Uliczny palcami. — Tylko pilnik mi potrzebny, będą drzwi jak grzmot.

— Pilnik do drzwi?

— No tych, co to z zawias zerwane na kłodce wiszą przy cegielni — —

— Fak-tycz-nie.

Zagrało na fabrykach południe. Kazik pobiegł po skrzynkę z ojcowskim narzędziem, za nim mały Urbański.

Z za cegielni wypłynęło trzech gości.

— Ki djabeł? — zaniepokoił się Uliczny.

Środkowy gość, słusznego wzrostu tęgawy blondyn z bródką, któremu wysokie bary skracaly szyję, nosił szarą jesionkę: raglan z paskiem i popielaty kapelusz. Utykał na lewą nogę dość mocno, całe ciało wyrzucał przed sie-

bie, żeby utrzymać równość kroku. Krwistość cery podkreślały bursztynowe przyszyte wąsy nad opuchniętymi wargami, wykrojonemi w serduszko.

Niższy miał wysokie buty, szare spodnie, szoferską skórzaną kurtę. Kapelusz o wąskim rondzie odsłaniał twarz, drobno poszarpaną dziobami. Pod pachą trzymał tekę.

Prawy, bez palta, z pod marynarki wyglądał mu gruby granatowy sweter, pewnie bił nogami o ziemię. Trzymał wysoko głowę o przykrótkim nosku. Sałamata wolno wyszedł im na spotkanie.

— Sałamatowa dzielnica — domyślił się Fiut. Kwaśniacy nie przerywali roboty zaciekawieni, co przynieśli przybysze.

Trójka przystanęła, przyglądając się budowie.

— Dzieńdobry, towarzysze — powitał kulawy z energją.

— — dobry — bąknęli.

— Towarzysze — ciągnął kulawy — chcielibyśmy kilka słów z wami zamienić. Przerwijcie na momencik pracę!

Uliczny pierwszy otrzepał ręce. Fiut i Porada zeszli z dachu. Dołączył Skrzypek, Kuropatwa.

— To wszyscy? — niezadowolony spytał naboku Sałamatę dziobaty — mówiliście że jest więcej.

Zakłopotany Sałamata rozłożył ręce:

— rozeszli się!

— Towarzysze! — kulawy oparł się na krótszej nodze, zdrową wysunął — cała robotnicza Warszawa ze współczuciem przygląda się waszej sytuacji. Magistrat warszawski nie dba zupełnie o los bezdomnych. Ale jest przecie partja, która wszystkim robotnikom chce przyjść i przychodzi z pomocą — zmienił nogę, oparł się na zdrowej i stał się naraz wyższy — Polska Partja Socjalistyczna. Kiedy kapitalistyczny magistrat skazuje was na śmierć, towarzysze, bo wobec zbliżającej się zimy nie daje wam dachu nad głową, PPS was wesprze — —

Z za cegielni zaskrzypiały koła po głosach. Kulawy pytająco spojrzął na Sałamatę, ten kiwnął głową.

— Zdaje się, że przychodzi reszta was, towarzysze, zaczekamy na nich.

Wózek pchali chłopcy, Lodzia, Zośka i Fiutowa.

— Chodźcie prędzej — krzyknął Porada.

Pchnęli wózek, naładowany siennikami i rozkraczonym stołem, do którego nogi znów przywiązana była tektura:

EKSMITOWANI

Zaciągnęli wózek na sam grzbiet pagórka pod murek i zeszli do mężczyzn.

— Towarzysze! — podjął znów kulawy —

Polska Partja Socjalistyczna nie pozwoli na to, aby bezdomni robotnicy ginęli. Organizujemy dla was pomoc: ogłosimy w naszym piśmie partyjnym zbiórkę odzieży. — Wrony zakrakały na cmentarzu, kulawy urwał.

— To wszystko? — spytał zniechęcony Fiut. Kulawy surowo zmierzył go oczami:

— Nie, to nie wszystko, to tylko początek. Dalej zrobimy, co się da.

Uliczny nie wytrzymał: — Mówicie: dacie pomoc. Dacie możliwe mieszkania? Bośmy nic nie słyszeli, żeby pepesowcy co bezdomnym pomogli, choćby tym w barakach magistrackich.

— Ale to nie nasza dzielnica — wyrwało się dziobatemu.

— Pomogły im inne dzielnice?

— Pomogły — rzucił pięścią kulawy.

— Pomogły — powtórzył dziobaty.

— Pomogły — przytaknął krótkonosy głową.

Uliczny rozłożył ręce:

— W czym pomogły?

— W magistracie socjalistyczni radni interpelowali —

— To bardzo duża — wpadła Zośka w odpowiedź — pomoc.

— Organizujemy bezdomnych!

— Niceśmy o tem nie słyszeli.

— Przecie przyszliśmy do was — odsarknął dziobaty.

Ulicznemu zamigotały śmieszkiem oczy, nieznacznie szturchnął Fiuta.

— Całkiem inna sprawa. Organizujcie. Co mamy zrobić?

— Zarejestrujemy was przedewszystkiem — pośpieszył krótkonosy i wyjął z teki czarnooprawną książkę. Pierwszy podał swoje personalja Uliczny.

— Ty na serjo? — szepnął do niego Fiut.

Zapisał krótkonosy wszystkich, podali nieobecnych, ile mają dzieci, czem się zajmują. Zamknął książkę, kulawy uniósł kapelusza.

— Dowidzenia, towarzysze, niedługo was odwiedzimy.

— E - e - e — przeciągnął Uliczny z rozczarowaniem — już odchodzicie? Mamy jeszcze do was parę pytań wedle tej pomocy.

Kwaśniacy rozsiedli się na deskach.

Niechętnie przystał kulawy:

— Ale prędko, bo mamy jeszcze dużo chodzenia.

— Powiedźcie, prosimy was, my eksmitowani, mocno: jakie macie dla nas wyjście? — nalegał Uliczny.

Kulawy bez namysłu odpowiedział:

— Ogólne? Rząd robotniczo-włościański. A w waszej sprawie — witamy inicjatywę bezdomnych!

— Wiecie skąd mamy budulec?

— No?

— Z tego, o, parkanu cegielni.

Trójka obejrzała się ponuro na dwu- i półboki parkan.

— Fakt dokonany — uśmiechnął się ironicznie kulawy.

— Więc jak? — śmiał się Uliczny — rozgrzeszacie nas?

Krótkonosy przytaknął.

— I błogosławicie? Bardzośmy zadowoleni. Przyjdzie tu może właściciel cegielni albo kto przez niego przysłany, to mu odpowiemy, że błogosławieństwo nam dała Polska Partja Socjalistyczna. I wszystkim innym bezdomnym to samo zapowiemy: bierzcie deski, belki, gdzie się da, i budujcie baraki. A jakby kto był leniwy albo sam budować nie umiał, są, słyszałem, duże mieszkania w Warszawie, pałace albo wille, tam mało ludzi mieszka, pomieszczą się i bezdomni!

Kulawy przymrużonemi oczyma macał twarz Ulicznego. Uliczny nie cofał spojrzenia.

Kulawy z naciskiem zważył słowo:

— Ja wam radzę, nie bądźcie taki — podkreślił — gorący.

— Bo co?

— Bo warchoł jesteście!

Uliczny powstał, ręce za siebie założył, splótł

palce, wyciągnął szyję, aż mu się grdyka wypięła nad kołnierzem obszarpanego paletka:

— Słyszysz Sałamata? słyszyście sąsiady? Przychodzi taki gość i tyle nam ma bezdomnym do powiedzenia!

Sałamata zaciął szczęki.

— — Widziałem ja wasz rząd robotniczo-włościański w osiemnastym roku! Nie sprzedaliście wtedy sprawy robotniczej? co? Zmieniście się może? Tacy sami jesteście dziś jak i wtedy, szmaty bez robotniczego programu, kapitalistyczne sługi! — trójka oszalowała się obojętnością. — Wyrwijcie tę kartkę, gdzieście mnie zapisali, nie chcę w waszej buchalterji siedzieć!

— Ja też! — krzyknął Fiut.

— Ja też — zażądał Urbański.

— Ja też sroce z pod ogona nie wypadłem — upomniał się Porada.

— Mnie wykreślcie — niepewnie powiedział Sałamata, spuszczaając głowę.

— Sałamata! — rozkazująco krzyknął kulawy. — Zwarzowaliście? Z takim idziecie?

— Wykreślcie — z uporem powtórzył Sałamata.

— Popamiętacie to!

Z pasją wyrwał krótkonosy zapisaną kartkę z książki, poszarpał papier na strzępy i rzucił na wiatr. Strzępy pofrunęły ku cmentarzowi.

Krótkonosy zawrócił pierwszy. Za nim kula-
wy. Ostatni, przez ramię oglądając się na kwa-
śniaków — dziobaty. Znikli za cegielnianym
parkanem.

Salamatę klepnął Uliczny po plecach:

— Chłopie, uszy do góry! Pluń na nich i no-
gą rozetrzyj, widzisz jakie to typy. Rejestratio-
ry! Kula u nogi robotniczej, psia ich mać! — —
Dość już, chodź do roboty — pociągnął zgaszo-
nego Salamatę.

Znów zabębniły młotki. Uliczny z chłopcami
poszedł do cegielni po drzwi i okna. Kobiety
zrzuciły graty z wózka, pusty lekko zjechał po
pagórku. Zapowiedziały: — wrócim z obiadem.
Gotuje się po sąsiadach.

— A my co? — spojrzały po sobie Skrzyp-
kowa z Kuropatwową — podzielią się?

Wymokłe słońce pęzało po kopczystem sza-
roburem śmietnisku, po ciemnej cegielni, cmen-
tarnych mogiłkach, po szarej budzie, ostukiwa-
nej nagwałt młotkami.

Odrzucony wtył, szeroko rozrzuconemi ręko-
ma przyciskając do piersi brudne okno, wyszedł
z cegielni Uliczny. Za nim chłopcy ponieśli
drzwi.

Przysuwające się wciąż do siebie pod Poradą
i Fiutem połacie dachu zetknęły się deskami.
Dacharze podali sobie dłonie z ironicznym
ukłonem.

— Dach nad pałacem gotów! — krzyknął
Porada.

Uliczny z brzękiem postawił okno przy no-
dze.

— Pochorujemy się tu. Kochane opiekuny
magistrackie! Mordercy! — pomyślał z pasją.

Barak ział całą swą ciemną dwunastometro-
wą długością, pozbawioną przedniej ściany, jak
niezdarnie postawiona scena.

Chłopcy rzucili drzwi, wdrapali się po ławie
na dach z żółtym arkuszem tektury. Podparli
kawałkiem deski arkusz odytłu, wywrócił się,
ześlizgując po spadzie, ledwo go ucapili. Poza-
wijały się psiami uszami rogi tektury, ale napis
czerniał wyraźnie

EKSMITOWANI.

— Sztandar! — zakpił Fiut.

— Właśnie sztandar! — odpowiedzieli.

— Żółty — stwierdził Salamata — nie pa-
suje.

Mały Urbański zeskoczył z dachu, zachwiał
się na nogach, ogłuszonych skokiem, pobiegł
pod parkan i wrócił z kawałem cegły na dach.
Zwietrzałą cegłą nacierał tekturę w miejscach
wolnych od liter. Tektura czerwieniała.

Salamata przysunął się do Ulicznego:

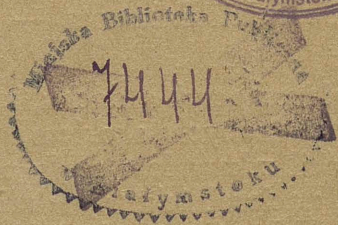
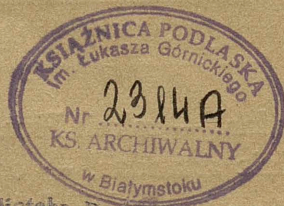
— Myślałem, czy ten parkan rozwalony podaruje nam policja. Żeby nie wiem jak, to na krok nie odstąpić!

Uliczny dźwignął swoje okno, zęby dolnej szczęki wysunął, aż zahaczyły o górne.

— Choćby zdechnąć, ale nie damy się! Choćby rozwaliła policja ten barak, nie damy się! Choćby przez śmierć dojdziemy do swojego! — ścisnął ramę okna tak mocno, że zabolało go pod paznogciami.

Spojrzał w górę. Na przecierającym się niebie czernieli Fiut, Porada i chłopcy. Pod wiewem wiatru, za uchylm cmentarnych gałęzi zakolebała się napisem tektura.

— Hej wy tam, majstry! — huknął na dach — tekturę lepiej umocujcie na tym chlewie, bo lata!



POLA GOJAWICZYŃSKA

ZIEMIA ELŻBIETY

NOWA SERJA „ROJU”

Cena zł. 3.—

„Ziemia Elżbiety” jest powieścią regionalną powieścią o życiu Górnego Śląska. Ale zarówno tematem i konstrukcją, jak i rysunkiem figur jak problematyką i owym właśnie szerokim oddechem, jak wyrazistością wizji, poczuciem rzeczywistości i samorodną umiejętnością opisu znacznie przerasta ona ramy literatury regionalistycznej i staje w rzędzie dzieł literackich o najpełniej ogólnoludzkim znaczeniu.

POPRIEDNIO UKAZAŁ SIĘ

POWSZEDNI DZIEŃ

Cena zł. 4.50

„Powszedni dzień” zwrócił uwagę całej krytyki na jego autorkę: tyle w nim było prostoty wyrazu, tyle umiejętności w rysunku postaci, tyle szczerzego wdzięku i poezji w obrazowaniu.

Szkicowe obrazki z „Powszedniego dnia” przeobrażają się w pełne wyrazu wizje, nierzadko mocne i potężne, a zawsze pełne wdzięku; prosta a niebanalna konstrukcja powieści dodaje jeszcze jej uroku.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

H u g o W a s t

UKRYTE ŹRÓDŁO

Nowa Serja Roju — cena zł. 3.—

Jeden z najwybitniejszych pisarzy katolickich świata — Argentyńczyk — podaje niesłuchanie barwnie i zajmująco namalowany obraz życia współczesnej Argentyny. Gorące temperamenty, namiętności, mściwość a równocześnie typy pełne ewangelicznych cnót, przepięknej miłości i poświęcenia.

Powieść tę, daleką od prymitywnej sensacji, czyta się jak najbardziej sensacyjny romans. Sprawia to tło niezwykle dla nas i akcja niesłuchanie żywa, zawierająca dzieje miłości kilku związanych ze sobą ludzi i równocześnie opis południowo-amerykańskiej „roboty politycznej” obcej zupełnie pojęciom europejskim.

„Ukryte źródło” przedstawia przedziwną Argentynę, odmienną od tej dekoracyjno-teatralnej, jaką widzieliśmy w teatrzykach i powieściach egzotycznych.

poprzednio ukazały się:

KAMIENNA PUSTYNI

KWIAT DURACENY

TA, KTÓRA NIE PRZEBACZYŁA

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

MICHAŁ SZOŁOCHOW

ZORANY UGÓR

TOM I/II CENA ZŁ. 6.—

Czołowe zagadnienie gospodarstwa sowieckiego — kolektywizacja wsi — otrzymuje w tem dziele piękny i nad wyraz ciekawy obraz literacki. Cały przebieg tego procesu, wszystkie jego trudności i załamania, etapy walki, zwycięstwa i klęski przedstawione tu są z całym realizmem w dramatycznym skrócie. W tej jednej wsi rosyjskiej znajduje się jakgdyby oś przekroju poprzez całą współczesność sowiecką.

C I C H Y D O N

TOM I. CENA ZŁ. 3.—

Szeroko zakrojona epopea kozacka rozwija obraz tej osobliwszej formacji społecznej, niby przeniesionej żywcem z zamierzchłej przeszłości w czasy dzisiejsze. Po pełnem plastyki, uczucia i humoru zobrazowaniu przedwojennego bytu z całym jego specyficznym egzotykiem, po przez wojnę światową i przewrót rewolucyjny autor przechodzi do skreślenia wstrząsającej panoramy wojny domowej w której kozaczyzna odegrała tak wydatną rolę. Znane zalety pióra autora „Zoranego ugoru” przejawiały się w tej powieści w sposób najbardziej skończony, dając jeden z najbardziej reprezentacyjnych utworów nowszej powieści sowieckiej.

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J”

WALENTY KATAJEW

NAPRZÓD CZASIE!

CENA ZŁ. 3.—

Powieść Katajewa należy do najciekawszych utworów oświeclających byt nowej Rosji. Opowiada ono o Magnitogorsku, nowem mieście przemysłowem, rosnącym z zaczarowaną szybkością na pustym do niedawna stepie uralskim, o ludziach usiłujących przegonić czas, wyjść poza jego ramy. Ostre spojrzenie urodzonego realisty łączy się z umiejętnością wydobywania kontrastów bytowych, podanych z subtelnym humorem.

POPRIEDNIO UKAZAŁY SIĘ:

DEFRAUDANCI

CENA ZŁ. 1.95

ROZGARDJASZ

CENA ZŁ. 2.—

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „R Ó J“

7444